

radar

magazyn literacki literaturmagazin літературний журнал



ISBN/ISBN/ISBN 978-83-956244-3-8

RADAR
Kraków 2022

REDAKCJA
Urszula Pieczek
(redaktor naczelna)

zespół redakcyjny
Dominika Kasprowicz
Paweł Łyżwiński
Sylvia Miłkowska
Aleksandra Szymańska-Niekań
Adam Partyka
Justyna Pawlik
Renata Serednicka

autorki i autorzy
Daria Aloszkińska
Ksenia Charczenko
Jacek Dehnel
Jenny Erpenbeck
Kai Grehn
Henry Lion Oldi
Małgorzata Rejmer
Małgorzata Sikorska-Miszczuk
Ostap Sływynski
Olga Smolnytska
Natalka Śniadanko
Anja Tuckermann

ZDJĘCIA
Ksenia Yanko
Ira Yeroshko

**PROJEKT GRAFICZNY,
ILUSTRACJE, SKŁAD, PROJEKT
OKŁADKI**
Dorota Gawryszewska
Anna Jaworska-Kruk
Pracownia Grafiki, Warszawa
www.pracowniagrafiki.pl

WYDAWCA
Instytut Kultury Willa Decjusza
ul. 28 lipca 1943 17a
30-233 Kraków
www.willadecjusza.pl

DRUK
F.H.U. EFEKT
Sajdak Tomasz

NAKŁAD
150

FINANSOWANIE
Fundusz Stabilizacyjny dla Kul-
tury i Edukacji 2022 Auswärtiges
Amt i Goethe Institut

RADAR
Krakau 2022

REDAKTION
Urszula Pieczek
(chefredakteurin)

redaktionsmitglieder
Dominika Kasprowicz
Paweł Łyżwiński
Sylvia Miłkowska
Aleksandra Szymańska-Niekań
Adam Partyka
Justyna Pawlik
Renata Serednicka

autorinnen und autoren
Daria Alyoshkina
Ksenija Chartschenko
Jacek Dehnel
Jenny Erpenbeck
Kai Grehn
Henry Lion Oldi
Małgorzata Rejmer
Małgorzata Sikorska-Miszczuk
Ostap Sływynsky
Olga Smolnytska
Natalka Śniadanko
Anja Tuckermann

FOTOS
Ksenia Yanko
Ira Yeroshko

**GRAFIKDESIGN, ILLUSTRATIONEN,
SATZ, UMSCHLAGGESTALTUNG**
Dorota Gawryszewska
Anna Jaworska-Kruk
Pracownia Grafiki, Warschau
www.pracowniagrafiki.pl

HERAUSGEBER
Kulturinstitut Villa Decius
ul. 28 lipca 1943 17a
30-233 Krakau
www.willadecjusza.pl

DRUCK
F.H.U. EFEKT
Sajdak Tomasz

AUFLAGE
150

FINANZIERUNG
Stabilisierungsfonds für Kultur und
Bildung 2022 Auswärtiges Amt
und Goethe-Institut

РАДАР
Краків 2022

РЕДАКЦІЯ
Уршуля Печек
(головна редакторка)

редактори і редакторки
Домініка Каспрович
Павло Лижвинський
Сильвія Мілковська
Олександра Шиманська-Неклян
Адам Партика
Юстина Павлик
Рената Середницька

автори і авторки
Дар'я Альошкіна
Ксенія Харченко
Яцек Денель
Дженні Ерпенбек
Кай Грен
Генрі Лайон Олді
Малгожата Реймер
Малгожата Сікорська-Міщук
Остас Сливинський
Ольга Смольницька
Наталка Сняданко
Аня Тукерман

ФОТО
Ксенія Янко
Іра Єрошко

**ГРАФІЧНИЙ ПРОЕКТ, ІЛЮСТРАЦІЇ,
ВЕРСТКА, ПРОЕКТ ОБКЛАДИНКИ**
Дорота Гавришевська
Аня Яворська-Крук
Pracownia Grafiki, Warszawa
www.pracowniagrafiki.pl

ВИДАВЕЦЬ
Інститут культури «Villa Decius
Вулиця 28 липня 1943 року, 17а
30-233 Краків
www.willadecjusza.pl

ДРУК
F.H.U. EFEKT
Сайдак Томаш

НАКЛАД
150

ФІНАНСУВАННЯ
Стабілізаційний фонд для культури
та освіти 2022 Auswärtiges Amt та
Goethe Institut

Po blisko dziewięciu latach oddajemy w Państwa ręce wyjątkową trójjęzyczną (polsko-ukraińsko-niemiecką) publikację, która nawiązuje do czasopisma literackiego „Radar” wydawanego w latach 2010-2014.

W ostatnim drukowanym numerze, który przygotowaliśmy specjalnie na wiosenne Targi Książki w Lipsku w 2014 roku, pisaliśmy o „politycznym horrorze”, który wówczas ogarnął Ukrainę. „Polityczny horror” trwa do dzisiaj, zalewając mrokiem nie tylko tereny Ukrainy, ale całą Europę. Przyglądamy się – jak pisze na łamach tego wydania Małgorzata Rejmer – „gasnącym światłom w naszych domach”. Z jednej strony gaśnie w nas nadzieja na świat bez przemocy, z drugiej – wierzymy w zwycięstwo wolnej Ukrainy.

We wstępie do ostatniego numeru „Radaru” pisaliśmy, że dramatyczna sytuacja w Ukrainie – był to moment, kiedy Rosja anektowała Krym – „nie osłabia naszego entuzjazmu w budowaniu otwartej i wspólnej Europy oraz niezależnych, ale zjednoczonych europejskich literatur”. Ideą, która przyświeca tej publikacji jest (i była) równość, wzajemne zrozumienie, a nade wszystko budowanie wspólnoty czytających. Chcemy dziś powiedzieć, że kierowała nami nie tyle naiwność, co utopijne przekonanie, że możliwe jest stworzenie ponadnarodowego porozumienia literackiego. Pragnienie snucia wspólnej opowieści stało się teraz jeszcze silniejsze. O znaczeniu słów w czasie wojny pisze w eseju *Milczenie wojny* Ostap Sływynski. Jacek Dehnel dopowiada, że nie wszystkie słowa „wypowie język”. Od 24 lutego 2022 roku brakowało nam słów wielokrotnie.

Na łamy zaprosiliśmy osoby, które tworzyły „Radar” przed laty: autorów i autorki, tłumaczy i tłumaczki, stypendystów i stypendystki Willi Decjusza – osoby, których świat zmienił się diametralnie w wyniku wybuchu wojny. Wychodzimy z założenia, że dziś bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy wzajemnie się wysłuchać i zrozumieć słowa, które do siebie wypowiadamy. To pozwoli nam nauczyć się siebie nawzajem – w nowej rzeczywistości, którą nieustannie chcemy tworzyć.

Nach einer Pause von fast neun Jahren legen wir Ihnen eine einzigartige dreisprachige (polnisch-ukrainisch-deutsche) Publikation in die Hände, die sich auf die zwischen 2010 und 2014 erscheinende Literaturzeitschrift Radar bezieht.

In der letzten gedruckten Ausgabe, die wir speziell für die Leipziger Buchmesse im Frühjahr 2014 vorbereitet haben, schrieben wir über den „politischen Horror”, der die Ukraine damals erfasste. Der „politische Horror” hält bis heute an und überschwemmt nicht nur die ukrainischen Gebiete, sondern ganz Europa mit Dunkelheit. Wir beobachten – wie Małgorzata Rejmer in dieser Ausgabe schreibt – „ausgehende Lichter in unseren Häusern”. Auf der einen Seite schwindet unsere Hoffnung auf eine Welt ohne Gewalt, auf der anderen Seite – glauben wir an den Sieg einer freien Ukraine.

In der Einleitung der letzten Ausgabe von Radar schrieben wir, dass die dramatische Situation in der Ukraine – es war der Moment, als Russland die Krim annektierte – „unseren Enthusiasmus keineswegs schwächt, ein offenes und gemeinsames Europa und unabgängige, aber vereinte europäische Literaturen aufzubauen”. Die Idee hinter dieser Publikation ist (und war), Gleichberechtigung, gegenseitiges Verständnis zu fördern und vor allem eine Gemeinschaft von Lesern zu schaffen. Heute kann man sagen, dass uns weniger Naivität als vielmehr der utopische Glaube an die Möglichkeit eines länderübergreifenden literarischen Konsenses gelehrt hat. Der Wunsch, eine gemeinsame Erzählung weiterzuspinnen, ist jetzt noch stärker geworden. Ostap Sływynsky schreibt in seinem Aufsatz „Das Schweigen des Krieges” über die Bedeutung von Worten in Kriegszeiten. Jacek Dehnel fügt hinzu, dass einige Wörter „unaussprechlich für die Zunge” sind. Seit dem 24. Februar 2022 sind uns viele Male die Worte ausgegangen.

Wir haben die Menschen, die Radar vor Jahren geschaffen haben, dazu eingeladen: Autoren und Autorinnen, Übersetzer und Übersetzerinnen, Stipendiaten und Stipendiatinnen der Villa Decius – Menschen, deren Welt sich durch den Ausbruch des Krieges völlig verändert hat. Wir kommen zu dem Fazit, dass wir uns heute mehr denn je gegenseitig zuhören und die Worte verstehen müssen, die wir zueinander sagen. So können wir voneinander lernen – in der neuen Realität, die wir stets schaffen wollen.

Після приблизно дев'яти років перерви ми віддаємо у ваші руки виняткове тримовне (польсько-українсько-німецьке) видання, яке відсилає нас до часопису “Радар”, що виходив у 2010-2014 роках.

В останньому друкованому номері, який ми готували спеціально до весняного Ляйпцизького книжкового ярмарку в 2014 році, ми писали про “політичний горрор”, який тоді охопив Україну. “Політичний горрор” триває донині, розточуючи морок не тільки на територію України, але й на цілу Європу. Ми спостерігаємо – як пише на сторінках цього видання Малгожата Реймер – як “гасне світло у наших домівках”. З одного боку, у нас гасне надія на світ без насилля, з іншого – ми віримо в перемогу вільної України.

У вступі до останнього номера “Радару” ми писали, що трагічна ситуація в Україні – це був момент, коли Росія анексувала Крим – “не послаблює нашого запалу щодо творення відкритої і спільної Європи, а також незалежних, але об'єднаних європейських літератур”. Визначальною ідеєю для цієї публікації є (і була) рівність, взаєморозуміння, а передовсім побудова спільноти читачів. Нині можна сказати, що нами керувала не так наївність, як утопічне переконання, що можливо створити понаднаціональне літературне порозуміння. Прагнення снувати спільну оповідь стало зараз ще сильнішим. Про значення слів під час війни пише в есеї Мовчання війни Остап Сливинський. Яцек Денель додає, що не всі слова “вимовить язик”. Від 24 лютого 2022 року нам багато разів бракувало слів.

До цієї публікації ми запросили осіб, які творили “Радар” у минулому: авторів і авторок, перекладачів і перекладачок, стипендістів і стипендісток Вілли Деціуша – осіб, чий світ діаметрально змінився внаслідок війни. Ми спираємося на переконання, що нині нам більше ніж будь-коли необхідно вислухати одне одного і зрозуміти слова, які ми одне до одного промовляємо. Це дасть нам змогу пізнати одне одного – у новій дійсності, яку ми і далі прагнемо творити.

- 3 GASNA ŚWIATŁA W NASZYCH DOMACH DAS LICHT GEHT AUS IN UNSEREN HÄUSERN**
СВІТЛО ГАСНЕ У НАШИХ ДОМІВКАХ
{Małgorzata Rejmer Małgorzata Rejmer Малгожата Реймер} Übersetzung: Lisa Palmes, Переклад: Олена Шеремет
- 15 WINTERSONNE ЗИМОВЕ СОНЦЕ ZIMOWE SŁOŃCE**
{Anja Tuckermann Аня Тукерман Anja Tuckermann} Переклад: Роксолана Свято, Przekład: Małgorzata Gralińska
- 28 YEMAYA – KRÓLOWA MÓRZ YEMAYA – KÖNIGIN DER MEERE ЄМАЙЯ – КОРОЛЕВА МОРІВ**
{Małgorzata Sikorska-Miszczuk Małgorzata Sikorska-Miszczuk Малгожата Сікорська-Міщук}
Übersetzung: Alexander Volk, Переклад: Ольга Русіна
- 52 МОВЧАННЯ ВІЙНИ MILCZENIE WOJNY DAS SCHWEIGEN DES KRIEGES**
{Остап Сливинський Ostap Slywinski Ostap Slyvynsky} Przekład: Urszula Pieczek, Übersetzung: Annegret Becker
- 58 WIERSZE GEDICHTE ВІРШІ**
{Jacek Dehnel Jacek Dehnel Яцек Денель} Übersetzung: Bernhard Hartmann, Переклад: Остап Сливинський
- 76 МАЛЕ КОЛО МАŁЕ КОЛО DER KLEINE KREIS**
{Генрі Лайон Олді Henry Lion Oldi Henry Lion Oldi} Przekład: Sofija Bajanowa, Übersetzung: Stefaniya Ptashnyk
- 78 ZOMBIELAND. EIN GEISTERTANZ ЗОМБІЛАНДІЯ. ТАНЕЦЬ ДУХІВ ZOMBIELAND. TANIЄC DUCHÓW**
{Kai Grehn Kai Grehn Kai Grehn} Переклад: Христина Назаркевич, Przekład: Renata Serednicka
- 102 КЛЮЧ, ЯКИМ ЩОДНЯ ВІДЧИНЯЮТЬ, НЕ ІРЖАВІЄ KLUCZ UŻYWANY KAŻDEGO DNIA NIE RDZEWIEJE**
EIN SCHLÜSSEL, DER JEDEN TAG BENUTZT WIRD, ROSTET NICHT
{Дарія Альошкіна Daria Aloszka Daria Alyoshkina} Przekład: Olga Smolnytska, Übersetzung: Jessica Röschlau-Radecka
- 60† СТОЛИКУ, НАКРИЙСЯ TISCHLEIN, DECK DICH STOLICZKU, NAKRYJ SIĘ**
{Ксенія Харченко Ksenia Charchenko Kseniya Kharchenko} Przekład: Urszula Pieczek, Übersetzung: Annegret Becker
- 120 DER GÄRTNER OGRODNIK САДІВНИК**
{Jenny Erpenbeck Jenny Erpenbeck Дженні Ерпенбек} Przekład: Eliza Borg, Переклад: Христина Назаркевич
- 128 ОПИНИТИСЯ НА ПОРОЗІ ЗУПИНЕНОГО ЧАСУ U PROGU ZATRZYMANEGO CZASU**
AN DER SCHWELLE ZUR ANGEHALTENEN ZEIT
{Наталка Сняданко Natalka Śniadanko Natalka Sniadanko} Przekład: Marcin Gaczkowski, Übersetzung: Maria Weissenböck

GASNA ŚWIATŁA W NASZYCH DOMACH DAS LICHT GEHT AUS IN UNSEREN HÄUSERN СВІТЛО ГАСНЕ У НАШИХ ДОМІВКАХ

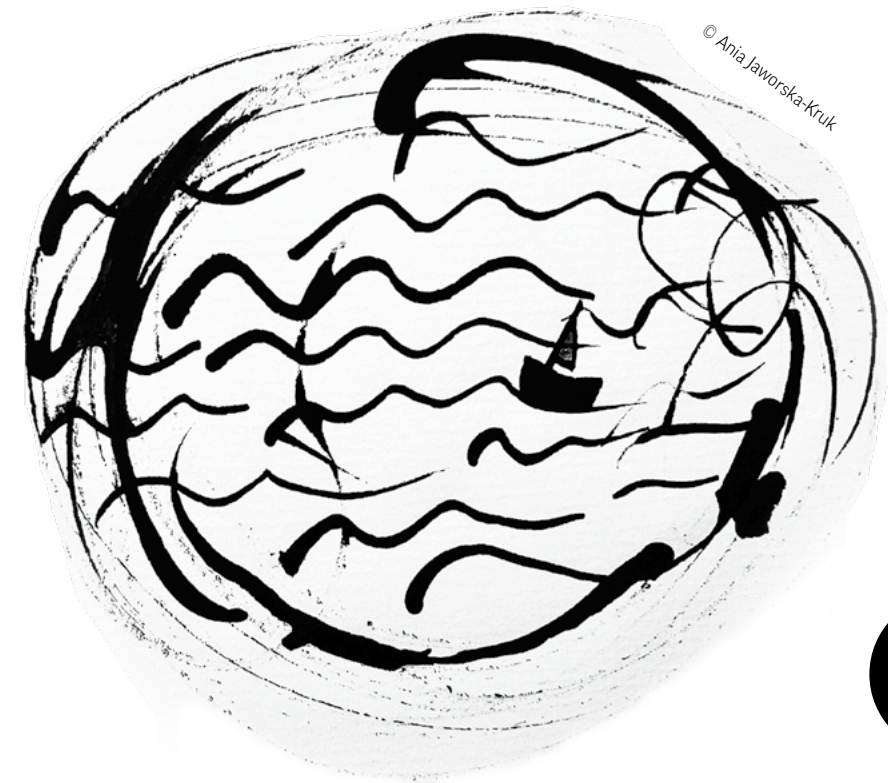
► Rok 2022, wybrzeże Francji. Grupa Albańczyków biegnie po plaży w stronę morza, podtrzymując na podniesionych ramionach wielki, czarny ponton, do którego za chwilę wszyscy się zapakują. W tłumie płacze się kilka kobiet i dzieci, tak przerażonych, że nie ośmielają się nawet płakać. Jedni krzyczą, inni przyglądają się zamętowi z zastygłymi twarzami. Być może ci najbardziej odważni mają po prostu najbardziej ograniczoną wyobraźnię.

Jeden z chłopaków wyciąga komórkę, żeby nakręcić filmik ze swojego nieszczęścia na TikToka, ale nadzorca eskapady doskakuje do niego jednym susem. „Jak będziesz filmował, to cię zabiję”, mówi.

A jednak TikTok pełen jest filmików pokazujących strwożone i podekscytowane twarze albańskich młodziaków – nielegalistów. Płyną z Francji do Wielkiej Brytanii, przez kanał La Manche, przez zimno i wiatr. Żeby dostać się do swojej przyszłości, muszą przepłynąć wielką wodę, która jest obietnicą, a może być śmiercią. Za późno na wątpliwości. Teraz cała energia skupia się na jednej myśli: przeżyć.

Ta plaża nie jest beztroską, ta plaża jest niepewnością. Ponton nie służy rekreacji i pomnażaniu przyjemności, jest ledwie środkiem transportu, który ma przenieść ludzi do innego życia. Od początku transformacji refrenem albańskiego losu są podobne obrazy: wielka woda i niewielka łódź, albo motorówka, tratwa czy ponton; cokolwiek, co unosi się na powierzchni, cokolwiek, co nie zatoni, cokolwiek, co pozwoli uciec.

Od trzech dekad powtarzają się te same emocje i pragnienia: zryw brawury, szarpnięcie desperacji i strach o życie wytłumiany marzeniami o czymś wspanialszym,



piękniejszym. Lepszym świecie, w którym każdy wymości sobie suche i bezpieczne miejsce. Nowym domu, którego piękno pozwoli zapomnieć o brzydocie starego, tego o przegniłych stropach, o grzybie w piwnicach, tego porzuconego.

Tam – dom dobry, tu – dom zły.

„Gdyby Adriatyk zamarzł, w Albanii ostałby się tylko pies z kulawą nogą”, mówiono w 1991 roku, gdy w kraju upadł komunizm, a Albańczycy mogli wreszcie wydostać się ze swojego więzienia.

„Jeśli wpuścicie nas do Unii Europejskiej, to wszyscy stąd uciekną. Nikt nie zostanie w tym przeklętym miejscu” – powiedział znajomy w 2013 roku, gdy przyjechałam po raz pierwszy.

„Zamieszkałaś w kraju, z którego wszyscy chcą wyjechać” – słyszałam przez sześć lat albańskiego życia.

„Jak pani może narzekać na kraj, w którym jest tak pięknie?” – pytali czytelnicy, którzy właśnie wrócili po dwóch sytych i uroczych tygodniach wakacji.

Znowu znajduję się w samolocie niespiesznie kołującym nad Albanią. Mój wzrok ślizga się po turkusowym pasie płytkiej wody wzdłuż linii brzegowej, i dalej, po rozmiętym granacie Adriatyku. Z tej perspektywy rozpościerająca się w dole połać ziemi jest spełnionym marzeniem o pięknie. Samolot opada powoli, jego łagodnie zniżanie przypomina spokojem kołysanie dziecka do snu. A uderzenie kół samolotu o gładką powierzchnię lotniskowego pasa jest ledwie stłumionym czknięciem kulturalnego człowieka, który raz jeden się zapomniał.

Mnóstwo entuzjazmu wokół, gwar głosów jak strumień szemrzący w pogodny dzień. Sympatyczna iluzja bezpieczeństwa i przewidywalności. Jakby nigdy nigdzie nie rozpadały się systemy i światy.

A ja na szczycie dostawianych metalowych schodów witam się z albańską ziemią i ze swoją przeszłością. Początek listopada, miękkość światła, ciepło śródziemnomorskiego powietrza owiewającego twarz, granatowy, miękki zarys gór, falująca linia rdzawo-zielonych wzgórz i rzędy palm w oddali. Krajobraz przede mną rozsuwa obietnicę przyjemności rodem z turystycznych folderów. Sposób, w jaki tu dotarłam, i dowód osobisty w przegródce portfela to dwa symbole mojego przywileju.

Po sześciu latach opuściłam to, co zbudowałam w Albanii, żeby wrócić do polskiego życia. A teraz wróciłam na chwilę i znowu obchodzę znajome miejsca w Tiranie, która w ostatnich kilku latach zamieniła się w wielki plac budowy. Miasto świdruje, wibruje, huczy. Ziemia otwiera się pod stopami. Wieżowce trzydziestopiętrowe, czterdziestopiętrowe na wąskich skrawkach ziemi, niemal bez chodników. Przeszłość poprzetykana cienkimi wstążkami zakorkowanych ulic. Nieprzerwany skowyt klaksonów. Zaduszone miasto, ogłuszone od huków. Kiedyś trajkotał tu typowy bałkański zgiełk, jazgotliwy, ale uroczy. A teraz jest złowieszcze dudnienie dźwigów i wiertel pracujących w środku nocy, jednostajny huk wielkiej mrocznej pralni piorącej brudne pieniądze z całego świata.

Tirana stała się potworem, który pożera swoje dzieci. W centrum jeden po drugim wyrastają wieżowce mieszkalne, ale ceny za metr kwadratowy są najwyższe na Bałkanach. Mimo że kraj pustoszeje, ceny puchną.

I nie ma dla tego paradoksu żadnego oficjalnego, racjonalnego wytłumaczenia. Jest inne, nieoficjalne: po 2017 roku Albańczycy ubili biznesy z producentami narkotyków w Ameryce Południowej i przejęli szlaki narkotykowe

w całej Europie. Nie ma już pośredników, kokaina ukryta chociażby w ceramicznych bananach płynie z Ekwadoru i Kolumbii wprost do portów w Durrës i Amsterdamie, gdzie czekają już na nią wyciągnięte albańskie ręce. To Albańczycy biorą na siebie ryzyko rozwożenia narkotyków po całej Wielkiej Brytanii, Holandii i innych krajach zachodniej Europy. Biznes jest wielki i ciągle potrzebuje nowych śmiałków. Młodych chłopaczków, którzy nie mają żadnych perspektyw w swoim kraju, a słyszeli, że kuzyn w Anglii wreszcie się dorobił i jeździ własną furą z przyciemnianymi szybami. Tu, w Tiranie, młodych czeka tylko robota kelnera albo frustrujący móżól dziesięciogodzinnego dnia pracy na słuchawkach. Za wynagrodzenie w wysokości trzystu euro nigdy nie będą w stanie kupić sobie mieszkania. Wyższe wykształcenie niczego im nie da, nie zapewni awansu społecznego. Albania stała się dla nich złym domem, bez nadziei i bez przyszłości.

Dlatego znajdują przemytników, pakują się na czarny ponton i płyną do Wielkiej Brytanii, gdzie machineria czeka już na kolejne trybiki. A jeśli ktoś nie chce rozwozić narkotyków za pięć tysięcy funtów miesięcznie, zawsze może sobie zorganizować robotę w budowlance za trzy tysiące.

– Nikt się nie spodziewał, że to wszystko będzie miało takie konsekwencje – uśmiecha się Ervin, który pochodzi z Dibry, niewielkiej miejscowości w północnej Albanii.

Ci wszyscy chłopcy szukający nielegalnego szczęścia są właśnie z Dibry, Kukës, Tropoi – miast północy, bez uniwersytetów i perspektyw, za to z silnym systemem klanowym. Wszyscy się znają. Chętnie ci pomogą, ale jeśli podskoczysz albo zdradzisz, przeniosą na tamten świat twoją rodzinę. A że nikt nie ma złudzeń i nie liczy na zmiłowanie, więc też nie podskakuje ani nie zdradza.

Ervin ma delikatną, młodzieńczą twarz, jasne włosy i krótko obcięte włosy; mówi spokojnie i pogodnie, jakbyśmy wcale nie rozgrzebywali razem albańskiego mroku. Dwaj jego bracia robili swoje w Anglii, jeden wyszedł z tego cało, drugi posiedział kilka lat w więzieniu.

– Widzisz – mówi Ervin – moi koledzy pracują tam, w Wielkiej Brytanii, a tu, na miejscu, za sprawą ich biznesów i całego tego systemu Tirana zamienia się w piekło. Kraj zalewają mafijne pieniądze, więc ceny mieszkań rosną, bo ludzie kupują je za gotówkę. Ustawiają walizki pełne pieniędzy jedna przy drugiej i możesz wymyślić każdą cenę, a oni i tak kupią, co chcą kupić. Pieniądze trzeba wyprać, więc powstają kolejne budynki, a centrum jeszcze bardziej się zagęszcza i staje nie do życia. Coś, co wzięło się z pustki na północy, z beznadziei i braku perspektyw, błyskawicznie wymknęło się spod kontroli i zaczęło niszczyć stolicę.

Znajomy dziennikarz ujmuje ten fenomen jeszcze inaczej: „Zorganizowana przestępczość z zakamarków państwa przedarła się do centrum kraju i je zawłaszczyła, i my w tym żyjemy”.

Miasto już nie należy do ludzi. Miasto należy do tych, którzy tworzą niewidzialną sieć handlu kokainą. I ludzie

o władzy, którzy doskonale o tym wiedzą, ale pozwalają gangsterom pracować brudne pieniądze w zamian za określony procent od wartości inwestycji.

Świat się kotłuje, chwije i przepoczwarza. Tirana rośnie i puchnie szemranym luksusem w centrum, ale na bocznych uliczkach zionie dziurami w asfalcie i brakiem chodników. Starsze kobiety w chustach sprzedają rękole i szpinak z ceraty, a mali chłopcy nurkują w kontenerach na śmieci, próbując coś z nich dla siebie wygrzebać. Kiedy dzieciaki podrosną, one też stąd uciekną.

Ervin pokazuje mi zdjęcia wszystkich paszportów, których w Wielkiej Brytanii dorobił się jego kolega Oltion. Jeśli zajdzie potrzeba, Oltion może być Grekiem Janisem Dimitrisem. Albo, jeśli wyciągnie paszport z innej kieszeni – Juanem Gonzalesem z Hiszpanii. Chyba że akurat rozsądek podpowie, żeby być Rumunem, to wtedy Oltion stanie się Ciprianem Buneą. W każdym z paszportów Oltion ma to samo zdjęcie w niefrasobliwej, żółtej koszulce polo. Angielscy policjanci i tak nie znają żadnych języków, a przecież każdy obcokrajowiec mówi po angielsku z akcentem. Jeżeli nie zdradzi cię mowa ciała i pot na skroni, będziesz takiej narodowości, jaką wskazuje twój paszport.

Typowy Oltion może spokojnie i kulturalnie dać się przeszmygłować w ciężarówce. Taka usługa kosztuje dwadzieścia tysięcy funtów. Szmugłowanie w pontonie jest zazwyczaj czterokrotnie tańsze, jeszcze do niedawna kosztowało pięć tysięcy funtów, ale teraz wieść gminna niesie, że ceny spadły nawet do trzech. Przemysłowcy mogą też zorganizować podróż za darmo, jeśli delikwent zobowiąże się przez dwa lata pracować w „domach trawy”, w których uprawia się marihuanę. Co oznacza, że w zamian za podróż i przyszłą wolność młodzieńca musi na dwa lata stać się niewolnikiem narkotykowego biznesu. Traci paszport, wolę i autonomię. Jest tylko rękami, które poruszają się wśród marihuanowych krzewów.

Brytyjskie media podają, że w ciągu ostatniego roku około dwa procent całej populacji młodych Albańczyków przedostało się do Wielkiej Brytanii w małych łodziach i pontonach.

Oni wszyscy chcieliby kiedyś wrócić do domu, do Albanii. Ale Albania pustoszeje, bo nie sposób w niej żyć.

Inny kolega, którego nazwę Klodim, opowiada mi, jak udało mu się nożem przeciąć płachtę ciężarówki w przygranicznym francuskim Calais, i w jej zimnym, ciemnym wnętrzu przepłynąć promem do Dover, a potem, wciąż w środku, dotrzeć aż pod Birmingham. „Myślałem tylko o tym, że mi się udało, i jakie to nieprawdopodobne, że udało mi się zaoszczędzić dwadzieścia tysięcy funtów”. Ale kierowca zauważył w Birmingham pasażera na gapę i wezwał policję, i choć Klodi próbował uciekać, cieszył się swoją brytyjską wolnością ledwie dwadzieścia minut. W końcu trafił do ośrodka dla nielegalnych emigrantów, ale z niego uciekł i żył w Wielkiej Brytanii kolejne trzy lata. Żadnych narkotyków, zapewnia, jedynie ciężka fizyczna praca. Dzisiaj studiuje architekturę w Tiranie i jest aktywistą. Ale w przyszłość Albanii nie wierzy.

TYMCZASEM JUŻ TERAZ WSZYSCY MOŻEMY OPOWIADAĆ SOBIE O STRATACH. WOJNA POZBAWIŁA UKRAIŃCÓW DOMÓW, PRĄDU, OGRZEWANIA I SPOKOJU, PRZYNIOSŁA CIERPIENIE, BÓL I STRATĘ. POLAKÓW OGOŁOCIŁA Z CZEGOŚ INNEGO – STABILIZACJI I MARZEŃ. NIE DA SIĘ PORÓWNAĆ TYCH DWÓCH BRAKÓW. CZYMŻE JEST POLSKIE BIADOLENIE O PRZYSZŁOŚCI W PORÓWNIANIU Z NIEPEWNOŚCIĄ UKRAIŃSKIEGO LOSU?

– Tonący okręt – mówi. – Wszyscy robią co mogą, żeby go opuścić i ocalić to, co im zostało z życia.

Po sześciu latach albańskiego życia wiedziałam już, że nie mogę tam zostać dłużej, mimo że spokój i wygoda mojego domu były przywilejem. Sadziłam cytryny i pomarańcze w ogródku, dokarmiłam bezdomne koty, a gdy czułam się znękana chaosem, jechałam za miasto i patrzyłam na nie z dystansu, z wysokości wzgórz. Z daleka widok był piękny. Wiedziałam jednak, że to iluzja; miałam dostatecznie dużo danych i dostatecznie dużo intuicji by wiedzieć, że sytuacja w kraju będzie się pogarszać, a jeśli urodzę tu dziecko, albańskie problemy się o nas upomną.

Jednak myśl, że ominie mnie nadciągająca groza, i tak była złudzeniem. Po dwóch latach odwiedziłam Albanię na bezpiecznym paszportcie kraju, który w oczach świata wydaje się coraz mniej bezpieczny. Jeszcze mogę się trzymać narracji o swoim przywileju w oczach Albańczyków, o skromnym, polskim dobrobycie, roztrwanianym na albańskich wakacjach, o polskiej wygodzie i porządku, ale niepewność wokół rośnie, staje się wspólnym doświadczeniem krajów czujących na plecach oddech Rosji. Łączy nas wspólny dyskomfort i świadomość, że wszystko się zmienia. Kto może, próbuje gromadzić zasoby na jeszcze trudniejsze czasy, na wielką niewiadomą.

Nie ma już świata postępu i beztrioskiej konsumpcji, w który jako nastolatka wierzyłam, zastanawiając się, kiedy polski dobrobyt doczołga się do poziomu przeciętnego dobrobytu lepszej Europy i będziemy mieć jeszcze więcej, to znaczy tyle samo co inni. Teraz wszystko wskazuje na to, że nim Polska wreszcie się wysyci i obrośnie zachodnim tłuszcem, Unia Europejska się rozpadnie, albo zachodnie kraje skurczą się i zmarnieją. Ci, którzy byli bogaci i starzy – umrą, zastąpią ich młodzi emigranci z biedniejszych krajów, którzy uszczkną trochę z obcego dobrobytu, ale nie wiadomo, czy będą w stanie zbudować swój własny, a wraz z nim nowy model świata. Już wiadomo, że ich szczęście nie będzie pochodziło z lśniących katalogów, ich szczęście będzie bardziej pragmatyczne i zgrzebne. Roztrwoniliśmy nasze poczucie bezpieczeństwa. Dla przyszłych pokoleń go zabraknie. Tymczasem już teraz wszyscy możemy opowiadać sobie o stratach. Wojna pozbawiła Ukraińców domów, prądu, ogrzewania i spokoju, przyniosła cierpienie, ból i stratę.

Polaków ogołociła z czegoś innego – stabilizacji i marzeń. Nie da się porównać tych dwóch braków. Czymże jest polskie biadolenie o przyszłości w porównaniu z niepewnością ukraińskiego losu? Mam wrażenie, że nie wypada nawet o tym pisać. Ale wszyscy wokół próbujemy nazywać, to co czujemy i przeżywamy, próbujemy jakoś przygotować się na zmiany, przewidzieć ich skalę, sporządzić wstępny bilans przyszłych strat.

Gdy piszę te słowa, moja komórka wyświetla powiadomienie: „Zmasowany atak raketowy. Cały Lwów bez prądu, wybuchy w Kijowie”.

Ukraińcy tracą swoje domy. Polacy tracą marzenia. O czymkolwiek fantazjowaliśmy, musimy teraz te wizje okroić, odchudzić, odłożyć na lepszy czas. Marzyć trzeba pragmatycznie, uwzględniając niepoliczalne czynniki ryzyka. A więc co nam teraz zostanie z dawnych marzeń?

Ile czasu będą leżeć w schowkach? Aż skurczą się, zaśnieją, aż o nich zapomnimy?

Cokolwiek udało się zgromadzić na kupie, czymkolwiek udało się utkać szczeliny między domem a światem, wszystko to możemy stracić. Już żeśmy się wymościłi w tym przewidywalnym, sytym kapitalizmie niżek, promocji, gratisów i nadatków, a teraz nikt ciepło, spokój i perspektywa.

Pamiętam z lekcji historii, jak wroga

armia bombarduje mosty i niszczy kościoły, zamienia piękno w gruz. Teraz wroga armia obracałaby wniwecz centra handlowe, smukłe wieżowce, Złote Tarasy, przyjemności, aspiracje i pragnienia. To wszystko, co reprezentuje styl życia klasy średniej i przeświadczenie o tym, że rzeczywistość jest przewidywalna, a więc nie trzeba się bać.

Gasną światła w naszych domach.

Albańczycy płyną ku przyszłości pełnej ryzyka i złudzeń.

Ukraińcy nasłuchują spadających rakiet.

Polacy żegnają się z marzeniami.

W snach wszyscy płyniemy na tonącym okręcie przez wielkie morze grozy.

I nikt nie wie, co nas czeka.

▶ 2022, französische Küste. Eine Gruppe Albaner läuft über den Strand auf das Meer zu; mit erhobenen Armen halten sie ein großes schwarzes Schlauchboot, in das sie sich gleich alle hineinquetschen werden. Auch ein paar Frauen und Kinder sind in der Menge; die Kinder sind so verängstigt, dass sie nicht einmal zu weinen wagen. Manche Leute schreien, andere betrachten das Durcheinander mit starrem Blick. Die Mutigsten haben vielleicht einfach am wenigsten Phantasie.

Ein Junge zieht sein Handy hervor, um sein Unglück zu filmen und auf TikTok hochzuladen, doch schon ist der Aufseher der ganzen Aktion neben ihm: „Wenn du filmst, bring ich dich um.”

Trotzdem ist TikTok voll von Videos mit besorgten und aufgeregten Gesichtern albanischer Millenials, die sich als Illegale von Frankreich nach Großbritannien durchschlagen, über den Ärmelkanal, bei Kälte und Wind. Um ihre Zukunft zu erreichen, müssen sie über das große Wasser – es ist eine Verheißung, und vielleicht ist es der Tod. Zu spät für Zweifel. Jetzt richtet sich der ganze Wille auf einen einzigen Gedanken: überleben.

Dieser Strand hier bedeutet nicht Freizeit und Sorglosigkeit, er bedeutet Ungewissheit. Das Schlauchboot ist kein Spiel- und Spaßgegenstand – es ist lediglich ein Transportmittel, das Menschen in ein anderes Leben bringen soll. Seit die Transformation begonnen hat, spiegeln immer und immer wieder die gleichen Bilder das albanische Schicksal: großes Wasser und kleines Boot – ein Motorboot, Floß oder Schlauchboot, irgendetwas, das schwimmt, irgendetwas, das nicht untergeht, irgendetwas, das zur Flucht verhilft.

Seit drei Jahrzehnten immer wieder dieselben Gefühle und Sehnsüchte – mutiges Aufbäumen, quälende Verzweiflung, Angst um das eigene Leben, verdrängt durch hochfliegende Träume von etwas Besserem, Schönerem. Von einer besseren Welt, in der jeder sein trockenes und sicheres Plätzchen findet. Von einem neuen Zuhause, dessen Schönheit die Hässlichkeit des alten vergessen macht – des früheren, des verlassenen Zuhauses mit den morschen Decken, dem Schimmel im Keller.

Dort drüben ist das gute, hier das schlechte Zuhause.

„Fröre die Adria zu – in Albanien bliebe nur die letzte lahme Töle”, hieß es 1991, nach dem Fall des Kommunismus, als die Albaner endlich ihr Gefängnis verlassen durften.

„Wenn ihr uns in die EU aufnehmt, gehen alle von hier weg. Niemand bleibt an diesem verfluchten Ort”, sagte ein Bekannter zu mir, als ich 2013 zum ersten Mal nach Albanien kam.

„Du bist in ein Land gezogen, aus dem alle nur abhauen wollen”, hörte ich in den sechs Jahren meines albanischen Lebens.

„Wie können Sie denn bloß etwas so Negatives über ein so schönes Land sagen?“, fragten die Leserinnen und Leser, die eben von zwei erfüllten und herrlichen Wochen Albanienurlaub zurückkamen.

Wieder bin ich in einem Flugzeug, das gemächlich seine Kreise über Albanien zieht. Mein Blick gleitet über den türkisen Streifen flachen Wassers entlang der Küstenlinie, dann weiter in die Ferne, zum flirrenden Dunkelblau der Adria. Aus dieser Perspektive wirkt das Fleckchen Erde, das sich dort unten erstreckt, wie die Erfüllung eines wunderschönen Traums. Nun senkt sich das Flugzeug langsam, sein sanfter Sinkflug erinnert an das ruhige Schaukeln einer Kinderwiege. Und der Ruck beim Auftreffen der Räder auf der glatten Landebahn erschüttert nicht mehr als der unterdrückte Hickser eines kultivierten Menschen, der sich für einen kurzen Moment vergisst.

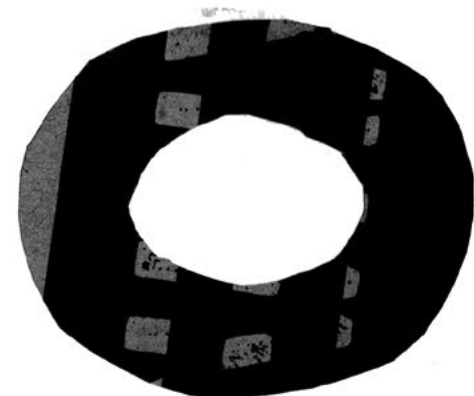
Viel Begeisterung ringsumher, das Stimmengewirr klingt wie munteres Bachgeplätscher an einem heiteren Tag. Die freundliche Illusion von Sicherheit und Vorhersehbarkeit. Als wären niemals irgendwo Systeme und Welten zerfallen.

Und ich stehe hoch oben auf der metallenen Gangway und begrüße die albanische Erde und meine Vergangenheit. Anfang November, das Licht ist weich, warme Mittelmeerluft umschmeichelt mein Gesicht, die dunkelblauen, sanften Konturen der Berge, die wellige Linie der rostig-grünen Hügel, die Reihen von Palmen in der Ferne. Die Landschaft vor mir verheißt Annehmlichkeiten wie aus dem Reisekatalog. Die Art meiner Anreise und der Personalausweis in einem Fach meines Portemonnaies – sie symbolisieren meine Privilegiertheit.

Nach sechs Jahren ließ ich alles zurück, was ich mir in Albanien aufgebaut hatte, und nahm mein polnisches Leben wieder auf. Jetzt bin ich nur kurz wieder hier und suche die wohlbekanntesten Orte in Tirana auf, das sich in den letzten paar Jahren in eine riesige Baustelle verwandelt hat. Die Stadt dröhnt, knattert und lärmt. Der Boden öffnet sich vor meinen Füßen. Dreißigstöckige, vierzigstöckige Hochhäuser auf schmalen Fleckchen Erde, kaum ist Platz für einen Gehsteig. Ein Raum, durchschnitten von den schmalen Streifen verstopfter Straßen. Unablässiges Gehupe. Eine Stadt, erstickt von Enge, betäubt von Lärm. Früher ratterte hier das typisch balkanische Geschnatter – schrill, aber liebenswert. Jetzt ist nur noch das dumpfe Surren von Kränen und das Kreischen von Bohrern zu hören, mitten in der Nacht, das monotone Getöse einer riesigen Maschinerie, die schmutziges Geld aus der ganzen Welt reinwäscht.

Tirana ist zu einem Ungeheuer geworden, das seine eigenen Kinder verschlingt. Im Stadtzentrum schießt ein Wohnturm neben dem anderen aus dem Boden, obwohl die Quadratmeterpreise die höchsten auf dem ganzen Balkan sind. Das Land leert sich, doch die Preise schwellen.

Eine offizielle, rationale Erklärung gibt es nicht für dieses Paradox. Doch es gibt eine inoffizielle: 2017 besiegelten die Albaner ein Geschäft mit Drogenproduzenten in Südamerika und übernahmen die Wege des Drogenhandels in ganz Europa. Nun gibt es keine Mittelsmänner mehr: Das Kokain – sicher verborgen in Bananen aus Keramik oder ähnlichen Verstecken – gelangt von Ecuador und Kolumbien direkt in die Häfen von Durrës und Amsterdam, wo es die Albaner mit offenen Armen entgegennehmen. Sie gehen das Risiko ein, die Drogen in ganz Westeuropa



© Dorota Gawryszewska

zu verbreiten – in Großbritannien, Holland und anderen Ländern. Es ist ein großer Coup, und er braucht immer neue Waghälse. Junge Männer, denen in ihrem Land keinerlei Chancen offenstehen und die vom Cousin in England gehört haben, der es richtig zu was gebracht hat und jetzt einen Megaschlitten mit dunkel getönten Scheiben fährt. Hier, in Tirana, erwartet sie nur ein Kellerjob oder eine frustrierende Schufferei mit Zehn-Stunden-Telefonschichten. Von den umgerechnet dreihundert Euro im Monat werden sie sich nie eine eigene Wohnung kaufen können. Auch ein Hochschulstudium bringt ihnen nichts, es garantiert keinen gesellschaftlichen Aufstieg. Albanien ist zum schlechten Zuhause für sie geworden, einer Heimat ohne Hoffnung und ohne Zukunft.

Deswegen suchen sie sich Schlepper, quetschen sich in ein schwarzes Schlauchboot und setzen damit nach Großbritannien über, wo das Getriebe schon auf neue Rädchen wartet. Und wenn jemand nicht für fünftausend Pfund im Monat Drogen vertreiben will, dann bleibt ihm immer noch ein Job auf dem Bau für dreitausend.

„Das hätte keiner erwartet, dass das Ganze solche Konsequenzen haben würde“, meint Ervin aus Dibra, einem kleinen Ort in Nordalbanien, lachend.

Alle diese jungen Männer auf der Suche nach ihrem illegalen Glück kommen aus dem Norden – aus Dibra, Kukës, Tropoja, Städten ohne Universitäten und ohne Perspektiven, dafür mit dichten Klanstrukturen. Und sie kennen sich alle untereinander. Sie sind jedem jederzeit gern behilflich, doch stellt sich einer gegen sie oder hält nicht dicht, dann befördern sie seine Familie ins Jenseits. Und da sich diesbezüglich niemand Illusionen macht oder mit Erbarmen rechnet, stellt sich auch keiner gegen sie, wird keiner zum Verräter.

Ervin hat ein junges Gesicht mit feinen Zügen und kurzgeschnittenes blondes Haar; er redet ruhig und im Plauderton, als wühlten wir nicht gerade gemeinsam im albanischen Dreck. Zwei seiner Brüder haben in England ihr Ding gemacht, einer ist heil aus der Sache herausgekommen, der andere hat mehrere Jahre im Gefängnis gesessen.

„Weißt du“, sagt Ervin, „meine Kumpel arbeiten drüben in Großbritannien – aber hier, vor Ort, verwandelt sich Tirana wegen ihrer Geschäfte und diesem ganzen System in die reinste Hölle. Das Land wird von Mafiageld überschwemmt, deswegen steigen die Wohnungspreise, denn die Leute zahlen bar. Sie stellen dir Koffer mit Geld hin, einen neben dem anderen, und du kannst dir irgendeinen Mondpreis ausdenken – sie kaufen sowieso, weil sie kaufen wollen. Da Geld muss gewaschen werden, darum werden immer neue Häuser gebaut, das Stadtzentrum wird voller und voller, man kann dort schon kaum noch leben. Diese ganze Sache, die sich aus der Leere im Norden entwickelt hat, aus der Perspektiv- und Hoffnungslosigkeit, ist rasend schnell außer Kontrolle geraten. Und nun macht sie unsere Hauptstadt kaputt.“

Einer meiner Bekannten, ein Journalist, beschreibt das Phänomen mit etwas anderen Worten: „Die organisierte Kriminalität aus den hintersten Ecken des Landes ist in

dessen Mitte vorgedrungen und hat sie gänzlich eingenommen, und wir müssen nun in alldem leben.“

Die Stadt gehört nicht mehr ihren Bewohnern. Die Stadt gehört denjenigen, die ihr unsichtbares Kokainhandelsnetz spinnen. Und denjenigen, die an der Macht sind und bestens Bescheid wissen – und es den Kriminellen dennoch erlauben, ihr schmutziges Geld zu waschen, gegen einen bestimmten Anteil am Investitionswert.

Die Welt brodeln, sie wankt und sie wandelt sich. Tirana wächst und quillt über vom verdächtigen Luxus in seiner Mitte, während in den ärmlichen Nebenstraßen tiefe Löcher im Asphalt klaffen und Gehsteige fehlen. Ältere Frauen mit Kopftüchern bieten Rucola und Spinat auf Wachstuchdecken zum Verkauf, kleine Jungen tauchen in Müllcontainern nach Dingen, die sie noch gebrauchen können. Wenn diese Kinder groß sind, werden auch sie die Flucht ergreifen.

Ervin zeigt mir Fotos von allen Pässen, die sein Kumpel Oltion sich in Großbritannien hat machen lassen. Im Fall der Fälle kann Oltion ein Grieche namens Jannis Dimitris sein. Oder, wenn er den Pass aus einer anderen Tasche zieht, Juan Gonzales aus Spanien. Es sei denn, der gesunde Menschenverstand legt ihm nahe, es als Rumäne zu versuchen – dann wird Oltion zu Ciprian Bunea. In jedem seiner Pässe hat Oltion dasselbe Foto, auf dem er ein sonnig gelbes Poloshirt trägt. Die englischen Polizisten sprechen selbst nichts außer Englisch, und jeder Ausländer spricht Englisch mit einem Akzent. Solange dich deine Körpersprache und die Schweißperlen auf deiner Stirn nicht verraten, hast du eben die Nationalität, die in deinem Pass steht.

Ein typischer Oltion kann sich in aller Ruhe und ganz kultiviert in einem Lastwagen nach Großbritannien schmuggeln lassen. Eine solche Dienstleistung kostet zwanzigtausend Pfund. Der Schmuggel im Schlauchboot kostet üblicherweise nur ein Viertel davon, bis vor kurzem also um die fünftausend Pfund, wobei die neuesten Gerüchte besagen, dass der Preis aktuell gar auf dreitausend gefallen sein soll. Ja, sogar eine gänzlich kostenlose Überfahrt können die Schlepper organisieren, wenn der Delinquent sich verpflichtet, zwei Jahre in sogenannten „Grashäusern“ zu arbeiten, in denen Marihuana angebaut wird. Das bedeutet, der junge Mensch muss als Gegenleistung für seine Reise und seine zukünftige Freiheit für zwei Jahre zum Sklaven des Drogenbusiness werden. Er verliert seinen Pass, seinen freien Willen und seine Autonomie – er ist nur noch zwei flinke Hände zwischen Hanfpflanzen.

Den britischen Medien zufolge sollen im Laufe des letzten Jahres etwa zwei Prozent der jungen albanischen Bevölkerung mit kleinen Booten und Schlauchbooten nach Großbritannien gekommen sein.

Sie alle wollen irgendwann wieder nach Hause, nach Albanien. Doch Albanien entvölkert sich mehr und mehr, es lässt sich dort einfach nicht leben.

Ein anderer Kumpel, den ich hier Klodi nennen möchte, erzählt mir, wie es ihm gelungen ist, mit einem Messer

die Plane eines Lastwagens in der französischen Grenzstadt Calais aufzuschlitzen und so, im kalten Dunkel des Laderaums, auf einer Fähre nach Dover überzusetzen – und dann, immer noch im Lastwagen, sogar bis nach Birmingham zu gelangen. „Ich habe die ganze Zeit nur daran gedacht, dass es tatsächlich geklappt hat, und was für ein unwahrscheinliches Glück ich hatte, mir die zwanzigtausend Pfund zu sparen“. In Birmingham aber entdeckte der Fahrer den blinden Passagier und rief die Polizei, und so konnte Klodi sich, obwohl er davonzurennen versuchte, gerade einmal zwanzig Minuten an seiner britischen Freiheit erfreuen. Schließlich brachte man ihn in ein Heim für illegale Einwanderer, aus dem er jedoch flüchtete und noch drei weitere Jahre in Großbritannien lebte. Keine Drogen, versichert er, nur schwere körperliche Arbeit. Heute studiert er Architektur in Tirana und ist Aktivist. Aber an eine Zukunft Albaniens glaubt er nicht.

„Ein sinkendes Schiff“, sagt er. „Alle tun, was sie können, um es zu verlassen und zu retten, was ihnen vom Leben noch geblieben ist.“

Nach sechs Jahren albanischen Lebens wusste ich, dass ich dort nicht länger würde bleiben können, obwohl die Ruhe und das angenehme Leben in meinem Haus ein Privileg waren. Ich pflanzte Zitronen- und Apfelsinenbäumchen im Garten, fütterte streunende Katzen, und wenn das Chaos mir zu viel wurde, fuhr ich aus der Stadt und sah sie mir aus der Ferne an, von der Höhe der Hügel. Von Weitem war der Anblick wunderschön. Dennoch war mir klar – dies war eine Illusion; ich hatte genug Daten und genug Intuition, um zu wissen, dass die Situation im Land sich verschlechtern – und dass die albanischen Probleme, wenn ich hier ein Kind bekäme, uns auf die Füße fallen würden.

Doch war der Glaube, die heraufziehende Bedrohung würde mich umgehen, ohnehin nur eine Illusion. Nach zwei Jahren besuchte ich Albanien mit dem sicheren Pass eines Landes, das in den Augen der Welt zunehmend unsicher erscheint. Noch kann ich mich an das Narrativ von meinem privilegierten Status halten, den ich aus albanischer Sicht besitze, an das Narrativ vom bescheidenen polnischen Wohlstand, der in Albanienurlaubs verprasst wird, vom guten Leben und der Ordnung in Polen – doch die Unsicherheit ringsumher wächst, wird zur gemeinsamen Erfahrung der Länder, die Russlands Atem im Nacken spüren. Nun verbindet uns ein geteiltes Unbehagen und das Bewusstsein, dass sich alles verändert. Wer kann, versucht, Vorräte anzulegen für eine noch schwierigere Zeit, für eine große Unbekannte.

Es gibt sie nicht mehr, die Welt des Fortschritts und des sorglosen Konsums, an die ich als Heranwachsende geglaubt habe, als ich mich noch fragte, wann der polni-

sche Wohlstand wohl endlich auf das Niveau des durchschnittlichen Wohlstands im besseren Europa geklettert wäre und wir noch mehr hätten, also genau so viel wie die anderen. Jetzt sieht es ganz danach aus, als würde die Europäische Union auseinanderbrechen, oder die westlichen Länder würden schrumpfen und verkümmern, bevor Polen endlich satt wäre und sich eine westliche Speckschicht zugelegt hätte. Die Alten und Reichen sterben, junge Emigranten aus ärmeren Ländern rücken nach und zwacken sich ein bisschen vom fremden Wohlstand ab, wobei ungewiss bleibt, ob sie es schaffen werden, sich ihren eigenen Wohlstand und damit ein neues Weltmodell aufzubauen. Ersichtlich ist bereits, dass ihr Glück nicht aus Hochglanzkatalogen kommen wird – nein, ihr Glück wird pragmatischer und einfacher sein. Wir haben unser Gefühl der Sicherheit verspielt. Für die nachfolgenden Generationen ist keines mehr übrig. Indessen können wir uns alle schon jetzt gegenseitig ein Lied davon singen, was wir bereits verloren haben. Der Krieg hat den Ukrainern Häuser, Strom, Heizung und Seelenfrieden genommen und ihnen stattdessen Leid, Schmerz und Verlust gebracht. Den Polen hat er etwas anderes genommen – die Stabilität und die Träume. Diese beiden Verluste lassen sich nicht miteinander vergleichen. Was ist denn die ungewisse Zukunft, über die die Menschen in Polen jammern, im Vergleich mit der Ungewissheit des ukrainischen Schicksals? Für mich fühlt es sich schon unpassend an, überhaupt davon zu schreiben. Aber wir alle ringsumher versuchen zu benennen, was wir fühlen und ahnen, wir versuchen, uns irgendwie auf die Veränderungen vorzubereiten, ihr Ausmaß vorherzusehen, eine vorläufige Bilanz der zukünftigen Verluste aufzustellen.

DER KRIEG HAT DEN UKRAINERN HÄUSER, STROM, HEIZUNG UND SEELNFRIEDEN GENOMMEN UND IHNEN STATTDEN LID, SCHMERZ UND VERLUST GEBRACHT. DEN POLEN HAT ER ETWAS ANDERES GENOMMEN – DIE STABILITÄT UND DIE TRÄUME. DIESE BEIDEN VERLUSTE LASSEN SICH NICHT MITEINANDER VERGLEICHEN. WAS IST DENN DIE UNGEWISSE ZUKUNFT, ÜBER DIE DIE MENSCHEN IN POLEN JAMMERN, IM VERGLEICH MIT DER UNGEWISSEIT DES UKRAINISCHEN SCHICKSALS?

lungen zurückstutzen, sie abspecken, sie für bessere Zeiten beiseitelegen. Nun heißt es, pragmatisch zu träumen, unter Einbezug unberechenbarer Risikofaktoren. Was bleibt also jetzt noch von unseren früheren Träumen? Wie lange werden sie in der Schublade liegen? Bis sie verschrumpeln, sich mit Grünspan überziehen? Bis wir sie vergessen?

Was wir auch angehäuft haben, womit wir auch die Ritzen zwischen unserem Haus und der Welt verstopft

Als ich diese Worte schreibe, poppt auf meinem Handy eine Nachricht auf: „Massiver Raketenangriff auf die Ukraine. Ganz Lwiw ohne Strom, Explosionen in Kiew.“

Die Ukrainer verlieren ihre Häuser. Die Polen verlieren ihre Träume. Was auch immer wir uns gewünscht haben – nun müssen wir diese Wunschvorstel-

haben – all das können wir nun verlieren. So schön hatten wir uns eingerichtet in diesem vorhersehbaren, satten Kapitalismus der Sonderangebote, der Sparpreise, der Extras und Beigaben, und jetzt werden uns plötzlich Wärme, Ruhe und sämtliche Perspektiven entzogen.

Ich weiß aus dem Geschichtsunterricht, wie es ist, wenn eine feindliche Armee Brücken bombardiert und Kirchen zerstört, wenn sie Schönes in Schutt und Asche legt. Heute würde eine feindliche Armee Einkaufszentren zerstören, schlanke Wolkenkratzer, das Warschauer Shoppingcenter Złote Tarasy – Goldene Terrassen –, Annehmlichkeiten, Bestrebungen, Sehnsüchte. Alles, was den Lebensstil der Mittelschicht repräsentiert und von der Überzeugung kündigt, die Wirklichkeit sei vorhersehbar, und man brauche nichts zu fürchten.

Das Licht geht aus in unseren Häusern.

Die Albaner treiben in ihren Schlauchbooten einer risikoreichen, illusorischen Zukunft entgegen. Die Ukrainer horchen auf Raketeneinschläge. Die Polen verabschieden sich von ihren Träumen. Nachts im Traum treiben wir alle in einem sinkenden Schiff auf einem riesigen Meer des Schreckens. Und keiner weiß, was uns erwartet.

[Aus dem Polnischen von Lisa Palmes]

2022 рік, узбережжя Франції. Гурт албанців біжить пляжем убік моря, підтримуючи на зведених угору руках великий чорний понтон, щоб за мить у нього набитися. У натовпі плутається кілька жінок і дітей, настільки наляканих, що не насмілюються навіть плакати. Одні кричать, інші спостерігають за рейвахом із застиглими обличчями. Можливо, у найвідважніших просто найменш розвинена уява.

Один із хлопців витягає телефон, щоби зняти свою біду для “Тік-Току”, але наглядч переправи прожогом кидається до нього. “Якщо зніматимеш – я тебе вб’ю”, – каже.

А все ж на “Тік-Току” повно відео зі стривоженими й напруженими обличчями албанських міленіалів – нелегалів, які пливають із Франції у Велику Британію через Ла-Манш, крізь холод і вітер. Щоб дістатися до свого майбутнього, вони мусять переплисти велику воду, що є надією, а може обернутися смертю. Сумніватися вже пізно. Зараз всі думки про одне: вижити.

Цей пляж – не безтурботна місцина, цей пляж – суцільна невизначеність. Понтон створений не для відпочинку й насолоди, це лише транспортний засіб, що має перенести людей у інше життя. Після зміни політичного режиму в албанській долі повторюються

DIE UKRAINER VERLIEREN IHRE HÄUSER. DIE POLEN VERLIEREN IHRE TRÄUME. WAS AUCH IMMER WIR UNS GEWÜNSCHT HABEN – NUN MÜSSEN WIR DIESE WUNSCHVORSTELLUNGEN ZURÜCKSTUTZEN, SIE ABSPECKEN, SIE FÜR BESSERE ZEITEN BEISEITELEGEN. NUN HEISST ES, PRAGMATISCH ZU TRÄUMEN, UNTER EINBEZUG UNBERECHENBARER RISIKOFAKTOREN. WAS BLEIBT ALSO JETZT NOCH VON UNSEREN FRÜHEREN TRÄUMEN? WIE LANGE WERDEN SIE IN DER SCHUBLADE LIEGEN? BIS SIE VERSCHRUMPELN, SICH MIT GRÜNSPAN ÜBERZIEHEN? BIS WIR SIE VERGESSEN?

схожі образи: велика вода й маленький катер, або моторний човен, пліт чи понтон, все, що тримається на поверхні, все, що не потоне, все, що допоможе втекти.

Уже впродовж трьох десятиліть повторюються ті самі емоції й прагнення: пориви зухвальства, гойдалки відчаю і страх за життя, приспаний мріями про щось ліпше й світліше. Про кращий світ, у якому кожен зів’є собі сухе й безпечне гніздечко. Про новий дім, краса якого зітре спогади про потворність старого, покинутого, з прогнилими дахами, з грибок у підвалах.

Там – хороший дім, тут – дім поганий.

“Якби Адріатичне море замерзло, в Албанії не залишилося б живої душі”, – говорили 1991 року, коли настав крах комунізму, а албанці змогли нарешті вивратися зі своєї в’язниці.

“Якщо візьмете нас у Європейський Союз, звідси дременуть усі. Ніхто не залишиться у цьому пеклі”, – сказав мені знайомий 2013 року, коли я приїхала вперше.

“Ти оселилась у країні, з якої всі прагнуть поїхати”, – чула я усі шість років албанського життя.

“Як ви можете нарікати на таку гарну країну?” – питали читачі, які саме повернулись із ситої і захопливої двотижневої відпустки.

Я знову сиджу в літаку, що неспішно кружляє над Албанією. Мій погляд ковзає лазуровим пасмом мілкої води уздовж берегової смуги, і біжить далі, до рясливої синяви Адріатичного моря. З цієї перспективи шматок суші, що видніється унизу, здається раєм на землі. Літак поволі опускається, і його м'яке зниження таке спокійне, ніби заколисує дитину до сну. А коли колеса літака торкаються гладкої поверхні посадкової смуги – це наче ледь приглушене гикання вихованої людини, яка на мить забулася.

Навколо панує піднесення, гамір голосів, ніби жебоніння струмка погідної днини. Мила ілюзія безпеки й передбачуваності. Ніби ніколи й ніде не розпадалися системи і світи.

А я нагорі металевого трапу вітаюся з албанською землею і зі своїм минулим. Початок листопада, м'яке світло, тепло середземноморського повітря, що овіває обличчя, сині, невиразні обриси гір, хвиляста лінія іржаво-зелених пагорбів і ряди пальм віддалік. Пейзаж переді мною розточує обітницю насолоди, немов ожили туристичні брошурки. Те, як я сюди дісталася, і паспорт в одному з відділів гаманця – це два символи моєї привілейованості.

Після шести років у Албанії я залишила все, що тут збудувала, аби повернутися до польського життя. А зараз ненадовго повернулася і знову ходжу знайомими місцями в Тірані, яка за останні кілька років перетворилася на великий будівельний майданчик. Місто гупає, вібує, гуде. Земля розчахується під ногами. Тридцяти-, сорокаповерхові хмарочоси на клатках землі, майже без тротуарів. Простір померезаний вузькими смужками вулиць із вічними заторами. Безперервне виття клаксонів. Задушливе місто, оглушене ревом. Колись тут жебонів типовий балканський гомін, верескливий, але милий. А тепер – зловісне гудіння кранів і свердел, що працюють посеред ночі, монотонне гуготіння великої жаскої мийки, що відмиває гроші з усього світу.

Тірана стала монстром, що поїдає своїх дітей. У центрі одна за одною вигулькують висотки, але ціни за квадратний метр тут найвищі на Балканах. І хоч країна безплідніє, ціни ростуть, як на дріжджах.

І цьому парадоксу немає жодного офіційного раціонального пояснення. Є інше, неофіційне: після 2017 року албанці сколотили бізнес з виробниками наркотиків у Південній Америці й узяли під контроль усі наркошляхи в Європі. Більше немає посередників, кокаїн, схований, скажімо, в керамічних бананах, пливе з Еквадору й Колумбії прямо в порти Дурреса й Амстердама, де його вже чекають розпростерті албанські обійми. Це албанці взяли на себе ризики доставки наркотиків по всій Великій Британії, Нідерландах та інших країнах західної Європи. Масштаби бізнесу величезні, він весь час потребує нових сміливців. Юних хлопців, які не мають жодних перспектив

у своїй країні, але чули, що кузен у Англії нарешті розжився і їздить власною тачкою із затемненими вікнами. Тут, у Тірані, молоді світить хіба що робота офіціанта чи фруструючий мозоль десятигодинного просиджування в кол-центрі. За триста євро зарплати вони ніколи не зможуть купити собі квартиру. Вища освіта їм нічого не дасть, не гарантує покращення соціального статусу. Албанія стала для них поганим домом, без надії і без майбутнього.

Тому вони знаходять контрабандистів, набиваються в чорний понтон і плывуть у Велику Британію, де механізм уже чекає на нові гвинтики. А як хтось не хоче розвезити наркотики за п'ять тисяч фунтів на місяць, той завжди може собі організувати роботу на будівництві за три тисячі.

– Ніхто не очікував, що це все матиме такі наслідки, – усміхається Ервін, сам із Дібера, невеличкої області на півночі Албанії.

Усі ці хлопці в пошуках нелегального щастя – якраз із Дібера, Кукеса, Тропої, північних міст, без університетів і перспектив, зате з живучою класовою системою. Усі всіх знають. Охоче тобі допоможуть, але якщо перейдеш комусь дорогу чи зрадиш, на той світ відправлять твою родину. А що ні в кого немає ілюзій і ніхто не розраховує на милосердя, то ніхто не зраджує і доріг не переходить.

У Ервіна делікатне юнацьке обличчя, світле й коротко стрижене волосся, його мова спокійна й лагідна, ніби під час розмови ми не копіраємося в албанському морозі. Двоє його братів крутилися собі в Англії, один вийшов сухим із води, другий відсидів кілька років у в'язниці.

– Бачиш, – каже Ервін, – мої друзі працюють там, у Великій Британії, а тут, на місцях, через їхній бізнес і всю цю систему Тірана перетворюється на пекло. Країна завалена мафіозними грошима, тому ціни на житло ростуть, бо люди купують його за готівку. Розкладають валізи з грошима, одна біля одної – і можеш вигадувати будь-яку ціну, вони й так заплатять за те, що хочуть купити. Гроші треба відмити, тому виростають нові будинки, а центр стає дедалі тіснішим і не надто зручним для життя. Те, що прийшло з пустки на півночі, з безнадії й браку перспектив, миттєво вийшло з-під контролю й почало нищити столицю.

Знайомий журналіст пояснює цей феномен ще інакше: “Організована злочинність продерлася із закамарків держави до центру і ним заволоділа, а ми в цьому живемо”.

Місто більше не належить людям. Місто належить тим, хто творить невидиму мережу торгівлі кокаїном. І люди у владі чудово про це відомо, але вони дозволяють гангстерам відмивати гроші в обмін на відсоток від вартості інвестиції.

Світ клекотить, хитається й перероджується. Тірана розростається й розбухає сумнівною розкішшю в центрі, але на бічних вуличках зяють дірками в асфальті

й браком тротуарів. Старші жінки у хустках продають руку і шпинат на тротуарах, а малі хлопці пірнають у контейнери зі сміттям, намагаючись щось із них для себе вигребти. Коли діти підростуть, також звідти втечуть.

Ервін показує мені фото усіх закордонних паспортів, якими розжився в Великій Британії його друг Ольтіон. Якщо буде така потреба, Ольтіон може бути греком Янісом Дімітрісом. Або, якщо витягне паспорт з іншої кишені – Хуаном Гонсалесом з Іспанії. Хіба що розумніше буде зробитися румуном, тоді Ольтіон стане Кіпріаном Бунесею. У кожному з паспортів Ольтіона та сама світлина в безтурботній жовтій футболці-поло. Англійські поліцейські і так не знають жодних інших мов, а кожен іноземець говорить англійською з акцентом. Якщо тебе не видасть мова тіла й піт на скроні, ти будеш такої національності, яку засвідчує твій паспорт.

Типового Ольтіона можна спокійно й культурно переправити, як контрабанду, вантажівкою. Така послуга коштує 20 тисяч фунтів. Переправа на понтоні зазвичай учетверо дешевша, ще донедавна це коштувало 5 тисяч фунтів, але зараз чутки доносять, що ціни впали навіть до трьох. Контрабандисти можуть навіть організувати безкоштовну дорогу, якщо замовник зобов'яжеться два роки працювати в “будинках трави”, де вирощують маріхуану. Що значить, що в обмін за дорогу й майбутню свободу такий хлопець на два роки має стати рабом наркобізнесу. Він втрачає паспорт, волю і автономію. Стає просто руками, що рухаються посеред кущів марихуани.

Британські медіа інформують, що протягом останнього року близько двох відсотків усієї популяції молодих албанців перебралися до Великої Британії на малих човнах і понтонах.

Усі вони хочуть колись повернутися додому, в Албанію. Але Албанія знелюднюється, бо неможливо в ній жити.

Інший знайомий, якого я назву Клоді, розповідає мені, як йому вдалося ножем розрізати брезент вантажівки у прикордонному французькому Кале, і в її холодному темному череві переплив паромом до Дувра, а потім, все ще всередині вантажівки, дістатися аж під Бірмінгем. “Я думав лише про те, що мені вдалося, і як це неймовірно, що вдалося зекономити 20 тисяч фунтів”. Але водій у Бірмінгемі помітив “зайця” й викликав поліцію, і хоч Клоді намагався втекти, він насолоджувався своєю британською свободою заледве 20 хвилин. Зрештою він потрапив у центр для нелегальних мігрантів, але втік звідти й прожив у Великій Британії 3 роки. Ніяких наркотиків, – запевняє, – лише важка фізична праця. Нині він вчиться на архітектора в Тірані і став активістом. Але в майбутне Албанії не вірить.

– Цей корабель тоне, – каже він. – Усі роблять, що можуть, аби з нього вибратися і зберегти те, що в них залишилося для життя.

Після шести років албанського життя я вже знала, що не можу там більше залишатися, попри те, що спокій і комфорт мого дому були привілеєм. Я саджала лимони й апельсини в садку, підгодовувала бездомних котів, а коли відчувала втому від хаосу, їхала за місто й дивилася на нього звіддалік, з висоти пагорбів. Здалеку вид був прекрасним. Але я знала, що це ілюзія, у мене було достатньо багато даних і достатньо багато передчуттів, щоби знати, що ситуація в країні буде погіршуватися, а якщо я народжу тут дитину, албанські проблеми ще будуть дуже відчутними.

Однак думка, що мене омине ця прийдешня небезпека і так була оманною. Через два роки я приїхала в Албанію з надійним паспортом країни, яка в очах світу здається

дедалі безпечнішою. Я ще можу зберігати наратив про свої привілеї в очах албанців, про скромний польський добробут, який спускають під час албанських відпусток, про польський комфорт і порядок, але непевність навколо зростає, стає спільним досвідом країн, яким Росія дихає в потилицю. Нас поєднує спільний дискомфорт і усвідомлення, що все змінюється. Хто може, намагається заощаджувати ресурси на ще важчі часи, на велике невідоме.

ТИМ ЧАСОМ УЖЕ ЗАРАЗ МИ МОЖЕМО ДІЛИТИСЯ ОДИН З ОДИМ СТРАХАМИ. ВІЙНА ВІДІБРАЛА В УКРАЇНЦІВ ДОМІВКИ, ЕЛЕКТРИКУ, ОПАЛЕННЯ І СПОКІЙ, ПРИНЕСЛА СТРАЖДАННЯ, БІЛЬ І ВТРАТИ. У ПОЛЯКІВ УКРАЛА ДЕЩО ІНШЕ – СТАБІЛЬНІСТЬ І МРІЇ. ЦИХ ДВОХ ВТРАТ НЕМОЖЛИВО ПОРІВНЯТИ. ЩО ЗНАЧИТЬ ПОЛЬСЬКЕ БІДКАННЯ ПРО МАЙБУТНЄ У ПОРІВНЯННІ З НЕПЕВНІСТЮ УКРАЇНСЬКОЇ ДОЛІ?

Немає вже світу прогресу й безтурботного споживачтва, в який я вірила підліткою, задумуючись, коли польська заможність доповзе до рівня пересічної заможності кращої Європи і ми матимемо ще більше, тобто стільки ж, як інші. Тепер усе вказує на те, що перш ніж Польща нарешті насититься й обросте західним жиром, Європейський Союз розпадеться або західні країни змарніють і змаліють. Ті багаті й старі – помруть, їм на зміну прийдуть молоді емігранти з бідніших країн, які відхвтають собі трохи від чужого добробуту, але невідомо, чи зможуть вони збудувати свою власну, а разом нову модель світу. Уже зрозуміло, що їхнє щастя буде родом не з кольорових каталогів, їхнє щастя буде прагматичнішим і простим. Ми розтринькали наше відчуття безпеки. Для майбутніх поколінь його вже не вистачить.

Немає вже світу прогресу й безтурботного споживачтва, в який я вірила підліткою, задумуючись, коли польська заможність доповзе до рівня пересічної заможності кращої Європи і ми матимемо ще більше, тобто стільки ж, як інші. Тепер усе вказує на те, що перш ніж Польща нарешті насититься й обросте західним жиром, Європейський Союз розпадеться або західні країни змарніють і змаліють. Ті багаті й старі – помруть, їм на зміну прийдуть молоді емігранти з бідніших країн, які відхвтають собі трохи від чужого добробуту, але невідомо, чи зможуть вони збудувати свою власну, а разом нову модель світу. Уже зрозуміло, що їхнє щастя буде родом не з кольорових каталогів, їхнє щастя буде прагматичнішим і простим. Ми розтринькали наше відчуття безпеки. Для майбутніх поколінь його вже не вистачить.

Тим часом уже зараз ми можемо ділитися один з одним страхами. Війна відібрала в українців домівки, електрику, опалення і спокій, принесла страждання, біль і втрати. У поляків украли дещо інше – стабільність і мрії. Цих двох втрат неможливо порівняти. Що

значить польське бідання про майбутнє у порівнянні з непевністю української долі? Мені здається, що про це незручно навіть писати. Але ми всі намагаємося проговорювати те, що відчуваємо і передчуваємо, намагаємося якось приготуватися до змін, передбачити їхній масштаб, розрахувати попередній баланс майбутніх втрат.

Коли я пишу ці слова, на моєму телефоні спливає повідомлення: “Масова ракетна атака. Увесь Львів без електрики, вибухи в Києві”.

Українці втрачають свої домівки. Поляки втрачають мрії. Про що б ми собі не снили, тепер ми повинні ці бажання перебрати, обкряяти, відкласти на кращі часи. Мріяти треба прагматично, беручи до уваги невраховані фактори ризику. То що нам тепер залишиться з колишніх мрій? Як довго їм лежати у сховах? Поки не зсохнуться, не заіржавіють, не забудуться?

Що б ми не накопичили, чим би не заповнили шпарини між домом і світом, усе це ми можемо втратити. Ми вже вместились у цьому передбачуваному ситому капіталізмі знижок, промокампаній, акцій і надлишків,

УКРАЇНЦІ ВТРАЧАЮТЬ СВОЇ ДОМІВКИ. ПОЛЯКИ ВТРАЧАЮТЬ МРІЇ. ПРО ЩО Б МИ СОБІ НЕ СНИЛИ, ТЕПЕР МИ ПОВИННІ ЦІ БАЖАННЯ ПЕРЕБРАТИ, ОБКРЯЯТИ, ВІДКЛАСТИ НА КРАЩІ ЧАСИ. МРІЯТИ ТРЕБА ПРАГМАТИЧНО, БЕРУЧИ ДО УВАГИ НЕВРАХОВАНІ ФАКТОРИ РИЗИКУ. ТО ЩО НАМ ТЕПЕР ЗАЛИШИТЬСЯ З КОЛИШНІХ МРІЙ? ЯК ДОВГО ЇМ ЛЕЖАТИ У СХОВАХ? ПОКИ НЕ ЗСОХНУТЬСЯ, НЕ ЗАІРЖАВІЮТЬ, НЕ ЗАБУДУТЬСЯ?

а тепер зникають навіть тепло, спокій і перспективи. З уроків історії я пам’ятаю, як ворожа армія бомбардує мости і нищить костели, перетворює красу на руїни. Зараз ворожа армія нівечила б торгові центри, тонкі хмарочоси, “Золоті тераси”, задоволення, амбіції і бажання. Усе те, що репрезентує стиль життя середнього класу і переконання про те, що дійсність – передбачувана, а отже немає чого боятися.

Світло гасне в наших домівках.

Албанці плывуть у майбутнє, сповнене ризику та облуд.

Українці прислухаються до прильотів ракет.

Поляки прощаються із ілюзіями.

У снах усі ми плывемо безкраім морем жаху на кораблі, що опускається на дно.

І ніхто не знає, що чекає нас попереду.

[З польської переклала Олена Шеремет]

MAŁGORZATA REJMER – pisarka i reporterka, autorka powieści *Toksymia* oraz dwóch książek reporterskich *Bukareszt. Kurz i krew* i *Błoto słodsze niż miód*. Laureatka m.in. Nagrody Kościelskich, Nagrody Newsweeka im. Teresy Torańskiej, Paszportu Polityki.

MAŁGORZATA REJMER – Schriftstellerin und Reporterin, Autorin des Romans *Toksymia* (Toximie) und der beiden Reportagebände *Bukareszt. Kurz i krew* (Bukarest. Blut und Staub) und *Błoto słodsze niż miód* (Schlamm süßer als Honig). Rejmer wurde mit dem Kościelski-Literaturpreis, dem Reportagepreis der Zeitschrift „Newsweek“ und der Teresa-Torańska-Stiftung sowie dem *Paszport-Polityki*-Reportagepreis der Zeitschrift „Polityka“ ausgezeichnet.

МАЛГОЖАТА РЕЙМЕР – письменниця і репортерка, авторка роману *Toksymia* (Токсимія) і двох репортажних книжок *Бухарест. Пил і кров*, а також *Болото солодше за мед*. Лауреатка зокрема Премії Косьцельських, Премії часопису “Newsweek” ім. Тереси Торанської, “Паспорту” часопису “Політика”.

Anja Tuckermann Аня Тукерман Anja Tuckermann

**WINTERSONNE ZIMOWE
CONCE ZIMOWE SŁOŃCE**

► Hier ist ein langsames Land. Alles geschieht zu seiner festen Zeit. Die Kirchenglocken läuten am Mittag um fünf vor zwölf und am Abend um fünf vor sechs fünf Minuten lang. Dann schließen die Leute in den Häusern um die wuchtige weiße Kirche die Fenster, damit die Gläser im Schrank nicht klirren.

Jeden Tag im Licht der Dämmerung, zehn Minuten nach Sonnenuntergang, verlassen zwei Waschbären den schon dunklen Wald, schauen rechts und links, ob Autos kommen, überqueren die Straße und gehen zum Abendessen in die Gärten und Garagen.

Die schwarze Katze im ersten Stock öffnet mit der Klinke die Wohnungstür und geht aus dem Haus.

Im Parterre wohnen Neue. Das ist kein Ereignis, weil es niemandem besonders auffällt. Vorher stand die Wohnung leer, jetzt ist sie bewohnt. Nur, dass ein Auto mit fremdem Kennzeichen auf der Straße steht, wird bemerkt.

Montags darf man auf der rechten Straßenseite nicht parken, donnerstags auf der linken nicht. Denn montags wird die rechte und donnerstags die linke Straßenseite geputzt, das bedeutet, irgendwann in den vier Stunden des Parkverbots fährt drei Minuten lang eine Kehrmaschine dicht am Bordstein von einem Ende der Straße zur anderen.

Sinkt die Temperatur im späten Herbst gegen null Grad, kommt der Brunnenmeister und stellt das Wasser der städtischen Brunnen ab. Die Brunnenfiguren aus Sandstein werden zum Schutz vor der Kälte in einen Holzmantel gehüllt.

Immer mal wird ein Markt auf- und irgendwann wieder abgebaut, dazwischen gingen viele Menschen und auch wieder fort.

Auch die zehn neuen Friseursalons, in jedem mindestens drei syrische Friseurmänner mit gezupften Augenbrauen und gelackten steifen Haaren erregen kein Aufsehen. Waren sie nicht schon immer da?

Von den Neuen in der Erdgeschosswohnung weiß man im Vorbeigehen, weil Licht aus der Wohnung scheint, man hörte im Sommer ihre Sprache durch die gekippten Fenster.

Man erkennt die Neuen oft schon von Weitem an ihren blassen Kindern, kleine fahle Geschöpfe. Man würde die Kinder mit Obst und Gemüse versorgen wollen, damit sie nicht so bleich aussehen, aber man sieht sie ja nur im Vorübergehen.

Der Nachbar, der jeden Morgen alle seine Fenster öffnet, sieht die Familie, einen Mann und ein Kind, manchmal eine Frau. Die Frau bewegt sich langsam, sie guckt langsam, sie geht langsam. Der Mann legt auf der Straße den Arm um sie, das Kind nimmt ihre Hand und zieht auch mal die Frau zum Brunnen mit den drei kauernenden Marmormännern. Einer spuckte bis vor wenigen Tagen Wasser aus dem Mund, einem schoss es aus den Ohren, der dritte schlürfte es auf. Es ist Trinkwasser, das steht auf einem Schild am Kopf des Wasserspuckers geschrieben. Die Frau ist eingehüllt in Liebe wie die Sandsteinfiguren in Holz und es ist, als arbeiteten die Liebenden den ganzen Tag vergeblich um ihr ein Lächeln zu entlocken. Niemand bemerkt’s bis auf den alten Nachbarn, der neben ihnen alleine wohnt. Er hat ihnen schon alles erzählt, ob sie’s verstanden haben? Dass er zwei Mal verheiratet war und seit 12 Jahren eine Freundin in seinem Alter hat, schon 83 Jahre. Dass es eine gute Beziehung sei, weil sie nicht in einer Wohnung zusammen lebten. Dass er noch kernig sei, keine einzige Tablette.

Und nun, da sie das Laub im Wind sich auf der Straße im Kreis drehen sahen, sang er: Wenn das meine Mutter wüsste, wie’s mir in der Fremde ging! Schuh und

Strümpfe sind zerrissen, durch die Hosen pfeift der Wind. Es wird allmählich Winter.

Durch die Hosen pfeift der Wind, stimmt, oder?, sagte er zum Kind. Das Kind stand auf der Eingangstreppe und lachte leise, der Mann lächelte, weil das Kind lachte, aber die Frau schaute nicht einmal hin, nicht so direkt. Der Nachbar sah, dass die Frau nicht den Blick hob, obwohl er sprach, sang und lachte. Dass sie eigentlich wohl die Augen auf hatte, aber nirgends etwas sah, was da um sie war.

Er sei neun Jahre alt gewesen bei der großen Flucht, die kleine Stadt sei nur noch von Geistern und Gespenstern und Katzen bewohnt gewesen, alle Einwohner geflohen. Nur ein Geisterzug habe noch am Bahnhof gestanden, seine Familie habe ja weder Pferd noch Wagen gehabt, die Mutter mit den Kindern hinein in den Zug, in den Rucksäcken Bettdecken, sonst nichts und in der Kälte einfach da sitzen. Und plötzlich, inmitten der Stille, ruckelte der Zug und fuhr los. Die Richtung, das merkten sie erst nach einer Weile, stimmte zum Glück, Richtung Westen, man sei dicht zusammengedrückt, habe sich aneinander gewärmt.

Mehr erzählte der Nachbar nicht, denn der Wind piffte in die Hosenbeine und in die Ärmel und den Kragen hinein. Wer weiß außerdem, wer ihn überhaupt verstand, wer ihn überhaupt hörte. Die Sonne war noch nicht untergegangen, der Mond stand am hellblauen Himmel hoch, der Wind zog die letzten kleinen Blätter von den gestutzten Bäumen.

So standen sie und der steinerne Brunnenkopf spuckte kein Wasser mehr, aber sah immerzu hinab in die Kuhle, es floss dem anderen kein Wasser in den Mund, der Wind wirbelte die hellgelben Blätter herum. Das Kind und der Mann standen höflich vor dem alten fröhlichen Mann, der bei jeder Begegnung etwas erzählte, doch sie verstanden seine Sprache nicht.

Das Kind jedoch lernte jeden Tag die neuen Wörter beim Einkaufen, in der Schule und vom alten Nachbarn.

Bis es schneite und das Kind den Mann im Hausflur traf. Deine Mutter ist wohl traurig, fragte er das Kind. Und es verstand.

Ja.

Wie heißt du denn?

Maksym.

Willst du auch wissen, wie ich heiße?

Ja.

Soll ich es dir sagen?

Ja.

Ich heiße Walter. Wir konnten niemals mehr nach Hause zurück. In unsere Häuser zogen andere Leute ein, unser Städtchen gehört seither zu einem anderen Land. Ich glaube, sie finden noch unsere Spuren, sie essen noch

von unserem Tisch, sie hängen ihre Kleidung auf unsere Bügel, aber ihre Sprache verstehen wir nicht. Aber ihr? Ihr kehrt irgendwann zurück.

Das waren zuviele Worte für das Kind. Maksym verstand nur: niemals mehr zurück.

Er schaute verwirrt den Mann Walter an, blieb aber weiter im Treppenhaus stehen, es war hier wärmer als draußen im Frost. Vom Keller her kroch kalte Luft hinauf.

Und deine Mutter?

Erstaunt schaute Walter auf das Kind, das eine ganze komplette Frage gestellt hatte.

Meine Mutter?

Ja.

Du fragst mich nach meiner Mutter?

Ja.

Willst du was von meiner Mutter wissen?

Ja.

Walter holte Luft, ging in seine Wohnung und kam mit einem rot gepolsterten runden Hocker mit Metallbeinen wieder heraus und stellte ihn vor die hölzerne Tür. Der Hocker seufzte, als der Mann sich setzte und dabei die Luft aus dem Kunststoffpolster entwich. Maksym hatte sich nicht vom Fleck gerührt.

Also meine Mutter. In dem Haus, in das wir zugewiesen wurden, wohnte in jedem Zimmer eine Familie. Wir sind in einem kleinen, schmutzigen, sehr langgezogenen Zimmer gelandet. Auf einer Seite drei Betten an der Wand entlang. Auf der anderen Seite die lange kahle graue Wand.

Mein Vater liebte meine Mutter sehr. Er küsste meine Mutter jeden Tag, wenn er aus dem Haus ging und jedes Mal, wenn er nach Hause kam. All die Jahre. Er brachte etwas mit, Eier, Holz zum Kochen, einen Blumenkohl, manchmal eine Blume.

Maksym war mehr an Walters Mutter interessiert und nicht an all dem anderen, was man so erzählen kann als alter Mann mit einem Leben.

Walter war damals das Kind. Er war mehr mit den anderen Kindern draußen oder bei den Nachbarn im Zimmer und ging nur zum Schlafen nach Hause. Schwermütig nannten die Leute seine Mutter. Sie lag auf dem Bett und wollte nicht mehr aufstehen.

Der Vater sagte: Mein Liebling, mein Schatz, steh doch einmal auf.

Wozu?, fragte die Mutter.

Sie wollte nach Hause in ihr Bett, in ihr Zuhause mit dem tiefen grünen Sofa und dem Ölbild an der Wand, das eine

sonnenbestrahlte Waldlichtung zeigte mit Tautropfen auf den Gräsern und hellen leichten Nebelschleiern vor dunklen Tannen. Zu ihrem schlesischen Tafelgeschirr und den Betttüchern ihrer Mädchenzeit, den Tischdecken mit den geklöppelten Schmuckrändern. Zur zierlichen Kommode mit dem ovalen Spiegel. Zu ihrem Küchenschrank mit den vielen schmalen Glasscheiben und den Messinggriffen und dem alten Küchentisch mit der dicken verlebten Eichenholzplatte, auf dem schon ihr Großvater das Brot geschnitten und die Familie Karten gespielt hatte. Sie war aus dem Nest gefallen.

Ihr Mann hatte sie aufgefangen, aber sie war dennoch aus dem Nest gefallen oder gestoßen worden, genauso wie ihr Mann und das Kind dazu. Sie konnten alle nicht fliegen.

Das Nest war für immer verloren, es lebten andere Gestalten in ihrem Bett, auf ihrem Sofa, am Küchentisch und mit ihren Tüchern, Decken, ihrem Geschirr, sogar mit ihrem Kartenspiel. Das Nest war für immer unerreichbar, so wie der ganze Baum und der ganze Wald. Sie konnten zwar nicht fliegen, aber der Mann konnte stehen, die Frau aber nicht. So lag sie nun in einer fremden Stadt in einem häßlichen Zimmer im Bett und war schwermütig, sie sprach kaum mehr. Der Mann küsste sie weiter jeden Tag, er saß auf der Bettkante und streichelte ihr über den Kopf oder den Arm und manchmal verlor er den Mut, stand auf und ging hinaus. Wenn er wiederkam, küsste er sie und hatte etwas mitgebracht, so wie früher; Walter lief ihm jedes Mal entgegen um zu sehen, was.

Der Vater sagte zur Mutter: Wir bauen uns hier unser Leben neu auf. Wir sind zusammen, wir können viel. Sieh mal, die anderen sind allein, überall fehlt jemand, bei uns nicht.

Aber das stimmte nicht, die Großeltern fehlten noch. Sie blieb liegen und der Mann wusste nicht, wie er sie zum Sprechen und Aufstehen und Lächeln bewegen könnte. Sie lag und vermisste, was war und nie mehr so werden würde, wie es war. Weil es nicht mehr existierte. Nichts mehr, woran man die Zeit messen konnte.

Der Mann sprach von Hoffnung. Bitte schau, bitte sprich, iss, steh auch einmal auf, wir leben doch hier weiter. Wir haben uns. Die Sonne scheint.

Da sagte die Frau gehässig: Sag doch Gott sei Dank, dass du jeden Tag gute Laune hast.

Der Mann wollte am Liebsten vor Wut irgendetwas zerhauen, den Tisch und die Stühle zertrümmern, er sah alles an, aber sie brauchten ja die Stühle, er wollte hinausrennen und die Tür zuschlagen und nie wieder kommen.

Hier scheint die Sonne nicht, sagte die Frau. Das denkst du nur. Bei uns scheint die Sonne und es wird Frühling, das ist ja das Komische.

Der Mann legte sich ans andere Ende der Wand ins Bett und wollte auch nichts mehr. Außer vielleicht noch weiter weggehen, ganz allein. Doch er liebte seine Frau sehr und so blieb er und stand wieder auf. Ihm fiel ein, dass sie auch ein Kind hatten und so ein Kind möchte

auch einmal die Eltern sprechen hören und nicht nur nicken sehen. Also sprach er mit dem Kind Walter einiges, ob es verstand, wusste er nicht. Er verstand ja selbst nicht, was er sprach. Aber Walter verstand etwas. Und als der Vater am nächsten Tag nach Hause kam, ging er mit ins Zimmer, wo die schwermütige Mutter im Bett lag und schaute, was der Vater mitgebracht hatte. Es war ein großer Topf mit schwarzer Farbe und ein dicker Pinsel. Damit malte der Vater an die lange Wand zuerst ein Bild mit Tannen und einer Waldlichtung und einem verschnörkelten Rahmen drumherum. Hier ist dein Bild, sagte er. Über dem Sofa.

Und er malte unter den Bilderrahmen das Sofa an die Wand. Dann malte er neben das Bett, in dem die Mutter lag, die Kommode mit dem ovalen Spiegel. Er sagte: Und hier ist die Küche.

Dann malte er den Küchenschrank mit den Glastüren an die Wand, daneben zwei Stühle, davor schob er den Tisch und die drei Stühle, die sie hatten.

So, sagte er. Jetzt sind wir zu Hause. Hier ist das Schlafzimmer, hier das Wohnzimmer, hier die Küche, alles da. Da bemerkte Walter, wie die Mutter plötzlich aus sich hinaus schaute und die bemalte Wand betrachtete. So war das, sagte der alte Walter zu dem Jungen Maksym.

Und dann?

Dann ging es allmählich.

Ja?

Ja.

Walter nahm seinen rotgepolsterten Hocker und ging in seine Wohnung. Mir ist kalt, ich muss rein, sagte er, bevor er die Wohnungstür schloss.

Maksym ging nach nebenan, wo er wohnte.

Guck doch aus dem Fenster, sagte er. Aber seine Mutter drehte sich im Bett nicht einmal um. Dem Vater sagte Maksym seinen Wunsch, der wollte erst nicht, aber dann zählte er sein Geld, ging und kam mit kleinen Farbtöpfchen zurück. Erst wollte er ihn seinem Sohn geben, dann steckte er selbst den Pinsel zuerst in das rote Farbtöpfchen und begann an die Wand zu malen. Ein Wandteppich entstand, darunter ein Sofa mit Decken.

Als der Vater fertig und die Wand ganz bunt war, mit einem Bild und voll von verlaufener Farbe, drehte die Mutter sich um und schaute.

Was tut ihr da?

Hier, Mama, hier ist unser Wohnzimmer mit dem Teppich und dem Schrank, sagte Maksym. Und hier ist das Schlafzimmer.

Was macht ihr denn überhaupt?, sagte die Mutter. Was soll das?

Und hier ist die Küche mit dem Tisch.

Die Mutter sah missmutig aus, sie setzte sich aber auf und schaute.

Inzwischen malte der Vater neben den Wandteppich einen Baum. Maksym malte Kirschen hinein. Er nahm aus seiner Schultasche die gelbe Wachsmalkreide, stieg auf einen Stuhl und malte eine Sonne an die Wand.

Hast du gesehen? Wenn du hier rausguckst, scheint die Sonne, siehst du? Da ist der Kirschbaum.

Aber der Kirschbaum steht doch nicht im Wohnzimmer, den sehen wir vom Fenster aus, sagte die Mutter.

Da malte der Vater mit dicker brauner Farbe einen Fensterrahmen vor den Kirschenbaum und die Sonne. So. Jetzt kannst du rausgucken, sagte er.

Die Mutter nickte und blieb sitzen, sie legte sich nicht wieder hin. Alle drei waren still und schauten, warteten, hofften.



© Ania Jaworska-Kruk

► Це – повільна країна. Тут усе відбувається в чітко визначений час. Церковні дзвони б'ють за п'ять дванадцять вдень і за п'ять шоста ввечері і лунають рівно упродовж п'яти хвилин. Тоді люди в будинках довкола могутньої білої церкви зачиняють вікна, щоб не дзеленчали склянки в шафі.

Щодня у сьайві призахідного сонця, за десять хвилин до того, як воно сховається за обрій, двоє енотів покидають уже темний ліс, озираються направо й наліво, чи не ідуть машини, переходять дорогу і йдуть вечеряти в сади й гаражі.

Чорна кицька з другого поверху натискає клямку вхідних дверей і виходить із будинку.

На першому поверсі мешкають новенькі. Нічого особливого, бо ж вони не надто привертають чийось увагу. Перед тим квартира стояла порожня – тепер у ній оселилися. Помітили тільки, що на вулиці стоїть машина з іноземними номерами.

По понеділках не можна паркувати машини на правому боці вулиці, по четвергах – на лівому. Бо по понеділках прибирають правий, а по четвергах – лівий бік вулиці, а це означає, що в ті чотири години, доки діє заборона паркування, приїздить очисна машина і упродовж трьох хвилин проїжджає впритул до бордюра від одного краю вулиці до іншого.

Коли пізньої осені температура опускається близько нуля, приходять фонтанний майстер і вимикає воду в міських фонтанах. Фігури з пісковика загортають у дерев'яний чохол, щоб захистити їх від холоду.

Час від часу встановлюють, а потім знову розбирають ярмарок, і в цей час багато людей спершу приходять, а потім знову собі йдуть.

Десять нових перукарень, у кожній із яких є щонайменше по троє сирійських перукарів із вищипаними бровами і лакованим жорстким волоссям, теж не привертають особливої уваги. Невже вони не завжди тут були?

Про новеньких із квартири на першому поверсі знають ніби мимохідь, бо в квартирі світиться світло, а влітку крізь привідчинені вікна долинала їхня мова.

Новеньких часто впізнають уже по білій шкірі їхніх блідих дітей, маленьких голомозих істот. Сусіди радо подбали би про фрукти й овочі для малечі, щоб ті не були такими сірими на вигляд, але ж бачать вони їх лише мимохідь.

Сусід, котрий щоранку відчиняє всі свої вікна, бачить родину: чоловіка й дитину, а часом іще жінку. Жінка повільно рухається, повільно дивиться, повільно ходить. На вулиці чоловік обіймає її, дитина бере за руку і часом тягне до фонтана з трьома мармуровими чоловіками навпочіпки.

Один із них іще кілька днів тому випльовував воду з рота, в другого вона витікала з вух, а третій її

хлебтав. Це – питна вода: так сказано на табличці на голові в того чоловіка, який її випльовував. Жінка огорнута любов'ю так, як фігури з пісковика огорнуті дерев'яним чохлом, і здається, що ті, хто її люблять, цілими днями марно намагаються викликати в неї усмішку. Ніхто цього не помічає, включно зі старим самотнім сусідом, який живе поруч. Він уже все їм розповів, але чи вони зрозуміли? Про те, що він був двічі одружений, а тепер у нього вже дванадцять років є подруга, який зараз 83 роки. І це добрі стосунки, бо не доводиться ділити квартиру. І що він іще ого-го, жодних таблеток.

А тепер, коли вони побачили, як листя кружляє на вітрі, він заспівав: «Якби ж моя матуся знала, як тяжко жити на чужині! Взуття подерте, сорочка рвана і вітер свище по спині».

Поволі надходить зима.

– А вітер свище по спині, еге ж? – спитав він хлопця.

Той стояв на ганку і стиха сміявся, а чоловік усміхався, бо хлопець сміявся, але жінка на них навіть не глянула, принаймні відверто. Сусід побачив, що жінка не підвела на нього погляду, хоч він говорив, співав і сміявся. І, хоч очі в неї були розплющені, вона не бачила, що діялося довкола неї.

Під час Великої Втечі йому було дев'ять років. У містечку залишилися тільки духи, привиди і коти – всі мешканці втекли. На вокзалі стояв один поїзд-привид. У його родини не було ні коня, ні воза, тож мама з дітьми залізили поїзд, у клунках – тільки ковдри, й більше нічого, і просто сиділи там у холоді. І раптом посеред тиші поїзд здригнувся і рушив. Напрямок – зауважили вони лише згодом – був, на щастя, той, що треба: на Захід. Вони міцно притислися одне до одного, і грілися навзаєм.

Більше сусід нічого не розповідав, бо вітер свистів по спині, задував і в штани, і за коміри. А крім того, хтосьна, чи його хто взагалі розумів, чи хто слухав. Сонце ще не сіло, високо в небі стояв місяць, вітер зривав останні листки з кущів дерев.

І так вони і стояли, голова у фонтані більше не випльовувала воду, але й далі дивилася в проточину, в іншій голові з рота більше не витікала вода, а вітер кружляв світло-жовтим листям. Хлопчик із чоловіком увічливо стояли перед старшим привітним паном, який при кожній зустрічі щось розповідав, але ж вони не розуміли мову.

Та хлопчик щодня вчив нові слова в крамниці, в школі і від старого сусіда.

Аж доки одного разу пішов сніг, і хлопчик зустрів старшого пана у вестибюлі.

– Здається, твоя мама сумує, – сказав він хлопчикові.

І той зрозумів.

– Так.

– А як тебе звати?

– Максим.

– А хочеш знати, як звати мене?

– Так.

– То мені сказати?

– Так.

– Мене звати Вальтер. Ми більше ніколи не повернулися додому. В наших будинках оселилися інші люди, а наші містечка відтоді належали до іншої країни. Думаю, вони й досі знаходять наші сліди. Вони ще їдять за нашим столом, вішають свій одяг на наші вішаки, але ми не розуміємо їхньої мови. Але ви? Ви колись повернетесь.

Для хлопчика це вже було забагато слів. Максим зрозумів одне: більше ніколи не повернулися. Він розгублено дивився на Вальтера, але й далі стояв на сходах, тут було тепліше, аніж на вулиці на морозі. З підвалу прокрадалося холодне повітря.

– А твоя мама?

Здивований Вальтер глянув на хлопчика, який поставив повноцінне запитання.

– Моя мама?

– Так.

– Ти запитуєш про мою маму?

– Так.

– Хочеш знати про мою маму?

– Так.

Вальтер зітхнув, пішов у свою квартиру і повернувся зі стільчиком із червоною обивкою і металевими ніжками, який поставив перед дерев'яними дверима. Стільчик заскрипів, коли чоловік на нього сів, бо зі штучної обивки виходило повітря. Максим не зрушив із місця.

– Отож моя мама. В будинку, який нам вділили, в кожній кімнаті мешкала окрема родина. Ми зайняли маленьку, брудну і дуже продовгасту кімнату. З одного боку під стінкою стояло рядком три ліжка. А з іншого була гола довга сіра стіна.

Мій тато дуже кохав маму. Він щодня цілував її, коли йшов із дому, а потім щоразу, коли повертався. Всі ці роки. Він щось приносив: яйця, дрова, щоб готувати, цвітну капусту, а часом – квітку.

Максима більше цікавив Вальтер, а не все решта, що може розповісти старший чоловік, який уже

пожив на світі.

Вальтер був тоді дитиною. Більше часу він проводив із іншими дітьми надворі або в кімнаті сусідів, а додому приходив тільки ночувати. Його маму називали похмурою. Вона лежала в ліжку і не хотіла більше вставати.

Батько казав:

– Люба, рибонько, та встань же.

– Навіщо? – запитувала мама.

Вона хотіла додому, в своє ліжко, у свій дім із темно-зеленою канапою і олійною картиною на стіні, на якій була лісова галявинка з росяною травою і легкою паволокою туману перед темними ялинами. До свого сілезького сервізу і до постільної близьни з її юності, до своїх обрусів із мереживними краями. До граційного креденсу з овальним дзеркалом. До кухонного серванту з багатьма тоненькими стеклами і латунними ручками і старим кухонним столом із товстою старезною стільницею, на якій ще дід різав хліб, а родина грала в карти. Вона випала з гнізда.

Чоловік її упіймав, але вона все одно випала з гнізда – чи то пак, її з нього виштовхали, як і її чоловіка і сина. Всі вони не вміли літати.

Вони втратили гніздо назавжди, тепер інші люди жили в їхньому ліжку, на їхній канапі, за кухонним столом і з їхніми рушниками, ковдрами, посудом, навіть із їхніми картярськими іграми. Гніздо назавжди стало недоступним, як і дерево і весь ліс. І хоча вони не вміли літати, але чоловік умів стояти, а дружина – ні. Отак вона тепер і лежала в чужому місті в потворній кімнаті на ліжку, була похмура і майже не говорила. Чоловік і далі щодня її цілував, сідав на край ліжка і гладив їй волосся або руку, але часом у нього опускалися руки, тож він вставав і йшов із дому. Повертаючись, він цілував її і щось приносив, як і раніше; Вальтер щоразу біг йому назустріч, аби побачити, що саме він приніс. Батько сказав матері:

– Ми тут наново будуємо наше життя. Ми разом, і багато що можемо. Поглянь, інші люди самі, всюди когось бракує, але в нас усі на місці.

Хоч це й було не так, адже дідуся з бабусяю з ними не було.

Вона й далі лежала, і чоловік не знав, як її розговорити, як заохотити встати і усміхнутися. Вона лежала і сумувала за тим, що було і чого вже ніколи не буде, не буде так, як колись. Бо цього більше не існувало. Не існувало нічого, чим можна було б вимірювати час.

Чоловік говорив про надію.

– Прощу тебе, глянь, заговори, прошу, поїж, встань

бодай раз, ми ж досі живі. В нас є ми. Сонце сяє.

Тоді жінка злісно відповіла:

– Дякуй Богові, що в тебе щодня гарний настрій. Найбільше чоловік хотів би пошматувати щось від люті, розтрощити стіл і стільці, він дивився на все, але їм потрібні були стільці, він хотів вибігти надвір, гримнувши дверима, і більше ніколи не повертатися.

– Тут сонце не сяє, – мовила дружина. – Це тобі тільки здається. А от у нас сяє сонце, і буде весна, от що смішно.

Чоловік ліг на ліжко з іншого краю кімнати й не хотів більше нічого.

Хіба що піти ще далі, геть сам. Але він кохав дружину, тож лишився і знову встав. Він згадав, що в них була дитина, а дитина часом теж хоче чути, як батьки говорять, а не тільки кивають головами. Отож він говорив із дитиною Вальтером про деякі речі, але чи той розумів, він не знав. Бо він і сам не розумів, що казав. Але дещо Вальтер розумів. А коли наступного дня батько повернувся додому, він пішов із ним до кімнати, де в ліжку лежала похмура мама, щоби подивитися, що ж приніс батько. А це був великий казанок із чорною фарбою і товстим пензлем. Тоді батько намалював на довгій стіні спершу картину з ялинами та лісовою галявиною у вигадливій рамі.

– Ось твоя картина, – мовив він. – Над канапою.. А тоді під рамою намалював на стіні канапу. А коло ліжка, в якому лежала мама, намалював креденс із овальним дзеркалом. І сказав: – А ось – кухня.

Після цього він намалював на стіні кухонний сервант зі скляними дверцятами, а поруч два крісла, а перед ними поставив стіл і ті три стільці, які в них були. Ну, – сказав він, – тепер ми вдома. Ось спальня, отут – вітальня, а тут – кухня. Все на місці.

І тоді Вальтер помітив, що мама раптом вийшла з задуми й задивилася на розмальовану стіну. – Ось як усе було, – сказав старий Вальтер юному Максиму.

– А потім?

– А потім усе поступово зрушило.

– Так?

– Так.

Вальтер узяв свій стілець із червоною обивкою і пішов у свою квартиру.

– Мені холодно, я мушу йти додому, – сказав він, перед тим як замкнути вхідні двері.

Максим зайшов у сусідні двері, де мешкав він. – Виглянь у вікно, – сказав він.

Але мама навіть не обернулася в ліжку. Максим сказав батькові, чого хоче. Той спершу не погоджувався, а тоді порахував гроші, пішов із дому, а повернувся з невеличкими банками з фарбою. Спершу він хотів віддати їх синові, але тоді сам умочив пензель в червону фарбу і почав малювати на стіні. З'явився настінний килим, а під ним – канапа з покривалами.

Коли батько скінчив, і стіна стала дуже яскравою, з малюнком і фарбою, що розпливалася, мама перевернулася на інший бік і глянула:

– Що ви робите?

– Ось це, мамо, наша вітальня з килимом і шафою,

– відповів Максим. – А ось тут спальня.

– Що це ви взагалі затіяли? – Спитала мама.

– Для чого?

– А ось тут кухня зі столом.

У мами був насуплений вигляд, але вона сіла і дивилася.

Тимчасом батько намалював біля килима дерева. Максим домалював на дереві вишні. Він витягнув зі ранця жовту воскову крейду, виліз на стільчик і намалював на стіні сонце:

– Бачиш? Якщо ти виглянеш сюди, то тут світить сонце, бачиш? А це – вишня.

– Але ж вишня не росте у вітальні. Ми бачимо її з вікна, – сказала мама.

Тоді батько домалював густою коричневою фарбою віконну раму перед вишнею і сонцем.

– Ось. Тепер ти можеш визирати, – сказав він.

Мама кивнула і далі сиділа. Вона більше не лягла. Всі троє мовчали і дивилися, чекали, сподівалися.

[З німецької переклала Роксолана Свято]

To niespieszny kraj. Wszystko dzieje się tutaj o stałych porach. Kościelne dzwony odzywają się za pięć dwunasta w południe oraz za pięć szósta wieczorem i biją przez pięć minut. Mieszkańcy domów wokół masywnego, białego kościoła zamykają wtedy okna, żeby w szafkach nie brzęczały szklanki i kieliszki.

Codziennie o zmierzchu, dziesięć minut po zachodzie słońca, z lasu, który zdążył pograć się w mroku, wychodzą dwa szopy pracze, spoglądają w prawo i w lewo, upewniając się, czy nie nadjeżdża jakiś samochód, a potem przechodzą przez ulicę i udają się na kolację do ogrodów i garaży.

Czarny kot z pierwszego piętra otwiera kłamką drzwi i wychodzi z domu.

Na parterze mieszkają nowi. Nic nadzwyczajnego, nikt nie zwraca na nich szczególnej uwagi. Wcześniej mieszkanie stało puste, teraz ktoś w nim mieszka. W oczy rzuca się tylko stojący na ulicy samochód na obcej rejestracji.

W poniedziałki nie wolno parkować po prawej stronie ulicy, a w czwartki po lewej. W poniedziałki sprzątana jest prawa, a w czwartki lewa strona, co oznacza, że w ciągu czterogodzinnego zakazu parkowania zamiatar-ka w trzy minuty, tuż przy krawężniku, przejeżdża z jednego końca ulicy na drugi.

Gdy późną jesienią temperatury spadają do zera, przychodzi pracownik wodociągów i wyłącza miejską fontannę. Zdobiące ją rzeźby z piaskowca dla ochrony przed zimmem okrywa deskami.

Co jakiś czas rozkładają się stragany, a potem któregoś dnia znów się zwijają. Na rynek przychodziło wielu ludzi, ich też już nie ma.

Dziesięć nowych salonów fryzjerskich, w każdym przynajmniej trzech syryjskich fryzjerów z wyskubanymi brwiami i włosami sztywnymi od lakieru, również nie wzbudza sensacji. Czy nie było ich tutaj zawsze?

O tym, że w mieszkaniu na parterze mieszkają nowi, można przekonać się, przechodząc ulicą. Wewnątrz pali się światło, latem przez uchylone okna słychać, jak nowi rozmawiają w swoim języku. Często da się ich rozpoznać już z daleka, zwłaszcza dzieci, małe, blade stworzonka. Miałyby się ochotę dać im trochę owoców i warzyw, żeby nabrały rumieńców, lecz przecież to tylko spotkania w przelocie.

Sąsiad, który każdego ranka otwiera u siebie wszystkie okna, widzi rodzinę: mężczyznę, dziecko, niekiedy kobietę. Kobieta porusza się niespiesznie, spogląda niespiesznie, niespiesznie chodzi. Mężczyzna obejmują ją na ulicy, dziecko bierze ją za rękę i ciągnie w kierunku fontanny z trzema przykucniętymi męskimi postaciami z marmuru. Jeden z posągów jeszcze parę dni temu wypływał strumień z ust, drugiemu potoki strzelały z uszu, trzeci zaś wychłępywał wodę. To woda pitna, jak widnieje na tabliczce przymocowanej na głowie plującej figury. Podobnie jak drewniana zasłona okrywa postacie z piaskowca, kobietę otula miłość, wydaje się jednak, że kochający na próżno trzaskają się cały dzień, by wykrzesać

uśmiech na jej twarzy. Nikt tego nie zauważa, z wyjątkiem starszego sąsiada, który mieszka sam obok nich. Wszystko już im opowiedział, czy zrozumieli? Że był dwukrotnie żonaty, a od dwunastu lat ma przyjaciółkę w swoim wieku, to już osiemdziesiąt trzy lata. Że to udany związek, bo nie mieszkają razem. I że wciąż jest w dobrej formie, nie bierze ani jednej tabletki.

Potem, kiedy widzieli na ulicy liście wirujące na wietrze, sąsiad śpiewał: Gdyby wiedziała matula, jaki na obczyźnie mój los! Podarte buty, koszula, podszyty wiatrem płaszcz.

Powoli nadchodzi zima.

Podszyty wiatrem płaszcz, co?, staruszek odezwał się do dziecka. Dziecko stało na schodach wejściowych i śmiało się cicho, mężczyzna uśmiechał się, ponieważ śmiało się dziecko, lecz kobieta nawet nie spojrzała, a w każdym razie nie wprost. Sąsiad zauważył, że choć sam mówił, śpiewał i śmiał się, kobieta nie podniosła wzroku. Że chyba miała otwarte oczy, ale nie widziała niczego, co działo się wokół niej.

Wtedy, podczas wielkiej ucieczki, miał dziewięć lat, w miasteczku zostały duchy, zjawy i koty, wszyscy mieszkańcy wyjechali. Na stacji kolejowej stał tylko zastęp widm. Jego rodzina nie miała ani konia, ani wozu, matka wsiadła wraz z dziećmi do pociągu, w plecakach koldry, poza tym nic więcej, siedzieli po prostu na mrozie. I nagle, pośród ciszy, pociąg szarpnął i odjechał. Kierunek, jak zauważyli po jakimś czasie, na szczęście się zgadzał, jechali na Zachód, przywarli ciasno do siebie, ogrzewali się nawzajem.

Sąsiad przestał opowiadać, ponieważ wiatr wciskał się w nogawki, rękawy, za kołnierz. Poza tym nie wiadomo, czy ktoś w ogóle go rozumiał, czy ktoś w ogóle go słuchał. Słońce jeszcze nie zaszło, księżyc stał wysoko na jasnoniebieskim niebie, wicher zdmuchiwał ostatnie drobne listki z przyciętych drzew. Stali więc tak; kamienna głowa na fontannie nie wypływała już wody, ale wciąż spoglądała w dół na niekę: woda nie wpływała też do ust drugiego posągu. W powietrzu wirowały jasnożółte liście. Dziecko i mężczyzna zatrzymali się z grzeczności na wprost wesołego staruszka, który przy każdym spotkaniu coś opowiadał, lecz oni nie rozumieli jego języka.

Dziecko jednak każdego dnia poznawało nowe słowa: podczas zakupów, w szkole, uczyło się ich od starszego sąsiada.

Aż w końcu spadł śnieg i dziecko spotkało staruszkę na klatce schodowej.

Twojej mamie jest chyba smutno, zapytał sąsiad. Dziecko zrozumiało.

Tak.

A jak ci na imię?

Maksym.

Chcesz wiedzieć, jak mam na imię?

Tak.

Mam ci powiedzieć?

Tak.

Jestem Walter. Nie mogliśmy już nigdy wrócić do siebie. Od tamtej pory nasze miasteczko leży w innym kraju, do naszych domów wprowadzili się inni ludzie. Sądzę, że ciągle natykają się na nasze ślady, wciąż jedzą przy naszym stole, wieszają ubrania na naszych wieszakach, lecz my nie rozumiemy ich języka. A wy? Wy pewnego dnia powrócicie.

Dla dziecka to zbyt wiele słów. Maksym zrozumiał jedynie: nie mogliśmy już nigdy wrócić.

Patrzył zmieszany na dorosłego Waltera, ale wciąż stał na klatce, tutaj było cieplej niż na zewnątrz, na mrozie. Z piwnicy wionęło chłodem.

A twoja mama?

Walter, zdziwiony, spojrzał na dziecko, które zadało kompletne pytanie.

Moja mama?

Tak.

Pytasz o moją mamę?

Tak.

Chcesz dowiedzieć się czegoś o mojej mamie?

Tak.

Walter westchnął, poszedł do mieszkania i wrócił z okrągłym, obitym czerwonym materiałem stołkiem z metalowymi nogami, a potem wystawił go przed drewniane drzwi. Stołek jęknął, kiedy mężczyzna usiadł, z tapicerki wykonanej z tworzywa sztucznego uszło powietrze.

Maksym nie ruszył się z miejsca ani na krok.

Cóż, moja matka. W domu, do którego nas przydzielono, każdy pokój zamieszkiwała jedna rodzina. Wylądowaliśmy w małym, brudnym, kiszkowatym pomieszczeniu. Po jednej stronie wzdłuż ściany stały trzy łóżka. Po drugiej znajdowała się długa, naga, szara tafla.

Ojciec bardzo kochał matkę. Całował ją codziennie, kiedy wychodził z domu, a potem znów, gdy wracał. Przez wszystkie lata. Zawsze coś przynosił: jaja, drewno potrzebne do gotowania, kalafiora, niekiedy kwiatek. Maksyma bardziej interesowała matka Waltera, niż wszystkie opowieści starszego człowieka, który niejedno przeszedł w życiu.

Walter był wtedy dzieckiem. Więcej czasu spędzał z rówieśnikami na dworze albo w pokoju sąsiadów, do domu wracał jedynie na noc. Ludzie mówili o jego matce „przygnębiona”. Leżała na łóżku i nie miała ochoty wstawać.

Ojciec mówił: Kochanie, skarbie, wstań wreszcie. Po co?, pytała matka.

Chciała wrócić do siebie, do swojego łóżka, do domu z szeroką, zieloną kanapą i obrazem olejnym na ścianie przedstawiającym skąpaną w słońcu leśną polanę, trawy z kroplami rosy i ciemne jodły spowite jasnym, lekkim welonem mgły. Do swojej śląskiej zastawy stołowej i panieńskich prześcieradeł, obrusów z koronkowym wykończeniem. Do filigranowej komody z owalnym lustrem. Do szafki kuchennej z mnóstwem wąskich szybek i mosiężnymi uchwyty, do starego stołu z grubym, wysłużonym dębowym blatem, na którym jeszcze jej dziadek kroił chleb i przy którym rodzina grała w karty. Ona sama wypadła z gniazda.

Mąż ją złapał, lecz kobieta i tak wypadła, a może została wyrzucona, tak samo zresztą jak mężczyzna i dziecko. Nie umieli latać. Na zawsze utracili gniazdo, w ich łóżku, na ich kanapie, przy stole kuchennym, pośród ich prześcieradeł, obrusów, naczyń, nawet ich kart do gry, żyli inni. Gniazdo na zawsze stało się nieosiągalne, podobnie jak całe drzewo i cały las. Nie umieli wprawdzie latać, lecz mężczyzna mógł stać. Kobieta nie. Leżała w łóżku w jakimś ohydny pokoju w obcym mieście i czuła się przygnębiona, prawie nie mówiła. Mężczyzna wciąż codziennie ją całował, przysiadł na skraju łóżka, głaskał ją po głowie albo po ręce, czasem jednak podpadał na duchu, podnosił się i wychodził. Kiedy wracał, znów ją całował i, tak jak kiedyś, zawsze coś przynosił. Walter za każdym razem wybiegał mu na spotkanie, by zobaczyć, co to takiego.

Ojciec mówił do matki: Zbudujemy tutaj nowe życie. Jesteśmy razem, możemy wiele zdziałać. Spójrz, inni są sami, wszędzie kogoś brakuje, tylko nie u nas. Choć to nie była prawda, brakowało dziadków. Kobieta wciąż leżała, mężczyzna nie wiedział, jak nakłonić ją do rozmowy, jak sprawić, by wstała, by się uśmiechnęła. Leżała, tęskniąc za tym, co było, i co nigdy nie będzie już takie, jak dawniej. Ponieważ przestało istnieć. Nie istnieje nic, według czego można by mierzyć czas. Mężczyzna mówił o nadziei. Proszę, spójrz, proszę, powiedz coś, zjedz, wstań wreszcie, przecież żyjemy tutaj dalej. Mamy siebie. Świeci słońce.

Wtedy kobieta odparła złośliwie: Dziękuj Bogu, że codziennie dopisuje ci humor.

Mężczyzna miałby ochotę roztrzaskać coś w złości, porozbijać stół i krzesła. Popatrzył na meble, przecież potrzebują krzesel. Chciał wybiec, trzasnąć drzwiami i więcej nie wracać.

Słońce tutaj nie świeci, powiedziała kobieta. Tylko ci się tak zdaje. U nas świeci słońce i idzie wiosna, co za ironia losu.

Mężczyzna położył się do łóżka przy drugim końcu ściany, też już niczego nie pragnął. Może tylko tego, by wyruszyć jeszcze dalej, w pojedynkę. Kochał jednak swoją żonę, został więc i znów wstał. Pomyślał sobie, że mają przecież dziecko, które z pewnością chciałoby nieraz słyszeć, jak jego rodzice rozmawiają, a nie jedynie patrzeć, jak kiwają głowami. Porozmawiał zatem z Walterem,

nie mając pojęcia, czy syn go rozumie. Sam nie do końca pojmował, o czym mówi, lecz Walter co nieco rozumiał. Kiedy nazajutrz ojciec wrócił do domu, chłopiec poszedł z nim do pokoju, gdzie w łóżku leżała przygnębiona matka, i patrzył, co przyniósł ze sobą ojciec. Był to duży pojemnik z czarną farbą oraz gruby pędzel. Najpierw ojciec namalował na podłużnej ścianie obraz z jodłami i leśną polaną, a potem obwiodł go ramą powyginaną w esy-floresy. Oto twój obraz, powiedział. Nad kanapą.

Pod ramą domalował na ścianie kanapę. Obok łóżka, gdzie leżała matka, namalował komodę z owalnym lustrem. I powiedział: A tutaj jest kuchnia.

Następnie namalował na ścianie szafkę kuchenną ze szklanymi drzwiczkami oraz dwa krzesła, a potem przysunął stół i trzy krzesła, które mieli w pokoju. Tak, powiedział. Teraz jesteśmy w domu. To sypialnia, to pokój dzienny, a tutaj kuchnia, wszystko na swoim miejscu.

W tym samym momencie Walter dostrzegł, że matka wygląda ze swojego kąta i wpatruje się w pomalowaną ścianę.

Tak to było, odezwał się starszek Walter do chłopca Maksyma.

A potem?

Powoli się ułożyło.

Naprawdę?

Tak.

Walter wziął swój obity na czerwono stołek i wrócił do mieszkania. Zimno mi, muszę wejść do środka, powiedział, zanim zamknął za sobą drzwi.

Maksym poszedł do siebie.

Wyjrzyj przez okno, powiedział, ale matka nawet nie odwróciła się w łóżku. Chłopiec powiedział ojcu o swoim pragnieniu, ten najpierw nie chciał się zgodzić, później jednak przeliczył pieniądze, wyszedł i wrócił z małymi puszkami farby. Najpierw zamierzał wręczyć je synowi, lecz potem sam zanurzył pędzel w czerwonym pojemniku i zaczął malować na ścianie. W ten sposób pojawił się kilim, a pod spodem kanapa z narzutą.

Kiedy ojciec skończył, a ścianę pokryły kolory, obraz i rozmyta farba, matka odwróciła się i spojrzała.

Co tam robicie?

Patrz, mam, tutaj jest nasz salon, kilim i szafa, powiedział Maksym. A tutaj sypialnia.

Co wy wyrabiacie?, spytała matka. Co to ma znaczyć?

A tutaj jest kuchnia i stół.

Matka miała posępną minę, ale usiadła i patrzyła. W tym czasie ojciec obok kilimu domalował drzewo. Maksym ozdobił je wiśniami. Wyjął z plecaka świecowa kredkę, wszedł na krzesło i narysował na ścianie słońce. Widziałeś? Jak tędy wyjrzysz, zobaczysz, że świeci słońce, spójrz. A to wiśnia.

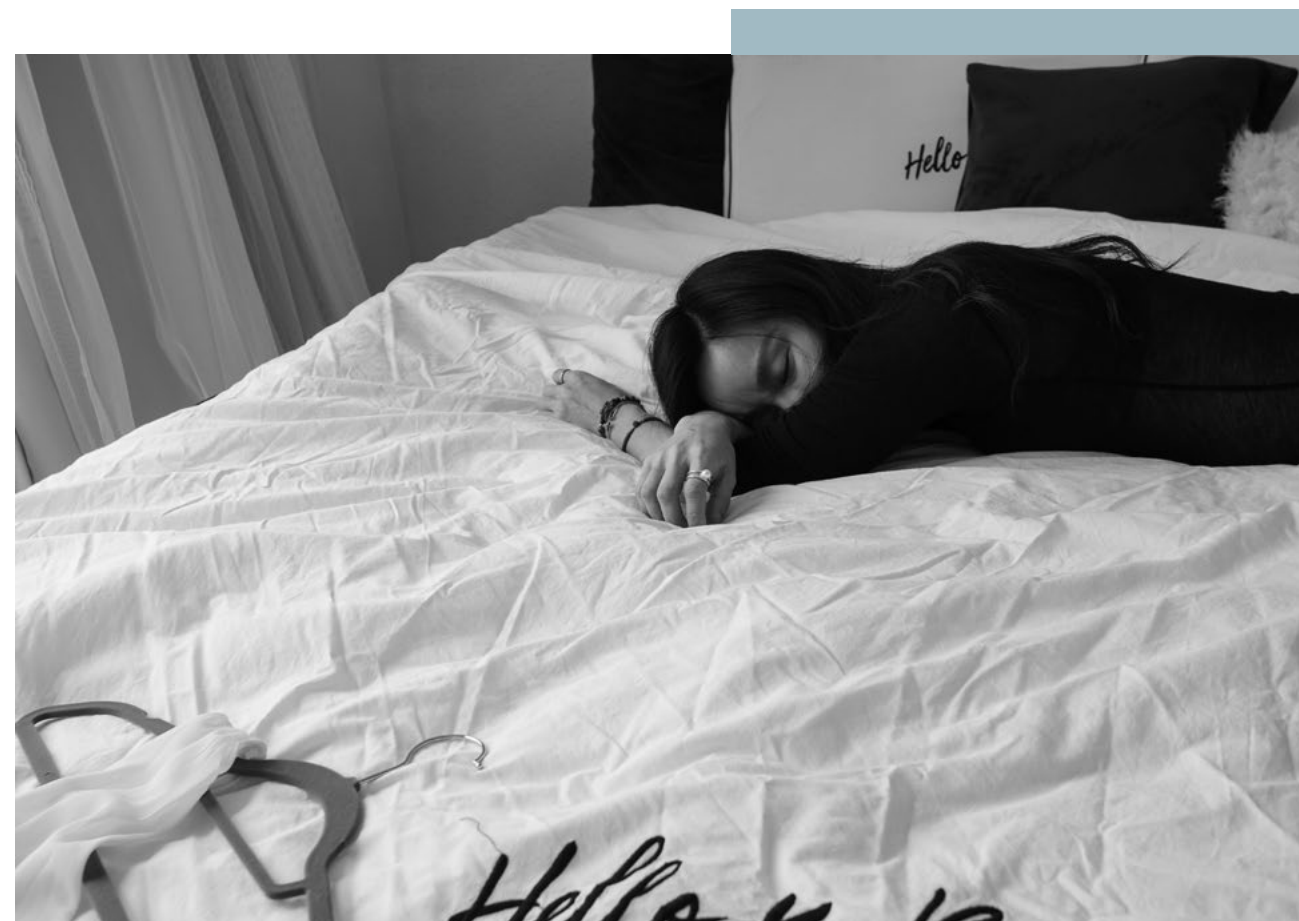
Ale drzewo nie rośnie w salonie, widać je z okna, zaprotestowała matka.

Ojciec wziął więc gęstą brązową farbę i domalował ramę okienną wokół wiśni i słońca.

Dobrze. Teraz możesz wyjrzeć, oznajmił.

Mama kiwnęła głową, nadal siedziała, nie położyła się. Wszyscy troje byli cicho, patrzyli, czekali, z nadzieją.

[Z języka niemieckiego przełożyła Małgorzata Gralińska]



© Ksenia Yanko

ANJA TUCKERMANN – Autorin von Romanen, Theaterstücken und Kinderbüchern. Ihr Werk wurde vielfach ausgezeichnet, u.a. mit dem Deutschen Literaturpreis und dem Friedrich-Gerstäcker-Preis. Ihre Bücher wurden in 15 Sprachen übersetzt, u.a. *Mano. Der Junge, der nicht wusste, wo er war* auf polnisch (*Mano. Chłopiec, który nie wiedział, gdzie jest*, Verlag Nisza 2014). 2011 war sie Stipendiatin in der Villa Decius in Krakau.

ANJA TUCKERMANN – autorka powieści, sztuk teatralnych i książek dla dzieci. Za swoją twórczość otrzymała wiele wyróżnień i nagród, m.in. nagrodę Deutscher Literaturpreis i Friedrich-Gerstäcker-Preis. Jej książki zostały przetłumaczone na 15 języków. W Polsce w 2014 roku ukazała się książka *Mano. Chłopiec, który nie wiedział, gdzie jest* (Wydawnictwo Nisza). W 2011 roku Anja Tuckermann była stypendystką Willi Decjusza w Krakowie.

АНЯ ТУКЕРМАН – авторка романів, театральних п'єс і дитячих книжок. Її твори неодноразово отримували відзнаки, в тому числі Німецьку літературну премію і премію Фрідріха Герштекера. Її книжки перекладено 15 мовами. 2011 року була стипендіаткою на Villa Decius у Кракові.

Ksenia Yanko Ксенія Янко Ksenia Yanko

TORBA UCIECZKI WALIZKA DŁY WTECІ FLUCHTTASCHE

Jednym z moich ostatnich wspomnień z Ukrainy jest widok prawie pustych ulic i ludzi z torbami. Każdy w moim mieście nosił ze sobą torbę, gotowy do ucieczki. Dla mnie pakowanie mojej torby było bolesne – ale jednocześnie czułam, że ma to znaczenie egzystencjalne, gdzieś pomiędzy „być” a „mieć”. Co było dla mnie ważne wczoraj (moje ubrania, książki, sprzęt fotograficzny)? Co pomoże mi jutro? To były pytania, które sobie zadawałam.

Chodziłam z tą torbą do pracy, mając poczucie, że mogę nigdy nie wrócić do domu. Potem z tą samą torbą wyjechałam z Ukrainy. A teraz proponuję, aby ludzie tutaj doświadczyli czegoś podobnego. Kiedy podejmujesz decyzję, które rzeczy ze sobą zabrać (i jednocześnie musząc nieuchronnie odrzucić inne), możesz lepiej zrozumieć, kim naprawdę jesteś. Doświadczyłam tego w moim kraju w czasie wojny. Ale na potrzeby tego projektu proponuję, abyście zrobili to w zaciszu swoich własnych domów. Pomoże Wam to zrozumieć, co dzieje się teraz w Ukrainie i jak ludzie się tam czują.

W tym projekcie nie chodzi o to, żeby współczuć Ukraińcom, którzy tracą teraz swoje domy. Chodzi o empatię i solidarność naszą i naszych krajów.

Один із моїх останніх спогадів з України – це майже порожні вулиці та люди з сумками. Кожен у моєму місті носив сумку, готовий втікати. Для мене пакувати сумку було боляче, але в той же час я відчувала, що це має екзистенціальний сенс, десь між «бути» і «мати». Що для мене було важливим вчора (мій одяг, книги, фототехніка)? Що допоможе мені завтра? Це були питання, які я ставила собі.

Я носила цю сумку на роботу, відчуваючи, що можу ніколи не повернутися додому. Потім з такою ж сумкою я виїхала з України. І зараз я пропоную, щоб люди тут пережили щось подібне. Коли ви вирішуєте, які речі взяти з собою (і неминуче доведеться відкинути інші), ви зможете краще зрозуміти, ким ви є насправді. Я пережила це у своїй країні під час війни. Але для цілей цього проєкту я пропоную вам зробити це в комфорті ваших власних домовок. Це допоможе вам зрозуміти, що зараз відбувається в Україні і як там почуваються люди.

Цей проєкт не про те, щоб пожаліти українців, які зараз втрачають свої домовки. Йдеться про співпереживання та солідарність між нами та нашими країнами.

Eine meiner jüngsten Erinnerungen aus der Ukraine ist der Anblick von fast leeren Straßen und Menschen mit Taschen. Jeder in meiner Stadt trug eine Tasche bei sich, bereit zu fliehen. Für mich war das Packen meiner Tasche schmerzhaft – aber gleichzeitig hatte ich das Gefühl, dass es eine existenzielle Bedeutung hatte, irgendwo zwischen „Sein” und „Haben”. Was war gestern wichtig für mich (meine Kleidung, meine Bücher, meine Kameraausrüstung)? Was wird mir morgen helfen? Das waren die Fragen, die ich mir stellte.

Ich ging mit dieser Tasche zur Arbeit und hatte das Gefühl, dass ich nie nach Hause kommen würde. Dann habe ich die Ukraine mit der gleichen Tasche verlassen. Und jetzt schlage ich vor, dass die Menschen hier etwas Ähnliches erleben. Wenn Sie Entscheidungen darüber treffen, welche Dinge Sie mitnehmen wollen (und gleichzeitig andere zwangsläufig ablegen müssen), können Sie besser verstehen, wer Sie wirklich sind. Ich habe das in meinem Land während des Krieges erlebt. Aber für dieses Projekt schlage ich vor, dass Sie dies bequem von zu Hause aus tun. Es wird Ihnen helfen zu verstehen, was derzeit in der Ukraine passiert und wie sich die Menschen dort fühlen.

Bei diesem Projekt geht es nicht darum, Mitleid mit den Ukrainern zu haben, die jetzt ihre Häuser verlieren. Es geht um Empathie und Solidarität zwischen uns und unseren Ländern.



© Ksenia Yanko

© Ksenia Yanko



© Ksenia Yanko

YEMAYA – KRÓLOWA MÓRZ YEMAYA – KÖNIGIN DER MEERE ЄМАЙЯ – КОРОЛЕВА МОРИВ

► Dawno, dawno temu, ale wcale aż tak nie tak dawno, albo może całkiem niedawno, tak jakby nawet ostatnio, wydarzyła się taka historia.

Był sobie chłopiec. Na imię miał Omar. O w jego imieniu było okrągłe i pojemne jak cały świat. Pojemne, czyli mieszczące wszystko. Omar bardzo lubił wyobrażać sobie różne rzeczy. Lubiał też rozmawiać z przedmiotami, z którymi nikt nie rozmawia. Rozmawiał z kwiatami, kamieniami, z kranem, z którego leje się woda. Tata Omara bardzo nie lubił, gdy Omar tak rozmawiał. Na przykład z kwiatami na balkonie. Krzyczał wtedy:

„Przestań mówić do kwiatów”

„Zacznij się zachowywać jak normalne dziecko”

„Przynosisz mi wstyd”

„Przestań sobie wyobrażać jakieś głupstwa”

I Omar przestał.

To znaczy przestał rozmawiać, gdy jakikolwiek człowiek był przy nim, a szczególnie tata.

Poza tatą Omar nie miał nikogo.

1.

Wiadomość z ostatniej chwili:

Imię: Omar

Wiek: 5 lat

Gdzie jest: na łodzi

Gdzie jest łódź: na morzu

Gdzie jest morze: na oceanie

Gdzie jest ocean: na planecie Ziemia

Gdzie jest Ziemia: w Układzie Słonecznym

Gdzie jest Układ Słoneczny: w Kosmosie

Gdzie jest Kosmos: w Omarze

2.

Upadek Miasta

Omar

Wszystko zaczęło się rano. Poszedłem do łazienki – nie po to, żeby myć zęby, tylko żeby nalać wody do konewki. Zawsze tak robię: nalewam wodę i idę podlać kwiaty na balkonie. Przecież kwiatom chce się pić. Zęby mogą poczekać – nie tęsknią za pastą jak kwiaty za wodą. Wody w kranie nie było. W kuchni też. Zniknęła. Kran tylko zachrypiał, że nie wie, gdzie jest. Dziwne. Idę na balkon i mówię kwiatom, że muszą zaczekać. Że coś wymyślę.
(do Kwiatów) Musicie zaczekać. Coś wymyślę.

Mówię to i nagle –

Patrzę i oczom nie wierzę: wszystkie domy w moim Mieście zaczynają się kłaskać. Jeden po drugim opadają na bok. Niektóre są takie śpiące,

że przewracają się wprost na ziemię. Wypadają im okna i drzwi. Spadają anteny satelitarne. Odpadają balkony. Padają jak ścięte drzewa. Co się dzieje?

3.

Ostatnia wiadomość z Miasta

Wiadomość z ostatniej chwili: nie wolno podnosić oczu do nieba. Zamiast ptaków i motyli latają samoloty i bomby, samoloty i bomby. Zniknęły ptaki i motyle, ptaki i motyle. Uprasza się o niepatrzenie na takie straszne niebo. Uwaga: nie wolno podnosić oczu do nieba.

4.

Podróż

Omar

Stałem na balkonie. Wtedy przyszedł tata i mówi:

Tata

Omar, nasz świat się rozpadł. Rozpadły się domy, rozpadło się Miasto. Musimy popłynąć, poszukać nowego świata i nowego miasta, które się nie rozpadnie.

Omar

Dlatego jesteśmy teraz na łodzi. Ja, tata i wszyscy ludzie.

Płyniemy przez Morze Zmartwień. Ono mi samo powiedziało, że się tak nazywa. Jest bardzo delikatne. Każda zmartwiona myśl podnosi na nim fale.

Morze Zmartwień

Jestem wzburzone, proszę przestańcie myśleć o czarnej przyszłości. Tragedie i łzy wyrzucicie z głów. Napelnijcie dusze kolorowymi myślami.

Wszyscy tu wariują

Czarne myśli snują

Czarne myśli

Czarne nitki

Czarny płaszczyk

Nie jest brzydki

Raz dwa trzy

Płaszcz zakładasz ty

Diabeł morski w płaszczu płynie

Burza was tu nie ominie

Omar

Tato, a ten nowy świat też się nie rozpadnie, jak do niego dopłyniemy?

Tata

Nie. Jest solidny i bogaty.

Omar

A jak nas nie ma w naszym Mieście, to kto tam jest?

Tata

Sama ziemia.

Omar

A ona nie oderwie się i nie odleci?

Tata

Ziemia nie ma skrzydeł.

Omar

Ale nikt na niej nie stoi. Nikt nie przyciska ziemi do ziemi.

Tata

Ziemi nie trzeba przyciskać do ziemi.

Omar

A ziemi nie jest smutno bez nas?

Tata

Ziemia nic nie czuje.

Omar

Skąd wiesz?

Tata

Nie zadawaj głupich pytań. Mamy większe zmartwienia.

Omar

Jakiego koloru?

Tata

Nie denerwuj mnie.

Omar

A dużo ich jest?

Tata

Czego?

Omar

Większych zmartwień.

Tata

Dużo.

Omar

A jak my wszyscy staniemy na tej nowej ziemi, to jej nie będzie za ciężko?

Tata

Nie.

Omar

Przecież wszyscy na raz wysiądziemy – czy ona nas udźwignie?

Tata

Cicho bądź.

Omar

Czy się nie zapadnie pod naszym ciężarem?

Tata

Powiedziałem „cicho bądź”

Omar

(do siebie) Woda to największy zmieniacz kształtów

Raz jest górą, raz przepaścią. Fale skaczą. Wyżej, wyżej. I spadają. Niżej, niżej.

Morze Omar, tak jest na powierzchni, ale pod spodem spokój.
 Tata Zakładaj kamizelkę, szybko.
 Omar Tato, pod spodem wody jest spokój.
 Tata *(zakładając kamizelkę, do siebie)* Za duża ta kamizelka na ciebie.
 Morze Omar, w głębi morza są latające dywany i zamki.
 Omar Tato, w głębi morza są latające dywany i zamki.
 Tata Cholera.
 Morze I ogrody.
 Omar I ogrody.
 Morze Piękna królowa.
 Omar Piękna królowa
 Morze Nie ma się czego bać.
 Omar Nie ma się czego bać.
 Tata Omar!

Przeszła nad nimi wielka fala, została kamizelka

5.

Assessu Yemaya

Pod wodą, w głębi, trwa wielka impreza: Konkurs Pieśni Podwodnej – Nie chowaj głosu pod Rafą. Publiczność. Drinki z parasolkami, świeczące ryby, choreografia ukwiałów, balet ośmiornic, skalne grotty, ryby-młoty, ławice tresowanych sardynek do błyskania i defilowania, ćwierkanie delfinów i ryki waleni, dużo pięknych baniek z kolorowym powietrzem wszelkiego rozmiaru, albo i nie. Na złotym tronie błękitna Yemaya, królowa mórz i matka wszystkich ryb i stworów, jednoosobowe Jury. Żółw uderza w skorupę, w przerwach Orkiestra przygrywa. Zawodnicy wyłaniają się z Wielkiej Muszli, która jest zamknięta w tej chwili.

Yemaya Wielka Muszlo, otwórz się!

Muszla otwiera się, wpływa Rekin Gogo.

Yemaya Rekinie Gogo, witam.
 Rekin Gogo *(śpiewa)* Assessu Yemaya
 Yemaya assessu
 Asesu olodo
 Olodo Yemaya

Ta piosenka Ludu Joruba jest punktem obowiązkowym Konkursu, każdy ją wykonuje jak najpiękniej, a później prezentuje swoją kompozycję. Rekin Gogo wykonuje „Assessu” bardzo pięknie.

Oklaski, machanie ogonami, wachlowanie skrzelami, stukotanie w skorupy, pukanie w pancerze i inne oznaki aplauzu.

Rekin Gogo *(kłaniając się)* O wielka Yemaya.
 O potężna Yemaya.
 Wdzięczny ci jestem za wszystko.
 A przede wszystkim za zęby.
 Yemaya Rekinie Gogo, masz piękny głos i piękne zęby. Co nam zaśpiewasz?
 Rekin Gogo Kompozycję własną pt. Ja i moje zęby

(śpiewa) Moje zęby rosną w wielu rzędach
 Moje zęby są na górze i na dole
 Moje zęby są tak ostre i wspaniałe
 Że w zasadzie się ich boję

 Kiedy jeden się połamie
 Albo drugi się połamie
 Albo trzeci się połamie
 Albo czwarty się wylamie
 Albo piąty mi wyleci
 Wtedy moje drogie dzieci
 Wyrastają zęby nowe

Z Wielkiej Muszli pojawia się Chórek roztańczony Zębów, które Dopiero Wyrosną:

Zęby Wyrastamy, wyrastamy
 Na wezwanie twe czekamy
 Bo nas jeszcze wcale nie ma
 Na wezwanie twe czekamy
 Rekinie Gogo
 Yemaya Rekinie Gogo, ty i twoje Zęby kochacie muzykę.
 Dostajecie ode mnie złote muszleki harmonii. Kto następny?
 Niech się otworzy Wielka Muszla.

Muszla otwiera się, wyłania się płaszczka Manta (Diabeł morski). Manta kłania się.

Manta O wielka Yemaya, o wspaniała Yemaya, nie mogę śpiewać.
 Przyszedłem tu poskarżyć się na rekina Gogo. Przyczają się i wyszarpuje kawałek mojego cielesnego płaszczka. Powiedz mu, że mój płaszcz i ja to jedno. Powiedz mu, że jestem Mantą.
 Yemaya *(do Manty)* Gogo wie, kim jesteś. Wie, co robi. Chce cię zjeść.
 Rekin Gogo Ja? Nigdy...
 Yemaya *(do Manty)* Ale jesteś za duży, więc się boi.
 Rekin Gogo O wielka Yemaya, nie słuchaj tego co mówi ten wyliniały dywan.
 Yemaya Gogo, żywisz się rybami. Zostaw Mantę w spokoju.
 Rekin Gogo O, Yemaya, czy twoja wielkość istnieje po to, by wysłuchiwać skarg gadającej szmaty z oczami i ogonem?
 Yemaya Gogo!
 Rekin Gogo Dobrze. Przyznaję. Podgryzałem Mantę. Jestem ostatnio strasznie głodny. Brakuje ryb. Ludzie je wylawiają!

6.

Omar przyniesiony złotymi nitkami słów

Nagle otwiera się Wielka Muszla i do środka wpada... Omar.

Omar *(podnosząc się i rozglądając)* Miałem rację! Królowa!
 Latający dywan! Ogrody!
 Yemaya Skąd się tu wziąłeś, człowieku?
 Omar Fala zabrała mnie z łodzi i usłyszałem pieśń – ta pieśń była ze złota – jej słowa były złotymi niciami – one mnie owinęły i porwały, i zaniósł tu. Asesu yemaya, te słowa mnie niosły.
 Yemaya Jak ci na imię?
 Omar Omar. I mam pięć lat.
 Yemaya Na pewno jesteś spragniony, Omarze. Zrobimy ci dobrej herbaty.
 Gogo, zawołaj węgorza elektrycznego. Trzeba włączyć czajnik.
 Omar *(rozglądając się znów)* Tu woda jest inna, niż tam, na górze.
 Yemaya Tak. Woda jest wielkim zmieniającym kształtów.
 Jest wszędzie. Była i jest ta sama. Krąży od milionów lat.
 W lodowcach, w ptakach, rybach, w naszej krwi.
 Węgorz Herbata gotowa.
 Yemaya *(patrząc na herbatę)* W tej wodzie jest cały świat. Są w niej molekuly, najdrobniejsze cząsteczki wszystkiego – nawet istot, które wyginęły.
 Omar Takich jak dinozaur?
 Yemaya Tak. W twojej herbacie są jego molekuly.
 Omar W mojej herbacie jest dinozaur?

Zawierowanie. Z herbaty wyskakuje Dinozaur Hugo. Śpiewa.

Dinozaur Hugo Kiedy pijesz herbatę nie wiesz, że
 Pijesz mnie
 Dinozaura Hugo

 Jednak nie przejmuj się
 Że pijesz mnie
 Dinozaura Hugo

Bo mnie już nie ma
Od bardzo długo
Jestem Hugo

7.

Nowi goście

Wielka Muszla niespodziewanie otwiera się znów. Wypadają z niej Balkon z Kwiatami oraz Kawał Ziemi. Na końcu Kamień.

Balkon (do Omara) Omar! Nie było łatwo cię znaleźć.
Omar Balkon?
Balkon Balkon! Chyba nie wyglądam jak konik morski?
Kwiaty Balkon z nami, z Kwiatami.
Omar Skąd się tu wzięliście?
Balkon Pytasz się? A co? A jak się mieliśmy wziąć? Bo od ziemi się oderwał Kawał Ziemi.
Kwiaty Właśnie. Gdzie on jest?
Kawał Ziemi Tutaj. Nie jestem taki jak wy. Na łeb na szyję. Delikatnie osiadam. (sposstrzega Omara) Omar, nareszcie!
Omar A kto ty jesteś?
Kawał Ziemi No jak to kto – ja! Ja! Kawał Ziemi sprzed twojego domu. Ten zaraz za progiem. Z Kamieniem, na który psy sikały.
Kamień Czy trzeba o tym mówić?
Omar Kawał Ziemi? Kamień? Balkon? Kwiaty? Tu?
Kawał Ziemi A gdzie?
Omar Ale jak?
Kwiaty Gdzie ty, tam my.
Balkon I ja też.
Kawał Ziemi I ja też.
Kamień I ja.
Omar Ale jak?
Kawał Ziemi Bo wszyscy gdzie poszli. Przestały mnie nogi przyciskać do ziemi... Twoje nogi najbardziej przestały.
Omar Ale ja cię... właściwie... nie przyciskałem do ziemi.
Noga lewa Przyciskałeś, przyciskałeś, skakałeś, przyciskałeś.
Prawa noga Nie powtarzaj w kółko tego samego.
Noga lewa Dlaczego?
Prawa noga Tracisz wiarygodność.
Kawał Ziemi Cicho. Spójrzcie na nogi Omara, na te dwie dzielne nogi: to one umiejscawiały mnie na miejscu. Tak je kocham.
Omar Co?
Kawał Ziemi Póki chodziły po mnie, wydawało mi się, że jestem nieruchomym Kawałem Ziemi. Gdy sobie poszły, wszystko się we mnie obluźowało.
Yemaya Kawale Ziemi, Balkonie, Kamieniu, Kwiaty – witamy was.
Rekin Gogo Wielka Yemaya przyjmuje każdego gościa, nawet takiego, któremu się poluzowało.
Kawał Ziemi Obluzowało. I nie czuję się z tym dobrze.
Yemaya Ziemia nie jest do latania.
Kawał Ziemi Dostałem skrzydeł, ale jest mi z tym ciężko.
Nogi Lewa Prawa To nie nasza wina. Przyciskałyśmy go, przyciskałyśmy, aż przestałyśmy.
Omar Proszę was, bądźcie cicho.
Nogi Lewa Prawa Poszedłeś nas!
Omar Co?
Nogi Lewa Prawa Poszedłeś nami, Nogami, aż tu.
Kawał Ziemi Jak ja się cieszę, że was widzę, nogi Omara, niech was uściskam.

(ściska Nogi, Lewą i Prawą)

Balkon O wielka Yemaya, jako Balkon powiem coś z wysoka.
Od dawna chciałem udać się w podróż. Osobiście podkreślę, że jestem bardzo wdzięczny Kawałowi Ziemi za to, że dostał skrzydeł i odleciał. Gdyby nie on i jego nagła inicjatywa nie wpadłbym na pomysł, by się oderwać od budynku
Kwiaty Który jakimś cudem przetrwał.

Balkon Myślałem, że będę wisieć nad Miastem bez końca, ale z Miasta nic zostało, ruiny i zgliszcza. Ale po co? Pomyślałem. Dlaczego? Pomyślałem – mam wisieć?
Kwiaty My też.
Balkon I miałem patrzeć jak Kwiaty umierają bez wody?
Kwiaty Co to za życie takie umieranie?
Balkon No właśnie i wtedy nagle...
Kawał Ziemi ...Obluzowałem się i dostałem skrzydeł – powiedziałem – lecę...
Balkon ...Ale dokąd?
Kwiaty My też – ale dokąd!?
Kawał Ziemi Za Omarem! – powiedziałem!
Omar Jak mnie znaleźliście?
Balkon Spadł deszcz, a woda wie wszystko – krąży wszędzie.
Kwiaty Zapytaliśmy kropel...
Kawał Ziemi Gdzie Omar?
Kwiaty A krople tak szu szu szu: królowa Yemaya częstuje Omara herbatą.
Kawał Ziemi No i jesteśmy.
Balkon Teraz mów, co mamy robić?
Omar Zostać tu!
Kawał Ziemi Wracać!
Kwiaty Nie wracać!
Balkon Zostać! Jako „Podwodny Balkon i jego drużyna”!
Rekin Gogo Żeby tu zostać, musicie zapytać o zgodę Królową Yemaya.
Balkon Królowo, przyjmij nas: Podwodny Balkon i Kwiaty.
Kamień I Kamień.
Omar I mnie. Prosimy, Królowo.
Kawał Ziemi Omar, wracaj ze mną do domu, do Miasta.
Yemaya Nie możecie wrócić do Miasta.
Kawał Ziemi Dlaczego?
Yemaya Bo tam jest wojna.
Rekin Gogo O wielka Yemaya, o potężna Yemaya, jak otwierasz usta, to płyną z nich perły, choć nie jesteś perłopławem, ale tym razem nie rozumiem. Co to jest WOJNA?
Dinozaur To jest dinozaur straszny? Jak T-Rex? Albo raptor?
Rekin Gogo Albo wielki wyliniały dywan-czarna szmata?
Manta On mnie znowu obraża.
Rekin Gogo Więc co to jest wojna?
Yemaya Wojna jest wtedy, kiedy jesteś żywy, a idziesz Ścieżką Umarłych.
Gogo Niby co?
Yemaya Wszyscy wiecie, że do Serca Oceanu prowadzą dwie ścieżki: Ścieżką Umarłych idą wszystkie umarłe morskie stworzenia, by tam znaleźć spokój. Ścieżką Żywych czasem chodzimy, by zapytać Serce Oceanu o coś ważnego.
Rekin Gogo O wielka Yemaya, wiesz, że żaden umarły nie może wejść na Ścieżkę Żywych, a żaden żywy iść Ścieżką Umarłych. Nie rozumiem twojej zagadkowej odpowiedzi.
Yemaya I bardzo dobrze, Rekinie Gogo.
Kawał Ziemi Uważam, że Omar powinien wrócić na ziemię do ludzi. (do Omara) Przecież twój tata się o ciebie martwi.
Yemaya Byłeś na łodzi z tatą?
Omar Tak. Ale to nie jest mój tata.
Kawał Ziemi Nie jest twój tata?
Omar Tylko tak każe na siebie mówić. Ale to nie tata.
Kawał Ziemi A kto?
Omar Wujek.
Kwiaty/Kawał Ziemi (zdumieni) Wujek?
Omar (brnie w kłamstwo) On tylko udaje tatę. Nie jest dla mnie dobry. (do Balkonu, Kwiatów, Kawała Ziemi) Przecież wszyscy o tym wiecie: ile razy krzyczał, że wyrzuci Kwiaty z balkonu?! Zabraniał rozmawiać z wami?!
Kwiaty To prawda. Wiele razy zegnaliśmy się z życiem. Raz wyrwał nas z korzeniami i wyrzucił.
Balkon Poleciały w dół jak kamienie.
Kamień Co ty wiesz o kamieniach?

Kwiaty Ale Omar przeczekał gniew. Cicho zszedł. Zasadził nas z powrotem.
 Kawał Ziemi Tata Omara postąpił źle.
 Omar Wujek.
 Manta Rekin Gogo gryzł mnie, bo był głodny. Może wujek Omara też krzyczał, bo był głodny?
 Rekin Gogo Nie usprawiedliwiaj mnie. Jestem rekinem. Lubię gryźć i szarpać. Nie zmienię się.
 Yemaya Omarze, to bardzo odpowiedzialna decyzja – zostawić cię tu. A jeśli twój tata...
 Omar (przerzywa) Wujek!
 Yemaya ...będzie się martwił?
 Omar Nie będzie. Znam go
 Yemaya A inni ludzie?
 Omar Nikogo nie zmartwi, że mnie nie ma.
 Omar Po prostu powiedzą: Omar się utopił.

► Vor langer, langer Zeit, aber längst wieder nicht so lange her, vielleicht doch unlängst oder gerade eben erst, hat sich folgende Geschichte zugetragen.

Es war einmal ein kleiner Junge, der hieß Omar. Das O in seinem Namen war rund und geräumig. Dermaßen geräumig, dass alles bequem darin Platz fand. Omar stellte sich für sein Leben gern die unterschiedlichsten Dinge vor. Er unterhielt sich mit den Gegenständen, mit denen sich sonst niemand unterhielt. Er sprach mit den Blumen, mit den Steinen, mit dem Wasserkran. Omars Vater mochte es nicht, wenn Omar sich unterhielt. Mit den Blumen auf dem Balkon zum Beispiel. Er schrie dann: „Hör auf, mit den Blumen zu reden.“ „Fang endlich an, dich wie ein normales Kind zu benehmen.“ „Du machst mir Schande.“ „Hör auf, dir irgendwelche Dummheiten auszudenken.“ Und Omar hörte auf. Das heißt, er hörte auf, sich zu unterhalten, wenn jemand in der Nähe war, vor allem wenn sein Vater in der Nähe war. Außer seinem Vater hatte Omar niemanden.

1.

Eilmeldung

Name: Omar
 Alter: fünf Jahre
 Wo ist er: auf einem Boot
 Wo ist das Boot: auf dem Meer
 Wo ist das Meer: in den Weiten des Ozeans
 Wo ist der Ozean: auf dem Planeten Erde
 Wo ist die Erde: im Sonnensystem
 Wo ist das Sonnensystem: im Kosmos
 Wo ist der Kosmos: in Omar.

2.

Der Untergang der Stadt

Omar Es begann alles eines Morgens. Ich ging ins Badezimmer – nicht um meine Zähne zu putzen, sondern um die Gießkanne mit Wasser zu füllen. Das mache ich immer so: Ich fülle die Kanne mit Wasser und gehe auf den Balkon die Blumen gießen. Die Blumen haben schließlich Durst. Die Zähne können warten – sie sehnen sich nicht nach Zahnpasta wie die Blumen nach Wasser.

Aus dem Kran kam kein Wasser. Auch in der Küche gab es keins. Es war verschwunden. Der Kran krächzte nur, er wisse nicht, wo das Wasser sei. Seltsam. Ich ging auf den Balkon und sagte den Blumen, sie müssten etwas Geduld haben. Ich würde mir etwas überlegen.

(zu den Blumen) Ihr müsst etwas Geduld haben. Ich werde mir etwas überlegen.
 Und plötzlich, wie ich das sage ...
 Ich traue meinen Augen nicht: Alle Häuser in meiner Stadt legen sich nieder. Eins nach dem anderen sinkt hin. Manche sind so müde, dass sie auf der Stelle zu Boden stürzen. Die Fenster und Türen fallen heraus. Die Satellitenschüsseln ab. Die Balkone herunter. Sie fallen wie gefällte Bäume. Was ist hier los?

3.

Eilmeldung aus der Stadt

Eilmeldung Es ist verboten, zum Himmel hinaufzublicken. Statt Vögel und Schmetterlinge fliegen Flugzeuge und Bomben, Flugzeuge und Bomben. Verschwunden sind Vögel und Schmetterlinge, Vögel und Schmetterlinge. Es wird dringend gebeten, unter keinen Umständen in diesen furchtbaren Himmel zu schauen. Achtung: Es ist verboten, zum Himmel hinaufzublicken.



© Dorota Gawryszewska

4.

Die Reise

Omar
 Omars Vater

Ich stand auf dem Balkon. Da kam mein Vater und sagte: Unsere Welt ist zerfallen, Omar. Die Häuser sind zerfallen. Die Stadt

ist zerfallen. Wir müssen fort, uns eine neue Welt suchen, eine neue Stadt, die nicht zerfällt.

Omar Und deshalb sind wir jetzt auf dem Boot. Ich, Vater und all die Menschen. Wir schwimmen über das Meer der Sorgen. Das Meer hat mir selbst gesagt, dass es so heißt. Es ist sehr zartfühlend. Jeder besorgte Gedanke schlägt auf ihm Wellen.

Meer der Sorgen Ich bin aufgewühlt, bitte hört auf, euch die Zukunft in schwarzen Farben auszumalen. Verbannt Tragödien und Tränen aus euren Köpfen. Füllt eure Seelen mit farbenfrohen Gedanken.

Alle drehen hier am Rad
Spinnen gedankenversunken
Mit schwarzer Tinte
Gedankenkraken
Schwarze Fäden
Aus lauter Schwarzseherei
Ein schwarzes Mäntelein
Eins zwei drei
Und der Mantel der ist dein
Elegant im Mantel Manta schwimmt
Doch dem Sturm entgeht ihr nicht

Omar Aber wird die neue Welt nicht auch zerfallen, wenn wir dort ankommen?

Omars Vater Nein. Sie ist grundsolide und reich.

Omar Aber wenn wir nicht mehr in unserer Stadt sind, wer wird dann dort sein?

Omars Vater Niemand, nur die Erde.

Omar Wird sie sich nicht losreißen und davonfliegen?

Omars Vater Die Erde hat keine Flügel.

Omar Aber niemand steht auf ihr.

Niemand drückt sie zu Boden.

Omars Vater Die Erde muss nicht zu Boden gedrückt werden.

Omar Aber fühlt sich die Erde nicht traurig ohne uns?

Omars Vater Die Erde fühlt nichts.

Omar Woher weißt du das?

Omars Vater Lass die dumme Fragerei. Wir haben größere Sorgen.

Omar Welche Farbe haben sie?

Omars Vater Geh mir nicht auf die Nerven.

Omar Sind sie viele?

Omars Vater Wer?

Omar Die größeren Sorgen.

Omars Vater Ja, viele.

Omar Und wenn wir dann alle auf der neuen Erde stehen, wird das nicht zu schwer für sie sein?

Omars Vater Nein.

Omar Schließlich werden wir alle auf einmal aussteigen – wird sie uns alle tragen können?

Omars Vater Sei still.

Omar Wird sie nicht einbrechen unter unserem Gewicht?

Omars Vater Ich sagte, sei still.

Omar *(zu sich)* Wasser ist der größte Gestaltwandler
Mal ist das Wasser ein Berg, mal ein Abgrund
Wellen springen. Höher und höher. Und fallen. Tiefer und tiefer

Meer der Sorgen So sieht es an der Oberfläche aus, Omar, unter Wasser aber herrscht Ruhe.

Omars Vater Zieh die Weste an, schnell.

Omar Papa, unter Wasser herrscht Ruhe.

Omars Vater *(zieht ihm die Weste an, zu sich)* Diese Weste ist zu groß für dich.

Meer der Sorgen In den Tiefen des Meeres gibt es fliegende Teppiche und Schlösser, Omar.

Omar In den Tiefen des Meeres gibt es fliegende Teppiche und Schlösser, Papa.

Omars Vater Verdammt.

Meer der Sorgen Und Gärten.

Omar Und Gärten.

Meer der Sorgen Eine schöne Königin.

Omar Eine schöne Königin

Meer der Sorgen Man muss keine Angst haben.

Omar Man muss keine Angst haben.

Omars Vater Omar!

Eine große Welle schwappt über sie hinweg, von Omar bleibt nur die Weste zurück.

5.

Assessu Yemaya

Tief unter Wasser findet ein riesiges Fest statt: der Wettbewerb des Unterwasserliedes „Versteck deine Stimme nicht unterm Riff“. Zuschauer, Drinks mit Schirmchen, leuchtende Fische, Seeanemonenchoreografien, Krakenballett, Felsengrotten, Hammerfische, Schwärme dressierter Glitzer- und Defiliersardinen, Delfingezwitscher und Walfischschreie, unzählige Blasen in allen Größen gefüllt mit bunter Luft, oder auch nicht. Auf einem goldenen Thron sitzt Yemaya, die azurblaue Königin der Meere, Mutter aller Fische und Kreaturen und Jury in einer Person.

Eine Schildkröte trommelt auf ihrem Panzer, in den Pausen spielt ein Orchester auf. Die Teilnehmer entsteigen der Großen Muschel, die im Moment noch geschlossen ist.

Yemaya Öffne dich, Große Muschel!

Die Muschel öffnet sich, Gogo Haifisch schwimmt aus ihr heraus.

Yemaya Herzlich willkommen, Gogo Haifisch.
Gogo Haifisch *(singt)* Assessu Yemaya
Yemaya assessu
Asesu olodo
Olodo Yemaya

Das vierzeilige Lied des Joruba-Volkes gehört zum Pflichtprogramm. Jeder Teilnehmer trägt es vor und präsentiert danach eine eigene Komposition. Gogo Haifischs „Assessu“-Interpretation kommt beim Publikum sehr gut an.

Applaus. Es wird mit den Schwanzflossen gewedelt, mit den Kiemen gefächelt, mit den Schalen geklappert, gegen die Panzer geklopft und auf vielerlei andere Weise Beifall gespendet.

Gogo Haifisch *(verbeugt sich)* Oh, große Yemaya
Oh, mächtige Yemaya
Ich bin dir so dankbar für alles
Vor allem für meine Zähne

Yemaya Du hast eine schöne Stimme und schöne Zähne, Gogo Haifisch.
Was wirst du für uns singen?

Gogo Haifisch Eine eigene Komposition, Ich und meine Zähne.

(singt) Meine Zähne wachsen in endlosen Reihen
Meine Zähne sind oben und unten
Meine Zähne sind messerscharf und spitz
So dass sogar ich mich vor ihnen fürchte

Wenn einer abbricht
Oder ein zweiter abbricht
Oder ein dritter abbricht
Oder ein vierter herausbricht
Oder ein fünfter ausfällt
Dann, meine lieben Kinder
Wachsen neue Zähne nach

Aus der Großen Muschel entschwebt ein kleiner Chor tanzender Zähne, die noch nicht durchgebrochen sind:

Wir stehen vor dem Durchbruch
Wir warten auf deinen Ruf
Noch sind wir nicht da, nicht mal zu Besuch

Wir warten auf deinen Ruf
Gogo Haifisch
Yemaya Gogo Haifisch, du und deine Zähne, ihr liebt Musik. Ihr bekommt von mir die goldenen Muscheln der Harmonie. Wer ist als Nächster dran? Große Muschel, öffne dich.

Die Muschel öffnet sich, Manta Rochen erscheint. Manta verbeugt sich.

Manta Oh, große Yemaya, oh, wunderbare Yemaya, ich kann nicht singen. Ich bin gekommen, um mich über Gogo Haifisch zu beschweren. Er lauert mir auf und reißt ein Stück aus meinem Körpermantel heraus. Sag ihm, dass mein Mantel und ich ein und dasselbe sind. Sag ihm, dass ich Manta bin.
Yemaya *(zu Manta)* Gogo weiß, wer du bist. Er weiß, was er tut. Er will dich fressen.
Gogo Haifisch Ich? Niemals ...
Yemaya *(zu Manta)* Aber du bist zu groß, deshalb hat er Angst.
Gogo Haifisch Oh, große Yemaya, hör nicht auf diesen ollen Teppich.
Yemaya Du ernährst dich von Fischen, Gogo. Lass Manta in Ruhe.
Gogo Haifisch Oh, große Yemaya, bist du Königin, um dir die Beschwerden von einem plappernden Lappen mit Augen und Schwanz anzuhören?
Yemaya Gogo!
Gogo Haifisch Schon gut, ich gebe es zu. Ich habe Manta angefressen. Ich bin in letzter Zeit furchtbar hungrig. Es gibt nicht genug Fische. Die Menschen fischen alles leer!

6.

Omar, von goldenen Wortfäden hergetragen

Plötzlich öffnet sich die Große Muschel und ... Omar purzelt heraus.

Omar *(erhebt sich, sieht sich um)* Ich hatte Recht! Eine Königin! Ein fliegender Teppich! Gärten!
Yemaya Wie bist du hierhergekommen, Mensch?
Omar Eine Welle hat mich über Bord gespült, und dann habe ich ein Lied gehört – das Lied war aus Gold – seine Worte waren goldene Fäden – sie haben mich umwickelt und mitgerissen, und mich hierhergebracht. Assesu yemaya, diese Worte haben mich getragen.
Yemaya Wie heißt du?
Omar Omar. Ich bin fünf Jahre alt.
Yemaya Du hast bestimmt Durst, Omar. Wir machen dir einen schönen heißen Tee. Gogo, ruf den Zitteraal herbei. Wir brauchen Strom für den Wasserkocher.
Omar *(sieht sich von neuem um)* Hier ist das Wasser anders als dort oben.
Yemaya Ja. Wasser ist ein großer Gestaltwandler. Es ist überall. Es war und es ist stets dasselbe. Es zirkuliert seit Millionen von Jahren. In Gletschern, Vögeln, Fischen, in unserem Blut.
Zitteraal Der Tee ist fertig.
Yemaya *(betrachtet den Tee)* In diesem Wasser ist die ganze Welt enthalten. In ihm sind Moleküle, die kleinsten Teilchen von allem, sogar von Wesen, die längst ausgestorben sind.
Omar Auch von Dinosauriern?
Yemaya Ja. In deinem Tee sind ihre Moleküle.
Omar In meinem Tee ist ein Dinosaurier?

Das Wasser wirbelt. Hugo Dinosaurier springt aus dem Tee. Singt.

Hugo Dinosaurier Wenn du Tee trinkst, ahnst du nicht Dass du mich trinkst Hugo Dinosaurier

Aber mach dir nichts draus Dass du mich trinkst Hugo Dinosaurier

Denn mich gibt es nicht mehr
Seit fernen Urzeiten
Hugo, die alte Mär

7.

Neue Gäste

Plötzlich öffnet sich die Große Muschel wieder. Ein Balkon mit Blumen und ein Stück Erde fallen aus ihr heraus. Und schließlich ein Stein.

Balkon *(zu Omar)* Omar! Es war gar nicht leicht, dich zu finden!
Omar Balkon?
Balkon Balkon! Oder sehe ich etwa wie ein Seepferdchen aus.
Blumen Balkon mit uns, mit uns Blumen.
Omar Wie seid ihr hierhergekommen?
Balkon Was für eine Frage. Wie wohl. Wie sollen wir schon hierhergekommen sein. Ein Stück Erde hat sich losgerissen.
Blumen Wo ist das Stück Erde eigentlich?
Stück Erde Hier. Ich bin nicht so wie ihr. Hals über Kopf. Ich gleite sanft zu Boden.
(erblickt Omar) Omar, da bist du ja!
Omar Und wer bist du?
Stück Erde Wer soll ich schon sein! Ich bin es, ich, das Stück Erde vor deinem Haus. Das Stück direkt vor der Tür. Mit dem Stein, auf den die Hunde pinkeln.
Stein Musstest du das unbedingt erwähnen?
Omar Das Stück Erde? Der Stein? Der Balkon? Die Blumen? Ihr hier?
Stück Erde Wo denn sonst?
Omar Wie ist das möglich?
Blumen Wo du bist, sind auch wir.
Balkon Ich auch.
Stück Erde Ich auch.
Stein Und ich.
Omar Aber wie ist das möglich?
Stück Erde Alle sind fort. Die Beine haben aufgehört, mich zu drücken ... Vor allem deine Beine.
Omar Aber ich habe dich ... doch gar nicht ... gedrückt.
Linkes Bein Du hast gedrückt, du bist gesprungen, du hast gedrückt und gedrückt.
Rechtes Bein Wiederhol dich nicht ständig.
Linkes Bein Warum?
Rechtes Bein Du verlierst deine Glaubwürdigkeit.
Stück Erde Ruhe. Seht euch Omars Beine an, diese beiden tapferen Beine: Sie haben mich an meinem Platz festgehalten. Wie ich sie liebe.
Omar Was?
Stück Erde Solange deine Beine auf mir gegangen sind, hatte ich den Eindruck, ein festes Stück Erde zu sein. Als sie fort waren, hat sich bei mir alles gelockert.
Yemaya Herzlich willkommen, Stück Erde, Balkon, Stein und Blumen.
Gogo Haifisch Die Große Yemaya empfängt jeden, sogar Gäste, bei denen etwas locker ist.
Stück Erde Sich *alles* gelockert hat. Das tut mir nicht gut.
Yemaya Die Erde ist nicht zum Fliegen da.
Stück Erde Ich habe Flügel bekommen, tue mich aber sehr schwer damit.
Linkes und rechtes Bein Das ist nicht unsere Schuld. Wir haben die Erde solange zu Boden gedrückt, bis wir aufgehört haben.
Omar Bitte, seid still.
Linkes und rechtes Bein Du bist doch uns gegangen!
Omar Was?
Linkes und rechtes Bein Du bist doch mit uns gegangen. Mit den Beinen, bis hierher.
Stück Erde Wie ich mich freue, euch zu sehen, Omars Beine, lasst euch umarmen.
(umarmt die Beine, das linke und das rechte)
Balkon Oh, große Yemaya, als Balkon muss ich von oben herab sprechen. Seit

langem schon wollte ich eine Reise machen. Wobei ich ausdrücklich betonen möchte, dass ich dem Stück Erde sehr dankbar bin, dass es Flügel bekommen hat und davongeflogen ist. Ohne das Stück Erde und seine spontane Initiative wäre ich nie auf die Idee gekommen, mich von dem Gebäude loszureißen.

Blumen Das auf wundersame Weise überdauert hat.

Balkon Ich dachte, ich würde endlos über der Stadt hängen, aber von der Stadt sind nichts als Ruinen und Trümmer übrig geblieben. Aber wozu? Dachte ich. Warum sollte ich hier hängen?

Und wir.

Blumen Sollte ich etwa zusehen, wie die Blumen ohne Wasser sterben?

Balkon Was ist das für ein Leben so zu sterben?

Blumen Eben und dann plötzlich ...

Balkon ... lockerte sich alles, und ich bekam Flügel und sagte mir – ich fliege ...

Stück Erde Aber wohin?

Balkon Und wir – aber wohin?

Blumen Omar hinterher! – sagte ich mir!

Stück Erde Wie habt ihr mich gefunden?

Omar Es regnete, und das Wasser weiß alles – es kommt sehr viel herum ...

Balkon Wir haben die Regentropfen gefragt ...

Blumen Wo ist Omar?

Stück Erde Die Tropfen patsche patsche: „Königin Yemaya bewirbt Omar mit Tee.“

Blumen Und hier sind wir.

Stück Erde Nun sag, was sollen wir tun?

Balkon Hier bleiben!

Omar Zurückkehren!

Stück Erde Nicht zurückkehren!

Blumen Bleiben! „Der Unterwasserbalkon und seine Mannschaft.“

Balkon Um hier zu bleiben, müsst ihr Königin Yemaya um Erlaubnis bitten.

Haifisch Gogo Nimm uns bitte auf, Königin: Den Unterwasserbalkon und die Blumen.

Balkon Und den Stein.

Stein Und mich. Wir bitten dich, Königin.

Omar Komm mit mir nach Hause, Omar, zurück in die Stadt.

Stück Erde Ihr könnt nicht in die Stadt zurückkehren.

Yemaya Warum?

Stück Erde Weil dort Krieg herrscht.

Yemaya Oh, große Yemaya, oh, mächtige Yemaya, wenn du den Mund öffnest, fließen Perlen heraus, obwohl du keine Perlmuschel bist, doch diesmal verstehe ich dich nicht. Was ist das, KRIEG?

Gogo Haifisch Ist es ein furchtbarer Dinosaurier? Wie der T-rex? Oder der Raptor?

Hugo Dinosaurier Oder ist es ein oller Teppich, ein großer schwarzer Lappen?

Gogo Haifisch Er beleidigt mich schon wieder.

Manta Rochen Also, was ist das, Krieg?

Gogo Haifisch Krieg ist, wenn du lebst, aber auf dem Pfad der Toten wandelst.

Yemaya Was soll das heißen?

Gogo Haifisch Ihr alle wisst, dass zum Herzen des Ozeans zwei Pfade führen: Den Pfad der Toten gehen alle toten Meereswesen, um dort Frieden zu finden. Den Pfad der Lebenden gehen wir manchmal, um das Herz des Ozeans etwas Wichtiges zu fragen.

Yemaya Oh, große Yemaya, du weißt genau, dass kein Toter den Pfad der Lebenden betreten darf, und kein Lebender den Pfad der Toten. Deine Antwort ist mir ein Rätsel.

Gogo Haifisch Umso besser, Gogo Haifisch.

Yemaya Ich bin der Meinung, Omar sollte zu den Menschen auf die Erde zurückkehren.

Stück Erde (zu Omar) Dein Vater macht sich schließlich Sorgen.

Yemaya Warst du mit deinem Vater im Boot?

Omar Ja. Aber das ist nicht mein Vater.

Stück Erde Er ist nicht dein Vater?

Omar Er nennt sich nur so. Aber er ist nicht mein Vater.

Stück Erde Und wer dann?

Omar Mein Onkel.

Blumen/Stück Erde (verwundert) Dein Onkel?

Omar (verstrickt sich immer mehr in seine Lüge) Er tut nur so, als wäre er mein Vater. Mein Onkel ist nicht gut zu mir. (zum Balkon, zu den Blumen, zu dem Stück Erde) Ihr alle wisst das: Wie oft hat er geschrien, er werde die Blumen vom Balkon werfen. Hat mir verboten, mich mit euch zu unterhalten.

Blumen Das stimmt. Viele Male hatten wir schon mit dem Leben abgeschlossen. Einmal hat er uns samt Wurzeln ausgerissen und vom Balkon geworfen.

Balkon Wie Steine sind sie nach unten geflogen.

Stein Was weißt du schon von Steinen?

Blumen Aber Omar hat gewartet, bis sein Zorn verraucht war, ist dann leise hinuntergeschlichen und hat uns wieder eingepflanzt.

Stück Erde Das war falsch von Omars Vater.

Omar Onkel.

Manta Rochen Gogo Haifisch hat mich gebissen, weil er hungrig war. Vielleicht war Omars Onkel auch hungrig?

Gogo Haifisch Du brauchst mein Verhalten nicht zu rechtfertigen. Ich bin ein Hai. Ich beiße und reiße für mein Leben gern. Ich werde mich nicht ändern. Omar, dir zu erlauben, hier zu bleiben, ist eine verantwortungsvolle Entscheidung. Und was ist, wenn dein Vater ...

Yemaya (fällt ihr ins Wort) Onkel!

Omar ... sich Sorgen macht.

Yemaya Das wird er nicht. Ich kenne ihn.

Omar Aber vielleicht jemand anderes?

Omar Niemand wird sich Sorgen machen, dass ich nicht mehr da bin. Sie werden einfach sagen: Omar ist ertrunken.

[Aus dem Polnischen von Andreas Volk]

► Дуже-дуже давно, хоч і не у зовсім сиву давнину, може, навіть зовсім нещодавно, в принципі, якусь хвилику тому, сталася така історія.

Був собі хлопець. Звали його Омар. «О» в його імені були кругле і містке, як цілий світ. Містке – тобто для всього там було місце. Омар дуже любив уявляти різні речі. Полюбував також розмовляти з речами, з якими ніхто не розмовляє. Він говорив із квітами, камінням, із краном, з якого тече вода. Омарів тато дуже не любив, коли син так розмовляв. Наприклад, із квітами на балконі. Тоді він кричав:

«Припини говорити з квітами»
 «Поводься як нормальна дитина»
 «Ти мене соромиш»
 «Перестань уявляти всіляку дурню»

І Омар перестав.

Тобто він перестав говорити, якщо був не сам, а особливо – коли був із татом.

Окрім тата, в Омара нікого не було.

1.

Найсвіжіші новини:

Ім'я: Омар

Вік: 5 років

Де перебуває: у човні

Де човен: у морі

Де море: в океані

Де океан: на планеті Земля

Де Земля: у Сонячній системі

Де Сонячна система: у Космосі

Де Космос: в Омарі

2.

Занепад Міста

Омар Усе почалося зранку. Я пішов до ванної кімнати – не для того, аби почистити зуби, а щоби налити води у лійку. Я так завжди роблю: наливаю води і йду полити квіти на балконі. Адже їм хочеться пити. Зуби можуть почекати – вони не сумують за пастою так, як сумують за водою квіти. Води в крані не було. На кухні теж. Зникла. Кран тільки прохрипів, що не знає, до вона. Дивно. Я йду на балкон і кажу квітам, що вони мусять почекати. Що я щось придумую. (Квітам) Ви мусите почекати. Я щось придумую.

Я кажу це і раптом – дивлюся і не вірю своїм очам: усі будинки в моєму Місті лягають. Один за одним вони опускаються набік. Деякі з них такі сонні, що перекидаються прямо на землю. У них випадають вікна й двері. Відвалюються супутникові антени. Падають, як зрізані дерева. Що відбувається?

3.

Останнє повідомлення з Міста

Найсвіжіші новини: не можна підводити погляд до неба. Замість птахів та метеликів літають літаки і бомби, літаки і бомби. Зникли птахи й метелики, птахи й метелики. Наполегливо рекомендуємо вам не дивитися на таке страшне небо. Увага: не можна підводити погляд до неба.

4.

Подорож

Омар Я стояв на балконі. Прийшов тато і каже:

Тато Омаре, наш світ розлетівся на шматочки. Розлетілися будинки, розлетілося Місто. Нам треба поплисти, пошукати новий світ і нове місто, яке не розлетиться.

Омар Тому ми зараз у човні. Я, тато і всі люди. Ми пливемо Морем Хвилювань. Воно мені саме сказало, що так називається. Воно дуже обережне. Кожна тривожна думка піднімає на ньому хвилю.

Море Хвилювань Я розбурхане, перестаньте думати про чорне майбутнє. Викиньте з голови трагедії та сльози. Наповніть душі кольоровими думками.

З розуму всі сходять
Думки чорні ходять
Думки темні облітають
Чорний плащ хай не лякає

Раз два три
Плащ вдягаєш ти
Скат у тім плащі пливе
Буря вас не омине

Омар Тату, а цей новий світ не розпадеться так само, як наш, коли ми до нього допливемо?

Тато Ні. Він надійний та багатий.

Омар А коли нас немає в нашому Місті – хто там є?

Тато Сама земля.

Омар А вона не відірветься і не відлетить?

Тато У землі немає крил.

Омар Але на ній ніхто не стоїть. Ніхто не притискає землю до землі.

Тато Землю не треба притискати до землі.

Омар А землі без нас не сумно?

Тато Земля нічого не відчуває.

Омар Звідки ти знаєш?

Тато Не став дурних запитань. У нас є гірші клопоти.

Омар Якого кольору?

Тато Не нервуй мене.

Омар А їх багато?

Тато Чого саме?

Омар Гірших клопотів.

Тато Багато.

Омар А коли ми всі станемо на цій новій землі, їй не буде надто важко?

Тато Ні.

Омар Але ж ми всі зійдемо на берег одночасно – чи зможе земля нести нас на собі?

Тато Тихо.

Омар Вона під нашою вагою не провалиться?

Тато Я сказав «тихо».

Омар (до себе) Вода - майстер змінювати форму. Раз гора це, раз – провалля. Хвилі скачуть. Вище, вище. І донизу. Нижче, нижче.

Море Омаре, так воно тільки на поверхні, а на глибині – панує спокій.

Тато Одягай жилет, швидко.

Омар Тату, на глибині панує спокій.

Тато (одягаючи рятувальний жилет, до себе) Цей жилет на тебе завеликий.

Море Омаре, на глибині моря є летючі килими та замки.

Омар Тату, на глибині моря є летючі килими та замки.

Тато От чорт.

Море І сади.

Омар І сади.

Море Чарівна королева.

Омар Чарівна королева.

Море Там немає чого боятися.

Омар Немає чого боятися.

Тато Омаре!

Їх накриває велика хвиля. Залишився лише жилет.

5.

Ассесу Ємайя

Під водою, на глибині, триває велике свято: Конкурс підводної пісні «Не ховай свій голос під рифом». Глядачі. Коктейлі, риби, що світяться, танці актиній, балет восьминогів, гроти у скелях, риби-молоти, косяки вишколених сардинок, що миготять і дефілюють, цвирінькання дельфінів і рик китів, ріи красивих бульбашок із кольоровим повітрям – будь-якого або майже будь-якого розміру. На золотому троні – блакитна Ємайя, королева морів і мати всіх риб та істот, одноосібне Журі. Черепаха вдаряє по панцирю, у паузах підхоплює Оркестр. Учасники мають виходити з Великої Мушлі, яка наразі ще закрита.

Ємайя Велика Мушле, відкрийся!

Мушля розкривається, випливає Акула Гого.

Ємайя Вітаю вас, Акуло Гого.
Акула Гого (співає) Ассесу Ємайя
Ємайя ассесу
Асесу олодо
Олодо Ємайя

Ця пісня народу йоруба – обов'язковий пункт Конкурсу, кожен виконує її найкраще, як тільки може, а потім – презентує свій номер. Акула Гого співає «Ассесу» дуже гарно. Оплески, метиляння хвостами, помаху зябрами, клацання по мушлях, стукіт по панцирях та інші вияви овації.

Акула Гого (вклоняється)
О велична Ємайє.
О всесильна Ємайє.



WIADOMOŚĆ Z OSTATNIEJ CHWILI: NIE WOLNO PODNOSIĆ OCZU DO NIEBA. ZAMIAST PTAKÓW I MOTYLI LATAJĄ SAMOLOTY I BOMBY, SAMOLOTY I BOMBY. ZNIKĘŁY PTAKI I MOTYLE, PTAKI I MOTYLE. UPRASZA SIĘ O NIEPATRZENIE NA TAKIE STRASZNE NIEBO. UWAGA: NIE WOLNO PODNOSIĆ OCZU DO NIEBA.

EILMELDUNG: ES IST VERBOTEN, ZUM HIMMEL HINAUFZUBLICKEN. STATT VÖGEL UND SCHMETTERLINGE FLIEGEN FLUGZEUGE UND BOMBEN, FLUGZEUGE UND BOMBEN. VERSCHWUNDEN SIND VÖGEL UND SCHMETTERLINGE, VÖGEL UND SCHMETTERLINGE. ES WIRD DRINGEND GEBETEN, UNTER KEINEN UMSTÄNDEN IN DIESEN FURCHTBAREN HIMMEL ZU SCHAUEN. ACHTUNG: ES IST VERBOTEN, ZUM HIMMEL HINAUFZUBLICKEN.

НАЙСВІЖІШІ НОВИНИ: НЕ МОЖНА ПІДВОДИТИ ПОГЛЯД ДО НЕБА. ЗАМІСТЬ ПТАХІВ ТА МЕТЕЛІКІВ ЛІТАЮТЬ ЛІТАКИ І БОМБИ, ЛІТАКИ І БОМБИ. ЗНИКЛИ ПТАХИ Й МЕТЕЛИКИ, ПТАХИ Й МЕТЕЛИКИ. НАПОЛЕГЛИВО РЕКОМЕНДУЄМО ВАМ НЕ ДИВИТИСЯ НА ТАКЕ СТРАШНЕ НЕБО. УВАГА: НЕ МОЖНА ПІДВОДИТИ ПОГЛЯД ДО НЕБА.

Ємайя Я вдячний тобі за все.
А найбільше – за зуби.
Акула Гого, у тебе гарний голос і гарні зуби. Що ти нам заспіваєш?
Акула Гого Власний твір під назвою Я і мої зуби

(Співає) Разом зуби стали всі
Унизу і нагорі
Порахую по рядах
– й на мене наганяють страх

Трісне раз ікло моє –
Одне з тих що в мене є
Або друге й третє хрусне,
Як четверте десь там лусне
Випаде мій п'ятий зуб
Тоді в мене, мої любі,
Виростають нові зуби

Із Великої Мушлі з'являється Малий жвавий хор Зубів, які Ще Виростуть.

Зуби Ми ростемо, ми ростемо
На твій заклик дуже ждемо
Нас немає, нам тут темно
На твій заклик дуже ждемо
Акула Гого

Ємайя Акула Гого, ви з зубами обожноєте музику. Ви отримуєте від мене золоті мушельки гармонії. Хто наступний? Нехай відкриється Велика Мушля.

Мушля розкривається і з неї вигулькує скат Манта (Морський диявол). Манта вклоняється.

Манта О велична Ємайє, о чудова Ємайє, я не можу заспівати.
Я прийшов сюди поскаржитися на Акулу Гого. Вона зачаюється і відсмикує собі шматочки мого плаща ската. Скажи їй, що мій плащ і я – це одне ціле. Скажи їй, що я Манта.
Ємайя (Манті) Гого знає, хто ти. Вона знає, що робить. Вона хоче тебе з'їсти.
Акула Гого Я? Та ніколи в житті...
Ємайя (Манті) Але ти завеликий, тому вона боїться.
Акула Гого О велична Ємайє, не слухай, що говорить цей вилинялий килим.
Ємайя Гого, ти харчуєшся рибами. Дай Манті спокій.
Акула Гого О Ємайє, чи твоє велич існує для того, аби слухати скарги балакучої ганчірки з очами та хвостом?
Ємайя Гого!
Акула Гого Добре. Визнаю, я покусувала Манту. Я останнім часом страшенно голодна. Риби замало. Люди її виловлюють!

6.
Омар, принесений золотими нитками слів
Раптом Велика Мушля відкривається і досередини падає... Омар.

Омар (стаючи на ноги і роззираючись) Я був правий! Королева! Летючий килим! Сади!
Ємайя Звідки ти взялася, людино?
Омар Хвиля забрала мене з човна, і я почув пісню – ця пісня була з золота – її слова були золотими нитками – вони обвилися навколо мене і забрали, і принесли сюди. Асесу ємайя, ці слова несли мене.
Ємайя Як тебе звати?
Омар Омар. І мені п'ять років.
Ємайя Ти, певно, дуже хочеш пити, Омаре. Ми зробимо для тебе смачного чаю. Гого, поклич електричного вугра. Треба увімкнути чайник.

Омар (знову роззирається навколо) Тут вода інша, аніж там, нагорі.
 Ємайя Так. Вода – майстер змінювати форму. Вона є скрізь. Вона була і є така сама. Її колообіг триває мільйони років. У льодовиках, у птахах і рибах, у нашій крові.
 Вугор Чай готовий.
 Ємайя (дивлячись на чай) У цій воді – цілий світ. У ній є молекули, найдрібніші часточки усього – навіть істот, які вимерли.
 Омар На кшталт динозаврів?
 Ємайя Так. У твоєму чаї є їхні молекули.
 Омар У моему чаї є динозавр?

Рідина закручується у воронку. З чаю вискакує Динозавр Хьюго. Починає співати.

Динозавр Хьюго Коли п'єш чай, то не зважай,
 Що п'єш мене
 Динозавра Хьюго

Адже ти знаєш
 Що зі мною чай попиваєш
 З Динозавром Хьюго

Бо мене нема і не було
 Вже дуже давно
 Я Хьюго

7.

Нові гості

Неочікувано для всіх Велика Мушля знову розкривається. З неї випадають Балкон з Квітами та Шматок Землі. А після них – Камінь.

Балкон (Омарові) Омаре! Знайти тебе було нелегко.
 Омар Балкон?
 Балкон Балкон! Я ж не виглядаю як морський коник?
 Квіти Балкон з нами, з Квітами.
 Омар Звідки ви тут узялися?
 Балкон Тобі цікаво? А що? А звідки ми мали б узятися? Бо від землі відколосся Шматок Землі.
 Квіти Саме так. А де він?
 Шматок Землі Я тут. Я не такий, як ви, і не літаю сторчкака. Я обережно приземляюся.
 (помічає Омара) Омаре, нарешті!
 Омар А ти хто?
 Шматок Землі Ну як це хто – це я! Я! Шматок Землі перед твоїм будинком. Той, що одразу за порогом. Разом із Каменем, на який пісяли собаки.
 Камінь Обов'язково про це згадувати?
 Омар Шматок Землі? Камінь? Балкон? Квіти? Тут?
 Шматок Землі А де ж іще?
 Омар Але як?
 Квіти Де ти, там і ми.
 Балкон І я теж.
 Шматок Землі І я.
 Камінь І я.
 Омар Але як?
 Шматок Землі Бо всі кудись пішли. Ноги перестали притискати мене до землі... А найбільше – твої ноги.
 Омар Але я тебе... чесно кажучи... не притискав до землі.
 Ліва нога Притискав, притискав, стрибав, притискав.
 Права нога Не повторюй одне й те саме, як заведена.
 Ліва нога Чому?
 Права нога Ти втрачаєш достовірність.
 Шматок Землі Тихо. Подивіться на Омарові ноги, на ці дві вправні ноги: це вони тримали мене на місці. Я так їх люблю.
 Омар Що?

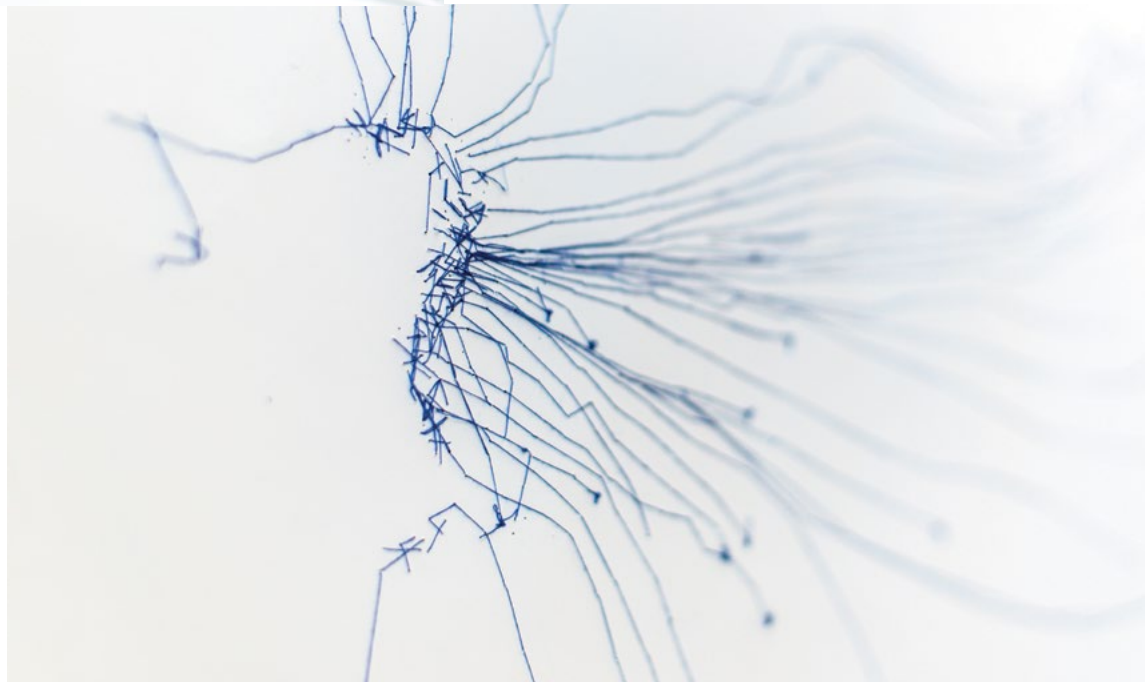
Шматок Землі Поки вони по мені ходили, то здавалося, що я непорушний Шматок Землі. А коли вони пішли собі геть, то все в мені ослабло.
 Ємайя Шматку Землі, Балконе, Каменю, Квіти – ласкаво просимо.
 Акула Гого Велична Ємайя прийме кожного гостя, навіть такого, що розслабився.
 Шматок Землі Ослабився. І мені через це не надто добре.
 Ємайя Земля не створена для польотів.
 Шматок Землі Мене окрило, але мені з цим складно.
 Ноги, Ліва та Права Це не наша провина. Ми його притискали, притискали, аж поки не перестали.
 Омар Будьте тихо, прошу вас.
 Ноги, Ліва та Права Ти нас пішов!
 Омар Що?
 Ноги, Ліва та Права Ти пішов нами, Ногами, аж сюди.
 Шматок Землі Я такий радий вас бачити, Омарові ноги, дайте вас обійму.

(обіймає Ліву та Праву ноги)

Балкон О велична Ємайє, я, як Балкон, зверхньо тобі дещо скажу. Я давно хотів вирушити у подорож. Я особисто підкреслюю, що дуже вдячний Шматкові Землі за те, що його окрило і він полетів. Якби не він та не його несподівана ініціатива, мені би ніколи й на думку не спало відколотися від будинку.
 Квіти Що якимось чудом вижив.
 Балкон Я думав, що висітиму над Містом завжди, але від Міста нічого не зосталося, самі руїни та попелища. Але навіщо? Подумав я. Навіщо, подумав я, я мушу так висіти?
 Квіти І ми.
 Балкон І я мав дивитися, як Квіти помирають без води?
 Квіти Що це за життя – таке помирання?
 Балкон Ну от, і тоді раптом...
 Шматок Землі Я ослабився і мене окрило – я сказав – лечу...
 Балкон ...Але куди?
 Квіти І ми так само – але куди!
 Шматок Землі За Омаром – сказав я!
 Омар Як ви мене знайшли?
 Балкон Пішов дощ, а вода знає все – вона є скрізь.
 Квіти Ми запитали у крапель...
 Шматок Землі Де Омар?
 Квіти А краплі так – шу шу шу: королева Ємайя пригощає Омара чаєм.
 Шматок Землі І ось ми тут.
 Балкон Тепер кажи: що ми маємо робити?
 Омар Залишитися тут!
 Шматок Землі Повертатися!
 Квіти Не повертатися!
 Балкон Залишитися! Як «Підводний Балкон і його команда»!
 Акула Гого Щоби тут лишитися, ви мусите запитати дозволу у королеви Ємайї.
 Балкон Королево, прийми нас: Підводного Балкона і Квіти.
 Камінь І Каменя.
 Омар І мене. Будь ласка, Королево.
 Шматок Землі Омаре, повертайся зі мною додому, до Міста.
 Ємайя Ви не можете повернутися до Міста.
 Шматок Землі Чому?
 Ємайя Бо там війна.
 Акула Гого О велична Ємайє, о всесильна Ємайє, коли ти відкриваєш уста, то з них плинуть перли, хоч я і не перлівниця, але цього разу я не розумію. Що таке ВІЙНА?
 Динозавр Хьюго Це страшний динозавр? Як тиранозавр? Або раптор?
 Акула Гого Або великий виляючий килим-стара ганчірка?
 Манта Вона мене знову ображає.
 Акула Гого То що ж таке війна?
 Ємайя Війна – це коли ти живий, але ідеш Стежкою Померлих.

Іра Єрошко Ira Yeroshko Ira Yeroshko

СЛІДИ ŚLADY SPUREN



”

«Сліди» – проект, в якому я нашиваю сліди людей на картах. Червоні шви вказують, куди депортували українців з початку повномасштабного вторгнення Росії в Україну у 2022 році.

Чорні шви показують, куди тікають російські чоловіки, щоб уникнути часткової мобілізації, оголошеної президентом Росії Володимиром Путіним 21 вересня 2022 року, в результаті якої 300 000 осіб мають потрапити на передову. З липня по вересень країну покинули майже 10 мільйонів росіян. Найпопулярнішими напрямками є Казахстан, Грузія (куди Росія вторглася в 2007 році та анексувала частину її території), Фінляндія, Монголія, Киргизстан, Вірменія та Азербайджан.

Сині лінії символізують російських військових, мобілізованих з 21 вересня 2022 року. Станом на 20 жовтня було мобілізовано 260 тис. росіян.

„Ślady” – projekt, w którym naszywam ślady ludzi na mapach. Czerwone ściegi wskazują miejsca, do których deportowano Ukraińców od momentu rozpoczęcia pełnowymiarowej inwazji Rosji na Ukrainę w 2022 roku.

Czarne szwy wskazują, którędy uciekają rosyjscy mężczyźni, by uniknąć częściowej mobilizacji ogłoszonej przez prezydenta Rosji Władimira Putina 21 września 2022 r., w wyniku której 300 tys. ludzi ma trafić na linię frontu. Od lipca do września prawie 10 mln Rosjan opuściło kraj. Najpopularniejsze kierunki to Kazachstan, Gruzja (którą Rosja najechała w 2007 roku i zaanektowała część jej terytorium), Finlandia, Mongolia, Kirgistan, Armenia i Azerbejdżan.

Niebieskie linie symbolizują rosyjskich żołnierzy zmobilizowanych od 21 września 2022 roku. Na dzień 20 października zmobilizowanych było 260 tysięcy Rosjan.

„Spuren” – ein Projekt, bei dem ich die Spuren von Menschen auf Karten aufnehme. Die roten Stiche kennzeichnen Orte, an die Ukrainer seit dem Beginn der russischen Invasion in der Ukraine im Jahr 2022 deportiert worden sind.

Schwarze Nähte zeigen an, wohin russische Männer fliehen, um der vom russischen Präsidenten Wladimir Putin für den 21. September 2022 angekündigten Teilmobilisierung zu entgehen, die voraussichtlich 300.000 Menschen an die Front schicken wird. Zwischen Juli und September haben fast 10 Millionen Russen das Land verlassen. Die beliebtesten Reiseziele waren Kasachstan, Georgien (in das Russland 2007 einmarschierte und einen Teil seines Territoriums annektierte), Finnland, die Mongolei, Kirgisistan, Armenien und Aserbaidschan.

Die blauen Linien symbolisieren die russischen Soldaten, die seit dem 21. September 2022 mobilisiert sind. Bis zum 20. Oktober wurden 260.000 Russen mobilisiert.

”

МОВЧАННЯ ВІЙНИ MILCZENIE WOJNY DAS SCHWEIGEN DES KRIEGES

Слова війни: фільтраційні табори, «прильоти», повітряні тривоги, тепловізори, бронеплити. Слова війни: вистояти, відбити, визволити, деокупувати. Напівзабуті слова, які раптом стають потрібними, як запас сірників із вижовклыми етикетками, як старий спальник, що нагадує про давню любов і, здається, ще пахне вокзалами 1990-х. Слова, які приходять непрошеними. Слова, на які розпався наш дім, раптом оголившись до скелета і з місця затишку перетворившись на практичне укриття: несучі стіни, перекриття, дверні і віконні отвори. Слова, на які розпалися наші міста: блокпости, бомбосховища, вокзали, шпиталі, мости. Ми вивчаємо карту нашої мови, як карту хмарного неба, намагаючись передбачити, що нас чекає. Переважання одних слів над іншими може свідчити про небезпеку поразки, як ледь помітний відплив води від берега може означати наближення цунамі; а може провіщувати перемогу, як зміни температури і вологості в печері підказують спелеологам про близькість виходу.

Ми останнім часом багато говоримо про слова. Про них легко говорити, бо вони самі пропонують нам себе, кличуть за собою інші слова, володіють відчутною матеріальністю. Ми ворожимо з них: хтось навпомацки, як на кавовій гушці, хтось – за допомогою точних барометрів. Ми вивчаємо слова й інтонації – свої й чужі. Точніше, слова своїх і чужих.

Добре, коли слова є. Навіть ті другі, слова чужих, якими вони намагаються нас знищити, – бо одночасно вони демаскують ними себе, роблять себе так само вразливими для нас. Навіть коли хочеш словом убити, мусиш вихилитися, як автоматник із засідки, і на мить стаєш ціллю.

Найгірше, коли слів не лишається. Мовчання серед війни страшне, як згасання вогника в останньому вікні.

«Говоріть щось, – каже жінка в укритті. – Страшно, коли всі так мовчать». Хтось починає читати вголос новини з телеграм-каналів, новини не найрадніші, але людей усе одно відпускає. Хтось починає пригадувати давні плітки з мирних часів, дехто вже всміхається. Ми будемо цю крихку спільноту мови, і в цю

мить здається, ніби одного дня ми вийдемо звідси всі разом, усі до одного живі, і будемо жити далі так, ніби нічого не трапилося. Ми віримо в це, доки говоримо, жартуємо. Тільки-но замовкаємо, все зникає, як короткочасний сон.

А ще, говорячи, ми ніби відступаємо на крок від себе самих, перетворюємося на вигаданих героїв наших власних історій; ми ніби розказуємо про себе казку комусь, хто буде слухати нас через багато років, одного тихого вечора. Ми розповідаємо казку про такі погані часи, що вони здаються вигадкою, і потроху заспокоюємося. Але в якусь мить усе-таки замовкаємо і повертаємося у невблаганне тут і тепер, у власне тіло, яке жаліє себе.

Хоч ми й дуже хочемо, але не здатні втримати мову. Вона розсипається, як іграшкова загорожа з конструктора леґо, під напором незрозумілого «завтра», під руїнами нашого «вчора». І настає мовчання. Ми боїмося мовчання, як боїться настання ночі той, хто страждає безсонням. Ніколи, здається, не було таких різноманітних форм мовчання, як тепер, у дні війни.

Мовчання телефонів, коли замовкає зв'язок. Мовчання у месенджері, коли довгими годинами і днями не відписує той, хто на фронті.

Мовчання дівчини, яка щойно теревенила з подругами за сусіднім столиком, але в якусь мить дивиться на екран телефона і наглухо замовкає, ніби відколюється від материка розмови. Я не знаю, що вона там побачила. Я знаю, що вона там побачила.

Мовчання окупованих територій – цілих країн мовчання, яким вимкнули мову, як решті країни вимкнули світло: ми не чуємо їх, доки хтось не вирветься звідти, перевізши контрабандою трохи слів. Мовчання того, хто не знає, як почати з тобою розмову, бо ти приїхав звідти, де війна.

Мовчання під фото розстріляних, поспіхом заритих у глину, привалених власними домами, схилених над тілами близьких; під ними немає ніяких підписів,

Мовчання дітей у тимчасовому прихистку для переселенців, які цілими годинами сидять і просто дивляться поперед себе. Можливо, це не діти, бо діти не роблять так.

бо там нема чого писати: все видно, а для того, чого не видно, немає слів.

Я дивлюся на фото убитих цивільних, чоловіка і кількох оголених жінок. Їх знайшли навесні на трасі під Києвом. Тіла лежали на автомобільних шинах, і російські солдати, швидше за все, планували їх спалити. Під цим знімком також немає підпису. Я відчуваю, як це мовчання затягує мене всередину, ніби чорна діра. Я знаю, що якщо не зачеплюся за хоч якийсь коментар, хоч якусь оповідь, то просто провалюся в темряву. Цікаво, що їм перешкодило довести справу до кінця? – починаю думати. – Може, сірники відсіріли

► Słowa wojny to: obozy filtracyjne, eksplozje, alarmy powietrzne, kamery termowizyjne, płyty pancerne. Słowa wojny to: stawiać opór, odpierać, wyzwać, deokupować. Słowa na polu zapomniane, które nagle stają się potrzebne – jak pudełko zapalek z pośliskowymi etykietami, jak stary śpiwór przypominający dawną miłość, pachnący dworcami lat dziewięćdziesiątych. Słowa, które przychodzą nieproszone. Słowa, w których rozpada się nasz dom, jest odarty do szkieletu, z miejsca odpoczynku zamienia się w praktyczny schron. Ściany nośne, stropy, otwory drzwiowe i okienne. Słowa, w których rozpadają się nasze miasta. Błokady drogowe, schrony przeciwlotnicze, dworce, szpitale, mosty. Studiuujemy mapę naszego języka, niczym mapę pochmurnego nieba, próbując przewidzieć, co nas czeka. Dominacja jednych słów nad innymi może oznaczać niebezpieczeństwo klęski – jak ledwo zauważalne cofnięcie wody do oceanu zwiastuje tsunami; może jednak zapowiadać zwycięstwo – jak zmieniająca się temperatura i wilgotność w jaskiniach wskazują speleologom drogę do wyjścia.

Ostatnio często mówimy o słowach. Dość łatwo o nich mówić, ponieważ same cisną się na usta, ciągną za sobą kolejne, próbują okiełznać namacalną rzeczywistość. Wróżymy ze słów. Jedni po omacku jak z fusów po kawie, inni przy pomocy precyzyjnych barometrów. Badamy słowa i intonacje swoje i obce. A dokładniej słowa swoich i obcych.

Dobrze, kiedy słowa są. Nawet te drugie, słowa obcych, którymi oni chcą nas zniszczyć – właśnie wtedy demaskują siebie samych, stają się bezbronni wobec nas. Przecież gdy chcesz zabić słowem, musisz wyjść jak snajper z ukrycia i na chwilę stać się celem.

Najgorzej, kiedy brakuje słów. Cisza w czasie wojny jest równie straszna jak płomień gasnący w ostatnim oknie.

„Powiedzcie coś – mówi kobieta w schronie. Strasznie się robi, kiedy tak wszyscy milczą”. Ktoś zaczyna na głos

albo zakończył się gaz u zapalniczki? Чи не встигли злити бензин з бака? Я кручуся, як параноїк, довкола цих запитань. Я змушую себе подумки промовляти якісь слова, щоб не застрягнути у мовчанні. Я не дозволяю собі остаточно замовкнути, як той, хто замерзає, не дає собі заснути.

Поки нам тяжко знайти слова, говорять вони, ті, хто нас убиває. Або ті, хто нам співчуває, але не забуває додати, що «у війні немає невинних». Або ті, хто має для нас кілька корисних порад. Усі вони в чомусь подібні, і їхні слова, почуті нами звідси, з підземелля, зливаються нам у суцільний однорідний шум. Вибачте, тут просто така акустика.

В укритті нарешті прочитані всі новини, обговорені всі плітки, і після кількох утомлених останніх реплік западає мовчання. Я знаю: тепер точно ніхто не засне.

czytać wiadomości z Telegrama, nie są one najlepsze, ale i tak ludziom robi się lżej. Ktoś wspomina plotki z czasów pokoju, to wystarczy by się uśmiechnąć. Budujemy kruchą wspólnotę mowy przekonani, że pewnego dnia wszyscy wyjdziemy stąd razem, żywi, i będziemy wieść nasze życia tak, jakby to się nie wydarzyło. Wierzymy w to, dopóki mówimy, dopóki żartujemy. Kiedy tylko milkniemy, wszystko znika jak krótki sen.

Ponadto, kiedy mówimy, wydaje się, że oddaliśmy się od siebie, zamieniając się w bohaterów naszych historii; jakbyśmy opowiadali bajkę komuś, kto po wielu latach wysłucha nas pewnego spokojnego wieczoru. Snujemy opowieść o czasach tak złych, że wydają się wymyślone i powoli się uspokajamy. Ale w końcu milkniemy i wracamy do nieubłaganego tu i teraz, do własnego ciała, które użala się nad sobą.

Chociaż bardzo chcielibyśmy, nie możemy trzymać języka za zębami. Mowa rozpada się niczym zabawkowa ściana z klocków Lego, pod ciężarem niezrozumiałego „jutra”, pod gruzami naszego „wczoraj”. Milkniemy. Boimy się milczenia, tak jak ktoś, kto cierpi na bezsenność, boi się nadchodzącej nocy. Wydaje się, że nigdy nie istniało tak wiele różnych form milczenia jak teraz, w czasach wojny.

Milczenie telefonów, kiedy tracisz zasięg. Milczenie na Messengerze, kiedy osoba z frontu nie odpowiada przez długie godziny i dni.

Milczenie dziewczyny, która trajkotała z koleżankami przy sąsiednim stoliku – w pewnym momencie spojrzała na ekran telefonu i na dłuższą chwilę zamilkła, oddalając się od sedna rozmowy. Nie wiem, co tam zobaczyła. Wiem, co tam zobaczyła.

Milczenie oкупованих територій – całe krainy milczenia, które pozbawiono mowy, tak jak resztę kraju pozbawiono światła. Nie usłyszymy ich, aż ktoś się stamtąd nie wyrwie, nie przemyci kontrabandą jakichś słów.

Milczenie tych, którzy nie wiedzą jak z tobą rozmawiać, bo przyjechałeś z kraju, gdzie toczy się wojna.

Milczenie dzieci w tymczasowym punkcie dla przesiedleńców, które całymi dniami siedzą i patrzą przed siebie. Może to nie są dzieci? Przecież dzieci się tak nie zachowują.

Milczenie pod fotografiami rozstrzelanych, pośpiesznie zakopanych w glinie, przywalonych swoimi domami, pochylonych nad ciałami bliskich. Pod nimi nie ma podpisów – nie ma czego podpisywać, wszystko widać, a na to, czego nie widać, brakuje słów.

Patrzę na fotografię zabitych cywilów i kilku nagich kobiet. Znalezione ich wiosną na drodze pod Kijowem. Ciała leżące na oponach samochodów – Rosjanie prawdopodobnie chcieli je szybko spalić. Pod tą fotografią też nie ma podpisu. Czuję, jak milczenie zasysa mnie do środka, niczym czarna dziura. Wiem, że jeśli nie chwycę się choć jednego komentarza, jednej historii, runę w ciemność. „Ciekawe, co im przeszkodziło doprowadzić

sprawę do końca – zaczynam się zastanawiać. – Może zapalki zawilgotniały? Skończył się gaz w zapalniczce? Nie mieli czasu spuścić paliwa ze zbiornika?” Kręcę się wokół tych pytań jak paranoik. Zmuszam się do powiedzenia w myślach kilku słów, żeby tylko nie utknąć w ciszy. Nie pozwalam sobie na całkowitą ciszę. Jeśli ktoś wie, że zamarza, robi wszystko, by nie zasnąć.

Kiedy ciężko jest nam znaleźć słowa, mówią oni, czyli ci, którzy nas zabijają. Albo ci, którzy nam współczują, ale dodają, że „na wojnie nie ma niewinnych”. Albo ci, którzy mają dla nas kilka „użytecznych porad”. Wszyscy oni są w jakimś sensie podobni, a ich słowa, które słyszymy tu, w podziemiach, zamieniają się w nieprzerwany jedno-stajny szum. Przepraszam, taką mamy tutaj akustykę, po prostu. W schronie w końcu przeczytano wszystkie wiadomości, omówiono wszystkie plotki. Po kilku ostatnich męczących odpowiedziach nastaje milczenie. Wiem, że teraz nikt nie zaśnie.

[Z języka ukraińskiego przełożyła Urszula Pieczek]

Worte des Krieges: Filtrationslager, „Einschläge”, Luftalarm, Wärmebildgerät, Plattenwesten. Worte des Krieges: standhalten, zurückschlagen, befreien, de-okkupieren. Halbvergessene Worte, die plötzlich notwendig werden wie ein Streichholzvorrat mit vergilbten Etiketten, wie der alte Schlafsack, der an eine alte Liebe erinnert und, wie es scheint, noch nach den Bahnhöfen der 1990er Jahre riecht. Worte, die ungebeten kommen. Worte, in die unser Haus zerfallen ist, plötzlich nackt geworden, bis auf das Skelett, und sich von einem gemütlichen Ort in einen praktischen Schutzraum verwandelt hat: tragende Wände, Decken, Tür- und Fensteröffnungen. Worte, in die unsere Städte zerfallen sind: Kontrollposten, Luftschutzkeller, Bahnhöfe, Lazarette, Brücken. Wir studieren die Karte unserer Sprache wie die Wolken auf der Wetterkarte und versuchen vorherzusehen, was uns erwartet. Wenn die einen Worte überwiegen, kann das die Gefahr einer Niederlage bezeugen, wie das kaum merkliche Abfließen des Wassers vom Ufer einen herannahenden Tsunami bedeuten kann; und es kann einen Sieg ankündigen, wie eine Temperaturänderung in der Höhle den Speläologen die Nähe des Ausganges anzeigt.

Wir reden in letzter Zeit viel über Worte. Es ist leicht über sie zu sprechen, sie bieten sich uns an, sie ziehen andere Worte nach sich, sie besitzen eine spürbare Materialität. Wir lesen in ihnen, manchmal blindlings wie im Kaffeesatz, manchmal mithilfe genauer Barometer. Wir studieren Worte und Intonation – vertraute und fremde. Genauer gesagt, die Worte unserer Leute und die der Fremden.

Es ist gut, wenn es Worte gibt. Auch die Worte der Fremden, mit denen sie versuchen uns zu vernichten – denn damit verraten sie sich zugleich, werden für uns angreifbar. Auch wenn du mit Worten töten willst, musst du dich herauslehnen wie ein Schütze aus dem Hinterhalt, und plötzlich wirst du zum Ziel.

Das Schlimmste ist, wenn keine Worte mehr verbleiben. Das Schweigen im Krieg ist schrecklich, so wie das Erlöschen des Lichts im letzten Fenster.

„So sagen Sie doch was“, sagt eine Frau im Schutzraum. „Es ist schrecklich, wenn alle so schweigen.“ Jemand fängt an, Nachrichten aus einem Telegram-Kanal laut vorzulesen, die Nachrichten sind nicht gerade erfreulich, aber so oder so lässt es die Leute nicht los. Jemand beginnt, alten Tratsch aus Friedenszeiten hervorzuholen, der ein oder andere lächelt schon. Wir bauen uns diese zerbrechliche Sprachgemeinschaft auf und in dem Moment scheint es, als ob wir eines Tages alle zusammen wieder hier herausgehen werden, alle lebendig, jeder einzelne, und so weiterleben, als wäre nichts geschehen. Wir glauben daran, solange wir sprechen und lachen. Sobald wir verstummen, verschwindet alles wie ein kurzzeitiger Traum.

Wenn wir sprechen, treten wir außerdem einen Schritt von uns selbst zurück, wir verwandeln uns in erdachte Protagonisten unserer eigenen Geschichten; es ist, als ob wir jemandem eine Geschichte über uns erzählen, der uns an einem ruhigen Abend in vielen Jahren zuhören wird. Wir erzählen Märchen über diese schlechten Zeiten, sodass sie wirken wie erfunden, und kommen ein wenig zur Ruhe. Doch irgendwann verstummen wir dennoch und kehren zurück in das unerbittliche Hier und Jetzt, in unseren eigenen Körper, der sich beklagt.

Auch wenn wir es sehr wollen, sind wir unfähig die Sprache festzuhalten. Sie zerbricht wie ein Spielzeugzaun aus dem Legobaukasten unter dem Druck eines unbegreiflichen „Morgen“, unter den Ruinen unseres „Gestern“. Und das Schweigen tritt ein. Wir fürchten das Schweigen, wie jemand, der unter

Schlaflosigkeit leidet, den Anbruch der Nacht fürchtet. Noch nie, so scheint es, hat es so vielfältige Formen des Schweigens gegeben wie jetzt, in den Tagen des Krieges. Das Schweigen des Telefons, wenn die Verbindung erstickt. Das Schweigen im Messenger, wenn der, der an der Front ist, lange Stunden und Tage nicht zurückschreibt.

Das Schweigen des Mädchens, das gerade noch mit Freundinnen am Nebentisch herumgeblödel hat, aber dann unvermittelt auf das Handydisplay schaut und abrupt verstummt, so als ob ihr der Gesprächsgegenstand fremd geworden wäre. Ich weiß nicht, was sie da gesehen hat. Ich weiß, was sie da gesehen hat.

Das Schweigen der besetzten Gebiete – Schweigen ganzer Länder, denen man die Sprache abgeschaltet hat wie dem Rest des Landes das Licht: Wir hören sie nicht, solange sich keiner von dort befreit und ein paar Worte herauszuschmuggelt.

Das Schweigen desjenigen, der nicht weiß, wie er mit dir ein Gespräch anfangen soll, weil du von da kommst, wo Krieg ist.

Das Schweigen der Kinder in der Übergangsunterkunft für Geflüchtete, die ganze Stunden einfach sitzen und vor sich hinstarren. Vielleicht sind das keine Kinder, denn Kinder machen so etwas nicht.

Das Schweigen unter den Fotos von Erschossenen, von hastig im Lehm Vergrabenen, von unter ihren Häusern Verschütteten, von Menschen, die sich über die Körper ihrer Liebsten beugen; dazu gibt es keine Bildunterschriften, denn es gibt nichts zu schreiben: Alles ist zu sehen und für das, was man nicht sieht, gibt es keine Worte.

Ich betrachte ein Foto von getöteten Zivilisten, einem Mann und einigen nackten Frauen. Sie wurden im

ОСТАП СЛИВИНСЬКИЙ – український поет, перекладач, есеїст, літературознавець і літературний критик. Автор п'яти поетичних книжок, вірші та есеї перекладені понад 20-ма мовами. Був відзначений, зокрема, Літературною премією імені Б. І. Антонича, премією Губерта Бурди, спеціальною відзнакою Премії Львова – міста літератури ЮНЕСКО (за переклад роману Ольги Токарчук *Книги Якова*). Перекладає з польської, англійської, болгарської, македонської та білоруської мов. Віце-президент Українського ПЕН. У 2010-2014 роках був членом редколегії журналу „Радар”.

OSTAP SŁYWYNSKI – ukraiński poeta, tłumacz, eseista, literaturoznawca oraz krytyk literacki. Autor pięciu tomików poetyckich, wiersze i eseje były tłumaczone na ponad 20 języków. Po polsku ukazały się jego tomiki *Ruchomy ogień* (2009) oraz *Syrunga* (2022), oba – w tłumaczeniu Bohdana Zadury. Uhonorowany m.in. Nagrodą poetycką im. Bohdana Ihora Antonyczy, Nagrodą Huberta Burdy, specjalną odznaką Lwowa

Frühling auf einer Fahrbahn bei Kiew gefunden. Die Körper lagen auf Autoreifen und höchstwahrscheinlich hatten russische Soldaten vor, sie anzuzünden. Zu dieser Aufnahme gibt es auch keine Bildunterschrift. Ich spüre, wie dieses Schweigen mich in sich hineinzieht, wie ein schwarzes Loch. Ich weiß, wenn ich mich nicht wenigstens an irgendeinem Kommentar festhalte, an irgendeiner Erzählung, dann stürze ich in die Dunkelheit. „Was hat sie wohl daran gehindert, die Sache zu Ende zu bringen?“ Beginne ich zu denken. „Vielleicht waren die Streichhölzer feucht geworden oder das Feuerzeug alle? Haben sie nicht mehr geschafft, das Benzin aus dem Tank zu vergießen?“ Ich kreise um diese Fragen wie ein Wahnsinniger. In Gedanken zwingen mich dazu, einige Worte auszusprechen, um nicht im Schweigen zu verharren. Ich lasse nicht zu, dass ich endgültig verstumme, wie jemand, der, vor Kälte erstarrt, gegen das Einschlafen kämpft.

Im Moment fällt es uns schwer, Worte zu finden, sagen sie, diejenigen, die uns töten. Oder diejenigen, die mit uns fühlen, vergessen jedoch nicht hinzuzufügen, dass es „im Krieg keine Unschuldigen gibt“. Oder diejenigen, die etliche nützliche Ratschläge für uns haben. Sie alle ähneln sich irgendwo, und ihre Worte, die wir von hier aus hören, unter der Erde, fließen zusammen zu einem einzigen vollkommenen Rauschen. Verzeihung, hier ist einfach so eine Akustik.

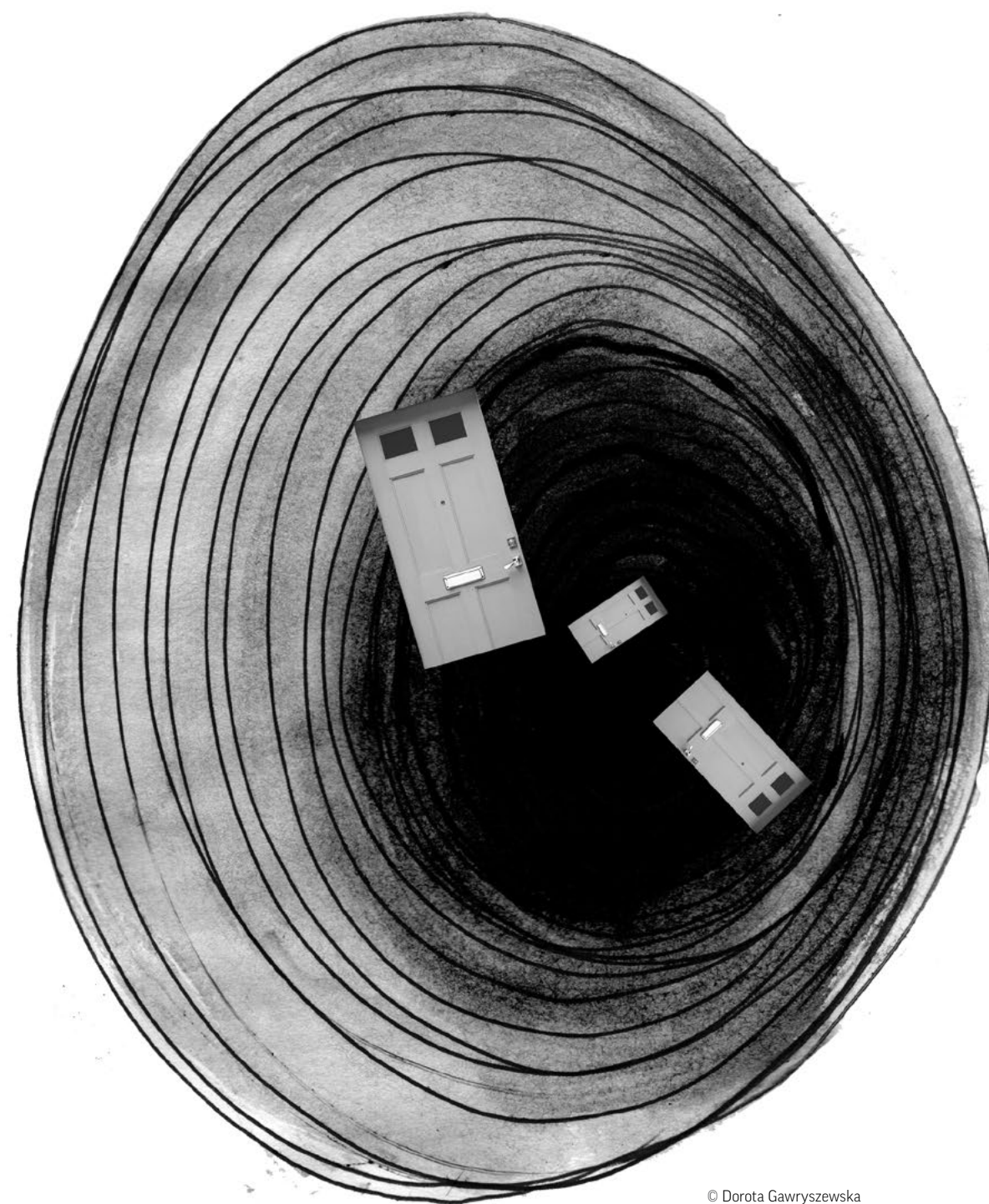
Im Schutzraum sind schließlich alle Nachrichten vorgelesen, aller Tratsch besprochen und nach einigen letzten müden Erwidern bricht das Schweigen über uns herein. Ich weiß genau: Jetzt schläft garantiert niemand ein.

[Aus dem Ukrainischen von Annegret Becker]

– Miasta Literatury UNESCO (za tłumaczenie powieści Olgi Tokarczuk *Księgi Jakubowe*). Tłumaczy z polskiego, angielskiego, bułgarskiego, macedońskiego, białoruskiego. Wiceprezydent Ukraińskiego PEN Clubu. W latach 2010-2014 był członkiem zespołu redakcyjnego magazynu „Radar”.

OSTAP SLYVYNSKY – ein ukrainischer Dichter, Übersetzer, Essayist, Literaturwissenschaftler und Literaturkritiker. Er ist Autor von fünf literarischen Büchern, seine Gedichte und Essays wurden in über 20 Sprachen übersetzt. Er wurde insbesondere mit dem B. I. Antonytsch-Literaturpreis, dem Hubert-Burda-Preis und der Sonderauszeichnung UNESCO-Literaturpreis der Stadt Lwiw (für die Übersetzung von Olga Tokarczucs Roman *Die Jakobsbücher*) ausgezeichnet. Er übersetzt aus dem Polnischen, Englischen, Bulgarischen, Mazedonischen und Belarussischen. Er ist Vize-Präsident des PEN Ukraine. Von 2010 bis 2014 war er Redaktionsmitglied der Zeitschrift „Radar”.

**CZUJĘ, JAK
MILCZENIE
ZASYSA MNIE
DO ŚRODKA,
NICZYM
CZARNA
DZIURA.**



JACEK DEHNEL – polski poeta, prozaik, tłumacz.

JACEK DEHNEL – ein polnischer Dichter, Schriftsteller, Übersetzer.

ЯЦЕК ДЕНЕЛЬ – польський поет, письменник, перекладач.

Dwa razy to samo

I. Czystki

Wszystko jest brudne.

Iryna Hawryliuk z Buczy
nad ciałem męża, Serhija

Najgorszy jest nieporządek:
kredka wychodząca poza linię,
niechlujnie, psiakrew,
wszystko przemieszane, reguły
rzucone w kąt,
pokazany język.

Po każdej stronie ma być właściwy język,
jak każe odwieczny porządek.
Z geometryczną dokładnością: kąt
prosty, wyraźne linie.
Granice mają swoje reguły,
swoje reguły ma krew

(najwyżej się upuści trochę krwi,
najwyżej przytnie się komuś język,
niemy szybciej zakuje reguły).
Trzeba z tym zrobić porządek:
jeśli trudno przesunąć linię,
wykreśli je ostrzem kat.

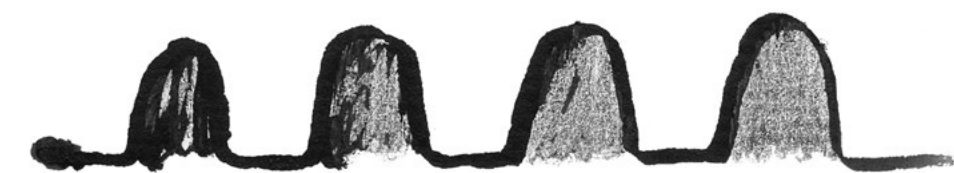
Jakiś dom, jakiś schron, jakiś kąt,
jakaś zatamowana szmatką krew,
gdzieś przebiegająca linia
frontu, czyjś nieznaną język,
głos „wszystko będzie w porządku”,
nowe przepisy i reguły.

Ale poszły się jebać reguły,
zagnojony każdy kąt,
jeden wielki nieporządek:
cegły nie w ścianach, krew
nie w żyłach, nie w ustach język,
palce w piasku, oczy w glinie.

Tyle rzeczy wyszło poza linię,
przemieszanych bez żadnej reguły,
że nie wypowie ich język,
który stanął kołkiem w kącie;
na arenie przysypują piaskiem krew,
kopczyki pod rządędek.

Linia, porządek,
reguły, język,
kąt, krew.

Berlin, 7 IV–13 VII 2022



II. Bajka rosyjska

Był, żył w pałacu lodowym Kościej-Madej i całymi dniami tylko porządkował. Sople od największego do najmniejszego, śnieżynki wedle wzorów, mrożonych lokajów wedle liczby guzików przy liberiach. Najbardziej lubił Kościej-Madej, kiedy wszystko się zgadzało. Żeby kucharz był brzuchaty, podczaszy czerwono nosy, mnich brodaty, a mamka cycata.

I taki też porządek zaprowadził w całym królestwie. Podzielił je na kawałki i nic, tylko przestawiał: tu wszystkie domy miały mieć dachy pomarańczowe, a tam szare, tu rosnąć tylko świerki, a tam tylko brzozy, tu mieli mówić takim językiem, a ówdzie – innym; a wystarczyło, żeby jedna rzecz się nie zgadzała, a Kościej-Madej wpadał w złość okrutną, domy burzył, drzewa wycinał, języki wyrывał.

Im bardziej jednak Kościej-Madej porządkował, tym większy był nieporządek. Chciał, żeby granica rozdzielała dokładnie narody, języki, płcie i religie, a nie podejrzewał nawet, ile cegieł jest w zburzonej ścianie, ile drzazg w rozłupanym pniu, ile krwi w rozdarłej żyłce. Palce znajdowano w piasku, garnki na dnie rzek, ogień chodził którądy chciał. Co było nad ziemią, trafiało pod ziemię, co było pod ziemią, wyorane, szczyrzyło się do słońca.

Nocami chodził po sali tronowej, klnąc, ilekroć poślizgnął się na lodowej tafli, i mówił: *Porządek, porządek, porządek*. A echo odpowiadało mu przypadkowymi sylabami, jakby się zepsuło.

Berlin, 7 IV–13 VII 2022
Z tomu *Bruma* (Wydawnictwo a5, Kraków 2022)

Zwei Mal das Gleiche

I. Säuberungen

Alles ist schmutzig.

Iryna Hawryliuk aus Butscha

über dem Leichnam ihres Mannes Serhij

Das Schlimmste ist die Unordnung:
der Stift, der über die Linie hinausgeht,
schlampig, verdammt,
alles durcheinander, die Regeln
in die Ecke geworfen,
herausgestreckte Zunge.

Auf jeder Seite soll die passende Zunge sein,
wie es die ewige Ordnung befiehlt.
Mit geometrischer Exaktheit: rechteckige
Ecken, gerade Linien.
Grenzen haben ihre Regeln,
ebenso wie das Blut

(allenfalls vergießt man ein bisschen Blut,
allenfalls stutzt man wem die Zunge,
ein Stummer lernt schneller die Regeln).
Man muss Ordnung machen damit:
Wenn die Linie schwer zu verschieben ist,
zieht der Henker sie mit der Klinge.

Ein Haus, ein Bunker, eine Ecke,
mit einem Lappen gestopptes Blut,
die irgendwo verlaufende Linie
der Front, jemandes unbekannte Zunge,
die Stimme „Alles kommt wieder in Ordnung“,
neue Vorschriften und Regeln.

Aber die Regeln gingen sich ficken,
vollgeschissen sind alle Winkel,
eine einzige große Unordnung:
die Ziegel nicht in den Mauern, das Blut
nicht in den Adern, die Zunge nicht im Mund,
die Finger im Sand, die Augen im Lehm.

So viele Dinge überschritten die Linien,
vermischt ohne jede Regel,
unaussprechlich für die Zunge,
die starr in der Ecke stand;
in der Arena schütten sie Sand auf das Blut,
ein Häufchen nach dem anderen.

Die Linie, die Ordnung,
die Regeln, die Zunge,
die Ecke, das Blut.

Berlin, 7. April –13. Juli 2022

II. Russisches Märchen

Es lebte einmal in einem Eispalast Kościej-Madej, der ganze Tage lang nichts anderes tat als zu ordnen. Eiszapfen nach der Größe, Schneeflocken nach dem Muster, tiefgekühlte Lakaien nach der Zahl der Knöpfe an ihrer Livree. Am liebsten hatte es Kościej-Madej, wenn alles passte.

Wenn der Koch einen Bauch hatte, der Mundschenk eine rote Nase, der Mönch einen Bart und die Amme pralle Brüste.

Und solch eine Ordnung führte er auch im ganzen Königreich ein. Er teilte es in Stücke und rückte unaufhörlich alles hin und her: Hier sollten die Häuser nur orangerote Dächer haben, da nur graue; hier sollten nur Fichten wachsen, da nur Birken; hier sollten die Menschen nur in dieser Zunge sprechen, da nur in jener. Und wenn auch nur die geringste Sache nicht passte, verfiel Kościej-Madej in grausame Wut, ließ er Häuser sprengen, Bäume fallen, Zungen herausreißen.

Je mehr Kościej-Madej aber ordnete, desto größer wurde die Unordnung. Er wollte, dass die Grenze Nationen, Zungen, Geschlechter und Religionen exakt teilte, und er ahnte nicht einmal, wie viele Ziegel in einer gesprengten Mauer sind, wie viele Splitter in einem umgeschlagenen Baum, wie viel Blut in einer zerrissenen Ader. Man fand Finger im Sand, Töpfe am Grund von Flüssen, das Feuer breitete sich aus, wohin es wollte. Was über der Erde war, landete unter der Erde, was unter der Erde war, glänzte ausgepflügt in der Sonne.

In den Nächten ging er im Thronsaal umher, fluchend, so oft er auf einer Eisplatte ausglitt, und sagte: Ordnung, Ordnung, Ordnung. Und das Echo antwortete ihm mit zufälligen Silben, als sei es kaputt.

Berlin, 7. April – 13. September 2022

Двічі одне і те ж

I. Чистки

Усе брудне.

Ірина Гаврилук з Бучі

над тілом чоловіка Сергія

Найгіршим є безлад:
штрих, що виходить за лінію,
неохайно, до дідька,
все перемішане, правила
пішли лісом,
висолоплений язик.

З кожного боку має бути доречна мова,
так каже одвічний лад.
Із геометричною точністю: прямий
кут, чіткі лінії.
Кордони мають свої правила,
свої правила має кров

(у крайньому разі: пустити трохи крові,
підрізати комусь язик,
німий швидше засвоїть правила).
Треба тут навести лад:
якщо важко пересунути лінії,
їх лезом накреслить кат.

Якийсь дім, укриття, куток,
якось спинена ганчіркою кров,
лінія фронту, що десь проходить,
чиясь незнайома мова,
голос: «усе буде гаразд»,
нові закони і правила.

Але правила пішли нахер,
кожен кут загноївся,
один суцільний безлад:
цегла не в стінах, кров
не у жилах, не в роті язик,
пальці в піску, очі у глині.

Стільки речей вийшли за лінії,
перемішалися без будь-яких правил,
що не вимовить їх язик,
закам'янілий в кутку;
на арені притрушують піском кров,
горбики – у рядок.

Лінія, лад,
правила, мова,
кут, кров.

Берлін, 7.IV-13.VII.2022

II. Російська казка

Жив-був собі в крижаному палаці Кощій Безсмертний і цілими днями лише наводив лад. Бурульки – від найбільшої до найменшої, сніжинки – за візерунками, заморожені лакеї – за кількістю гудзиків на лівреях. Найбільше любив Кощій Безсмертний, коли все було таким, як належить. Кухар – товстий, чашник – червононосий, чернець – бородатий, а годувальниця – цицьката.

Такі порядки він завів у цілому королівстві. Поділив його на частини і весь час лише переставляв: тут усі будинки мають мати помаранчеві дахи, а отам – сірі, тут мають рости ялини, а там – берези, тут мають говорити однією мовою, а там – іншою; і досить було, щоб якась річ виявилася не на своєму місці, як Кощій впадав у дикий шал, будинки руйнував, дерева рубав, язики виривав.

Але що більше Кощій все впорядковував, то більший був безлад. Хотів, щоб кордони чітко розділяли народи, мови, статі й релігії, але навіть не підозрював, скільки цеглин є в зруйнованій стіні, скільки трісок у зламаному стовбурі, скільки крові у розірваній вені. Пальці лежали в піску, каstrулі – на дні рік, вогонь ходив, куди хотів. Що було над землею, потрапляло під землю, що було під землею, виоране з глибин, шкірилося до сонця.

Вночі ходив він тронним залом, лаючись щоразу, коли послизався на крижаній підлозі, і приказував: «Порядок, порядок, порядок». А луна відповідала йому випадковими складами, ніби зламалася.

Берлін, 7.IV-13.VII.2022

Tenebrae Responsoria

Chodzić zacząłem po tym, jak zbombardowali teatr z dziećmi.

Zawsze nocą, zawsze sam w pokoju. Chodzenie jest wstydliwe. Bo właściwie po co, w imię czego, kto mi dał upoważnienie?

Najpierw zakradałem się, jak to turysta, obejrzeć główne widoki. Na Googlemapsach wszystko jeszcze stoi, przed Dramteatrem bije tylko woda w fontannach. Obok dziewczyna na schodkach, przy niej jamnik; ktoś goni dziecko, żeby nie wlało w mokre; każde drzewo można obejrzeć do ostatnich listków.

Przy końcu mola stoi młoda para, na balustradzie zawiesili sobie siatkę, patrzą w morze, na zachód słońca; jak się obrócić – dwaj faceci, kobieta w nasuniętej głęboko czapce i ośmiolatek czy dziewięciolatka w czarnej kurtce z kapturem, na zawsze bez twarzy.

Pod stadionem Illicziwiec bezmiar kostki bauma i dziewczyna w niebieskiej kurtce idzie z synkiem, oboje poprzedzani długimi, popołudniowymi cieniami. Z przeciwnej strony druga, ale w różowej bluzce z krótkimi rękawami, jest późne lato; obok córeczka w bluzce w tym samym kolorze, prowadzi rower, też w tym samym, nierealnie żywym na szarym asfalcie.

Potem zacząłem chodzić dalej. W okolicy mniej oczywiste. *Informacje o tym miejscu mogą być nieaktualne. Zawsze zwracaj uwagę na rzeczywisty stan, który może się szybko zmieniać.*

W Premium Apartments czarny kominek. W hotelu Czajka można okręcić się w łazience. Wszystko naszykowane: białe ręczniki i płaszcz kąpielowy, para kapci nierozpakowana z celofanu. W bibliotece politechniki nierozkradzione komputery świecą siwym blaskiem.

Tu ogrodzenie z pękniętym słupkiem, zasypane jesiennymi liśćmi. Tam brzydki niezbombardowany biurowiec z nierozprutym bankomatem, bliżej wychodzące z ziemi wiosenne, soczyste zielone źdźbła. Tu nikogo, tylko trochę samochodów, zupełnie niespalonych. Na skrzyżowaniu dwóch uliczek stoją dwie, gadają, jedna z psem, czarnym. Jakiś dziedziniec, szary mural z facetem zgarbionym pod stołem. Mostek, chłopak niesie pod pachą niebieski baniak z wodą. W dole brudnolazurowe pociągi.

Z czasem zostałem długodystansowcem.

Przenoszę się do mojego miasta, idę słoneczną stroną do bramy, przez którą wchodzi się na moją ulicę, jakby nie było już ani bramy, ani całej ulicy. Jakby tu też wszystkich zastrzelono, wypędzono stąd, wywieziono. Nie ma tej staruszki w białym swetrze, opartej jedną ręką o słupek, drugą o laskę, z tej kamienicy zostały tylko trzy piętra, na ostatnim widać wybebeszone łóżko. Tu nasza dawna kawiarnia, a z tych, którzy siedzą od frontu przy stolikach, może ktoś przeżył, a może nie, nawet jeśli stendzik głosi, że zupa, mini quiche i croissant już zawsze będą w zestawie za 25 zł.

Na Googlemapsach moje miasto jeszcze stoi, ale idę przez nie, jakby go już nie było, jakby nikt nie wiedział, czy kiedyś jeszcze będzie.

Trzeba się ćwiczyć, żeby nie wyjść z wprawy, więc teraz wytrząsam miasto z oka jak chłopak w zielonej koszulce, stojący na jednej nodze i wytrząsający z białego trampka kawałek kamienia, o którym jeszcze nie wie, że jest kawałkiem gruzu.

Berlin, 23 VI 2022

Z tomu *Bruma* (Wydawnictwo a5, Kraków 2022)

**CHODZIĆ ZACZAŁEM PO TYM, JAK
ZBOMBARDOWALI TEATR Z DZIEĆMI.**

CHODZENIE JEST WSTYDLIWE.



Tenebrae Responsoria

Angefangen herumzulaufen habe ich, als sie das Theater mit den Kindern bombardierten. Immer nachts, immer allein im Zimmer. Dieses Herumlaufen ist peinlich. Denn warum eigentlich, in wessen Namen, wer gab mir die Vollmacht dazu?

Zuerst habe ich mich hineingestohlen, wie ein Tourist eben, um die Hauptansichten zu betrachten. Auf Google Maps steht noch alles, vor dem Dramteatr sprudelt nur Wasser in den Springbrunnen. Daneben ein Mädchen auf der Treppe, bei ihr ein Dackel; jemand fängt ein Kind ein, damit es nicht ins Nasse tappt; jeden Baum kann man bis auf die letzten Blätter anschauen.

Am Ende der Mole steht ein junges Paar, sie haben ein Netz an die Balustrade gehängt, sie betrachten das Meer, den Sonnenuntergang; wenn man sich umdreht – zwei Männer, eine Frau mit tief heruntergezogener Mütze und ein Achtjähriger oder eine Neunjährige in einer schwarzen Jacke mit Kapuze, für immer ohne Gesicht.

Vor dem Illitschiwez-Stadion endloses Verbundsteinpflaster und eine junge Frau mit ihrem Sohn, den beiden gehen lange Nachmittagsschatten voran. Ihnen entgegen kommt eine andere Frau, aber in rosa Kurzarmbluse, es ist Spätsommer; an ihrer Seite schiebt die Tochter, ebenfalls in rosa Bluse, ihr Fahrrad, auch dieses in derselben, auf dem grauen Asphalt unwirklich lebendigen Farbe.

Nach und nach habe ich meinen Radius erweitert. In weniger offensichtliche Gegenden. „Die Informationen zu diesem Ort sind möglicherweise veraltet. Achte immer auf die Bedingungen vor Ort, die sich schnell ändern können.“

Im Premium Apartments ein schwarzer Kamin. Im Hotel Tschaika kann man sich in der Badewanne um die eigene Achse drehen. Alles ist bereit: weiße Handtücher und ein Bademantel, unbenutzte Badelatschen in Cellophan. Die ungeplünderten Computer in der Bibliothek des Polytechnikums schimmern grau.

Hier ein Zaun mit geborstenem Pfahl, verschüttet von Herbstlaub. Dort ein hässliches, nicht bombardiertes Bürohochhaus mit nicht aufgebrochenem Geldautomaten, in der Nähe aus dem Boden sprießende, frühlingshaft saftige grüne Halme. Kein Mensch hier, nur ein paar Autos, überhaupt nicht ausgebrannt. An der Kreuzung zweier Gassen stehen plaudernd zwei Frauen, eine mit schwarzem Hund. Ein Innenhof, ein graues Wandgemälde mit einem unter einen Tisch gekauerten Mann. Ein Steg, ein Junge trägt eine Ballonflasche mit Wasser unter dem Arm. Darunter schmutzigblaue Züge.

Mit der Zeit wurde ich zum Langstreckler.

Ich begeben mich in meine Stadt, gehe auf der Sonnenseite bis zu dem Tor, durch das man auf meine Straße gelangt, als gäbe es weder das Tor mehr noch die Straße. Als wären auch hier alle erschossen, vertrieben, deportiert worden. Da ist nicht die Greisin im weißen Pullover, die sich mit einer Hand auf einen Pfahl, mit der anderen auf ihren Stock stützt, von diesem Haus blieben nur drei Stockwerke, im obersten sieht man ein ausgeweidetes Bett. Hier ist unser altes Café, und von den draußen an den Tischen Sitzenden hat vielleicht einer überlebt, vielleicht auch nicht, selbst wenn eine Tafel verkündet, dass Suppe, Mini-Quiche und Croissant im Menu auf ewig 25 Zloty kosten werden.

Auf Google Maps steht meine Stadt noch, aber ich gehe in ihr herum, als gäbe es sie nicht mehr, als wüsste niemand, ob sie einst noch existieren wird.

Man muss trainieren, um in der Übung zu bleiben, deshalb schüttle ich mir jetzt die Stadt aus dem Auge wie der Junge im grünen T-Shirt, der auf einem Bein dasteht und sich ein Stück Stein aus seinem Turnschuh schüttelt, ohne noch zu wissen, dass es ein Trümmerstück ist.

Berlin, 23. Juni 2022

Tenebrae Responsoria

Ходити почав я після того, як розбомбили театр із дітьми. Завжди вночі, завжди на самоті. Ходити – соромно. Бо, власне, навіщо, заради чого, хто мене вповноважив?

Спершу я, як звичайний турист, прослизав, щоб оглянути краєвиди. На гугл-картах усе ще стоїть, перед Драмтеатром б'є вода у фонтанах. Поруч на сходинах – дівчина, біля неї – такса; хтось біжить за дитиною, щоб та не зайшла у калюжу; кожне дерево можна роздивитися до найменшого листка.

У кінці причалу стоїть молода пара, повісили пакет на поруччях, дивляться в море, милуються заходом сонця. З протилежного боку – двоє чоловіків, жінка в насунутій на очі шапці, восьми- чи дев'ятилітня дитина в чорній куртці з капюшоном, назавжди без обличчя.

Перед стадіоном «Іллічівець» – море тротуарної плитки, і дівчина в синій куртці йде з синопком, попереду них – довгі пообідні тіні. З другого боку – ще одна, але в рожевій блузочці з короткими рукавами. Стоїть пізнє літо; поруч донечка в блузці того самого кольору, веде велосипед – і він такої самої барви, нереально живий на тлі сірого асфальту.

Відтак я почав ходити далі. Менш очевидними місцями. *Інформація про це місце може бути застарілою. Завжди звертайте увагу на реальні умови, які можуть швидко змінюватися.*

У «Premium Apartments» – чорний камін. У готелі «Чайка» можна роздивитися ванну. Все наготоване: білі рушники та халат, пара капців іще не розпакована, в целофані. В бібліотеці політехніки нерозкрадені комп'ютери світять сірим сьайвом.

Тут – огорожа з тріснутим стовпчиком, засипана осіннім листям. Там – негарна нерозбомблена офісна будівля з невипатраним банкоматом. Ближче – соковита весняна трава, що пнеться з землі. Довкола нема нікого, лише трохи автівок, зовсім не спалених. На перехресті стоять дві жінки, теревеняють, одна з них – з собакою, чорним. Якесь подвір'я, сірий мурал із чолов'ягою, що згорбився під столом. Міст, по ньому йде хлопець, несучи під пахвою бутель з водою. Внизу – брудно-лазурові потяги.

З часом я почав ходити на довші дистанції.

Переміщуюся до мого міста, йду сонячним боком вулиці до брами, через яку – дорога до мого дому, але так, ніби немає вже ані брами, ні вулиці. Ніби тут теж усіх застрілили, вигнали, вивезли. Немає цієї старої в білому светрі, що спирається однією рукою об стовпчик, а в другій тримає ціпок, від цього будинку лишилися чотири поверхи, на останньому видно вительбушене ліжко. Тут – наша колишня кав'ярня, а з-поміж тих, що сидять надворі за столиками, можливо, хтось вижив, а може, й ні, навіть якщо реклама сповіщає, що меню із супу, міні-кіша і круасана назавжди коштуватиме 25 злотих.

На гугл-картах моє місто ще стоїть, але я йду ним так, ніби його вже нема, ніби ніхто не знає, чи воно ще колись буде.

Треба вправлятися, треба не втратити навичок, тож я виймаю місто з ока, як хлопець у зеленій футболці, що стоїть на одній нозі і витрушує з білого кеда камінець, про який він ще не знає, що то – шматок руїн.

Берлін, 23.VI.2022

Obrazek z daleka

Wszystko to rozumiesz, wszystko to czytałeś, oglądałeś i oglądasz tutaj raz po raz kolejny: matka jest stara, syn jest po trzydziestce, żołnierze, trochę niecierpliwi, trochę rozleniwieni, prowadzą go po torturach na egzekucję. Krwi widać, ile trzeba, to jest dużo, twarz zmienioną po razach.

Oboje przystają i patrzą po sobie, zanim on zostanie zabity, zanim ona będzie musiała żyć przez wiele lat, wiedząc, że został zabity, pamiętając właśnie tę ostatnią chwilę, kiedy jeszcze jest przy, jakimś tam, życiu.

Ale to nie wystarczy, trzeba ich jeszcze na urągowisko przebrać. On dostaje koszulę Versace w złote wzory, widać grubą, bo krew nie przesiąka. Jej nałożono skądś wzięty wielki kokosznik, owinięto koronkami jak papierem toaletowym. „Umalować ją, umalować!” i robią jej ten wieczorowy makijaż, kolorowe cienie, spod których ledwo widać prawdziwą twarz, która zapadła tak głęboko, że nigdy już jej nie wydobędzie.

Wyglądają jarmarcznie, jak wystrojone kukły, ale przez to ich cierpienie, otumanione, wcale nie jest mniej prawdziwe.

Patrzysz na Jehoszuę i Miriam na murze hiszpańskiego kościoła, ale nie Jehoszuę i Miriam widzisz.

Berlin, 5 IX 2022

Bild aus der Ferne

Das alles verstehst du, das alles hast du gelesen, angesehen und siehst es hier wieder und wieder an: Die Mutter ist alt, der Sohn über dreißig, die Soldaten, teils ungeduldig, teils träge, führen ihn nach der Folter zur Exekution. Man sieht so viel Blut wie nötig, das heißt viel, das Gesicht verändert von den Schlägen.

Beide bleiben stehen und schauen sich an, bevor er getötet wird, bevor sie viele Jahre leben müssen, mit dem Wissen, dass er getötet wurde, mit der Erinnerung an eben diesen letzten Moment, in dem er noch halbwegs am Leben ist.

Doch das ist nicht genug, man muss sie zum Hohn noch verkleiden. Er bekommt ein goldgemustertes Versace-Hemd, offenbar ein dickes, denn es sickert kein Blut durch. Ihr setzen sie einen mit Spitzen wie mit Toilettenpapier umwickelten großen Kokoschick auf. „Schminken, wir müssen sie schminken!“, und sie verpassen ihr dieses abendliche Makeup, farbige Schatten, unter denen man das echte Gesicht kaum sieht, das so tief eingefallen ist, dass sie es nie wieder hervorholen kann.

Sie sehen kitschig aus, wie herausgeputzte Marionetten, doch ihr betäubtes Leiden ist dadurch keineswegs weniger echt.

Du schaust auf Jehoschua und Miriam an der Wand einer spanischen Kirche, doch es sind nicht Jehoschua und Miriam, die du siehst.

Berlin, 5. September 2022

Картинка здалеку

Ти все це розумієш, усе це читав, бачив і вчоргове бачиш тут: мати стара, синові за тридцять, солдати, трохи роздратовані, трохи знуджені, ведуть його після тортур на страту. Крові – стільки, скільки й потрібно, тобто багато, на обличчі – сліди ударів.

Обоє на мить спиняються й дивляться одне на одного, перш ніж його вб'ють, перш ніж їй доведеться жити багато років, знаючи, що його вбили, пам'ятаючи саме ту останню мить, коли в ньому ще б'ється, якщо можна так сказати, життя.

Але цього не досить, їм ще треба переодягти задля глуму. Йому дають сорочку «Версаче» із золотим візерунком, мабуть, товсту, бо кров не просочується. Їй одягають десь знайдений великий кокошник і обкручують мережками, як туалетним папером. «Намалюйте її, намалюйте!» – і їй накладають вечірній макіяж, з-під якого ледь видно справжнє обличчя, так глибоко запале, що їй вже ніколи не вдасться вийти його назад.

Вони схожі на ярмаркових ляльок, але їхнє страждання, загорнуте у смішне ганчір'я, є від того справжнім не менш.

Дивишся на Єгошуа та Марію на мурі іспанського костелу, але не Єгошуа та Марію бачиш.

Берлін, 5.IX.2022

Nożyce

W gazetowych wycinkach najciekawsze są rewery.

Na plecach aktorki która była pierwszą miłością kiedy mówiono jeszcze srebrny ekran
pół przepisu na nadziewaną paprykę i prognoza pogody na niepamiętne lato.

Za przepisem na zrazy po nelsonsku
trzy czwarte nekrologu magistra dwojga imion który zostawił nieutulonych w bólu.

Za nekrologiem ciotki z Łodzi przysłanym przez kuzynów
jakaś wyciągnięta ręka w grubym rastrze grożąca czy machająca
przeciwko komuś czy za czymś
istniejąca sama dla siebie.

Jeśli trwasz jeśli jeszcze ocalałeś
to dlatego że jesteś rewersem innej całości niezrozumiałej niepoliczalnej nieobjętej
czujesz ją czasem na chwilę przed zaśnięciem
kiedy toczy się na czarnych kołach nocy, bezgłośnie.

Berlin, 20 IX 2022



© Dorota Gawryszewska

Die Schere

Das Interessanteste an Zeitungsausschnitten sind die Rückseiten.

Auf dem Rücken einer Schauspielerin die die erste Liebe war als man noch silberne Leinwand sagte
ein halbes Rezept für gefüllte Paprika und die Wettervorhersage für einen unvorstellbaren Sommer.

Hinter dem Rezept für gedünstete Kohlrouladen mit Pilzen
drei Viertel eines Nachrufs auf einen Doppelmagister der die Angehörigen zurückließ in tiefer Trau.

Hinter dem von den Cousins geschickten Nachruf einer Tante aus Lodz
eine grobgerasterte ausgeschnittene Hand die jemandem droht oder
für oder gegen etwas gestikuliert
und nur für sich selbst existiert.

Wenn du überdauerst oder noch überlebstest
dann als Rückseite eines anderen unverständlichen unermesslichen unfassbaren Ganzen
du spürst es manchmal kurz vor dem Einschlafen
wenn auf schwarzen Rädern die Nacht anrollt, lautlos.

Berlin, 20. September 2022

[Alle Gedichte aus dem Polnischen übersetzt von Bernhard Hartmann]

Ножиці

У газетних вирізках найцікавішим є зворотний бік.

На спині акторки яка була першим коханням коли ще казали «срібний екран»
половина рецепту фаршированого перцю і прогноз погоди на якесь забуте літо.

Позаду рецепта нельсонських зразів
три чверті nekrologa шанованого пана магістра який лишив рідню у глибокій скорбо.

Позаду nekrologa тітки із Лодзі за якою сумують кузени
якась простягнута рука у виразному растрі що погрожує чи махає
на когось чи комусь услід
зависнувши в пустці.

Якщо ти ще є якщо ти ще живий
то лише тому що ти – зворот іншої цілості незрозумілої неосяжної безмежної
відчуваєш її іноді за мить до сну
коли вона котиться на чорних колесах ночі, безгучно.

Берлін, 20.IX.2022

[Усі вірші з української переклав Остап Сливинський]

Ольга Смольницька Olga Smolnytska Olga Smolnytska

Рідна фантастика

Під художнім псевдонімом «Г. Л. Олді» – двоє українських письменників. Вигадане прізвище виникло внаслідок поєднання їхніх імен – Олег і Дмитро (Діма) – а ініціалами, які стоять перед ним, є перші літери їхніх прізвищ, написаних кирилицею – Громов і Ладигенський, – що породило вигадані імена Генрі Лайон, натхненне прізвиськом герцога Саксонії і Баварії XII століття, прозваного Генріхом Левом. Г. Л. Олді дебютували в 1991 році й відтоді опублікували понад 270 книг (рахуючи з перевиданнями і перекладами на різні мови), загальний наклад яких перевищує 2 млн.

Дмитро Громов і Олег Ладигенський родом з Харкова, і це явище не позбавлене впливу на їхню творчість: деякі їх книги пов'язані з цим містом, незважаючи на те, що належать у першу чергу до жанру фентезі та наукової фантастики. Справжній талант, однак, ґрунтується на біографії, і так відбувається і з харківським дуєтом: багато вигаданих наративів навіть життям авторів і приховують несподівані згадки про рідне місто. Багатогранна проза Г. Л. Олді та їхні поетичні спроби нагадують про традицію харківської школи українського романтизму. Як і автори XIX століття, Г. Л. Олді значною мірою спирається на міфологію та фольклор, надаючи своїм оповідям трагічно-гумористичного тону. Таким чином, вони часто вступають у діалог з українською літературною традицією та посилаються на твори вітчизняних і зарубіжних класиків. Якби ми хотіли вказати на книгу, що заслуговує на особливу увагу в творчості Олді, це був би «Пентакль» – збірка оповідань,

Rodzima fantastyka

Pod pseudonimem artystycznym „H. L. Oldi” kryją się dwaj pisarze ukraińscy. Fikcyjne nazwisko powstało z połączenia ich imion – Oleg i Dymitr (Dima) – a stojące przed nim inicjały to pierwsze litery ich nazwisk zapisanych cyrylicą – Gromov i Ładyżeński – które zrodziły fikcyjne imiona Henry Lion, inspirowane przydomkiem XII-wiecznego księcia Saksonii i Bawarii, nazywanego Henrykiem Lwem. H. L. Oldi zadebiutowali w 1991 roku i od tego czasu wydali ponad 270 książek (liczenie z przedrukami i tłumaczeniami na różne języki), których łączny nakład przekracza dwa miliony. Dymitr Gromov i Oleg Ładyżeński pochodzą z Charkowa, co nie pozostaje bez wpływu na ich twórczość – wszystkie ich książki są mniej lub bardziej związane z tym miastem, pomimo że należą przede wszystkim do gatunku fantastyki i science fiction. Prawdziwy talent opiera się jednak na biografii i tak też jest w przypadku charkowskiego duetu –

витриманих в умовності магічного реалізму і готичної прози, написаних спільно з Андрієм Валентиновим і Мариною і Сергієм Дяченком. Це надзвичайно оригінальний твір, поставлений в історично невизначену альтернативну реальність і сповнений алюзіями на українську сучасність та історію, підказує, як поладнати рахунки з минулим, підкреслюючи при цьому важливість індивідуальної та колективної пам'яті. Початки письменницького дуєту були не найпростішими; обом було вкрай важко пробитися, а успіх і визнання оплачувалися наполегливою працею. Однак зусилля були винагороджені, про що свідчить схвалення міжнародної спільноти і численні нагороди – у тому числі премія для найкращого письменника-фантаста Європи «EuroCon», Національна премія України в категорії наукової фантастики за роман «Онук Персея», або Почесний Знак «Золотий письменник України» Міжнародного благодійного фонду «Скарбниця мистецтв».

Події в Україні безпосередньо торкнулись обох письменників. Вибравшись з окупованого Харкова, вони опинились у Львові, де ведуть волонтерську діяльність. Досвід війни знайшов своє відображення в їхніх найновіших текстах, які, виходячи за межі харківського контексту, прагнуть зафіксувати і обробити відчутну реальність збройного конфлікту на рівні літературної фантастики.

wiele fikcyjnych narracji inspirowanych jest życiem autorów i skrywa niespodziewane odniesienia do ich rodzinnego miasta. Wielopłaszczyznowa proza H. L. Oldi i ich próby poetyckie przywodzą na myśl tradycję charkowskiej szkoły ukraińskiego romantyzmu. Podobnie jak autorzy XIX-wieczni, H. L. Oldi czerpią pełnymi garściami z mitologii i folkloru, nadając swoim opowieściom ton tragiczno-humorystyczny. Często wchodzą tym samym w dialog z ukraińską tradycją literacką i nawiązują do prac rodzimych oraz zagranicznych klasyków. Jeśli chcielibyśmy wskazać książkę, która w ich dorobku zasługuje na szczególną uwagę, byłby to *Pentakl* – zbiór opowiadań, utrzymany w konwencji realizmu magicznego i prozy gotyckiej, napisany wspólnie z Andrejem Valentinowem oraz Mariną i Siergiejem Diaczenko. To niezwykle oryginalne dzieło, osadzone w nieokreślonej historycznie rzeczywistości alternatywnej i wypełnione

aluzjami do ukraińskiej współczesności i historii, podpowiada, jak rozliczyć się przeszłością, jednocześnie podkreślając wagę indywidualnej i zbiorowej pamięci.

Początki duetu pisarzy nie należały do najłatwiejszych; wyjątkowo trudno było im się przebić, a sukces i rozpoznawalność zostały okupione ciężką pracą. Wysiłki zostały jednak nagrodzone, o czym świadczą aprobatą międzynarodowej społeczności i liczne nagrody, m.in. nagroda dla najlepszych pisarzy science fiction w Europie „Eurocon”, Narodowa Nagroda Ukrainy w kategorii science fiction za powieść *Wnuk Perseusza* czy Znak Honorowy „Złoty Pisarz Ukrainy” Międzynarodowej Fundacji Charytatywnej Skarbiec Sztuki.

Einheimische Phantastik

Unter dem künstlerischen Pseudonym 'H. L. Oldi' arbeiten zwei ukrainische Schriftsteller. Der fiktive Name entstand aus der Kombination ihrer Vornamen – Oleg und Dmitry (Dima). Die davor stehenden Initialen sind die Anfangsbuchstaben ihrer Nachnamen in kyrillischer Schrift – Gromov und Ladyzhensky, woraus der fiktive Name Henry Lion entstand, inspiriert vom Spitznamen des Herzogs von Sachsen und Bayern, Heinrich des Löwen (12. Jahrhundert). H. L. Oldi debütierten 1991 und haben seitdem mehr als 270 Bücher (Nachdrucke und Übersetzungen in verschiedene Sprachen mitgezählt) mit einer Gesamtauflage von mehr als zwei Millionen veröffentlicht.

Dmitry Gromov und Oleg Ladyzhensky stammen beide aus Charkiw, was nicht ohne Einfluss auf ihre Arbeit ist – alle ihre Bücher haben mehr oder weniger mit dieser Stadt zu tun, auch wenn sie hauptsächlich dem Fantasy- und Science-Fiction-Genre angehören. Wahres Talent basiert jedoch auf der Biografie und so ist es auch bei dem Duo aus Charkiw – viele fiktive Erzählungen sind vom Leben der Autoren inspiriert und verbergen unerwartete Bezüge zu ihrer Heimatstadt. H. L. Oldi facettenreiche Prosa und ihre poetischen Versuche erinnern an die Tradition der Charkiwer Schule der ukrainischen Romantik. Wie die Autoren des 19. Jahrhunderts schöpfen auch H. L. Oldi aus der Mythologie und Folklore und verleihen ihren Geschichten einen tragisch-humorvollen Ton. Dabei treten sie oft in einen Dialog mit der ukrainischen Literaturtradition und beziehen sich auf die Werke einheimischer und ausländischer Klassiker. Wenn es ein Buch in ihrem Werk gibt, das besondere Erwähnung verdient, dann ist es *Pentakl*, eine Sammlung von Kurzgeschichten in der Konvention des magischen Realismus und der Prosa der Gotik,

Wydarzenia w Ukrainie bezpośrednio dotknęły obydwu pisarzy. Po wydostaniu się z okupowanego Charkowa znaleźli się we Lwowie, gdzie działają jako wolontariusze. Doświadczenie wojny znalazło odbicie w ich najnowszych tekstach, które, wychodząc już poza kontekst charkowski, dążą do uchwycenia i przetworzenia namacalnej rzeczywistości konfliktu zbrojnego na płaszczyźnie fikcji literackiej.

[Z języka ukraińskiego przełożyła Olga Smolnytska]

die sie zusammen mit Andriy Valentynov sowie Marina und Sergey Dyachenko geschrieben haben. In einer historisch nicht definierten alternativen Realität und voller Anspielungen auf die ukrainische Gegenwart und Geschichte schlägt dieses höchst originelle Werk vor, wie mit der Vergangenheit abzurechnen ist, wobei gleichzeitig die Bedeutung der individuellen und kollektiven Erinnerung betont wird.

Die Anfänge des Schriftstellerduos waren nicht die einfachsten; es war extrem schwierig für sie, den Durchbruch zu schaffen, und ihr Erfolg und ihre Anerkennung wurden mit harter Arbeit verdient. Ihre Bemühungen wurden jedoch belohnt, wie die Anerkennung der internationalen Gemeinschaft und zahlreiche Auszeichnungen belegen, darunter der Eurocon-Preis für die besten Science-Fiction-Autoren Europas, der Nationalpreis der Ukraine in der Kategorie Science Fiction für den Roman *Enkel von Perseus* oder das *Ehrenzeichen „Goldener Schriftsteller der Ukraine”* der Internationalen Wohltätigkeitsstiftung Schatzkammer der Kunst.

Die Ereignisse in der Ukraine haben beide Schriftsteller direkt betroffen. Nachdem sie aus dem besetzten Charkiw entkommen waren, fanden sie sich in Lemberg wieder, wo sie als Freiwillige tätig sind. Die Erfahrung des Krieges spiegelt sich in ihren jüngsten Texten wider, die bereits über den Charkiwer Kontext hinausgehen und versuchen, die greifbare Realität des bewaffneten Konflikts auf der Ebene der literarischen Fiktion zu erfassen und zu verarbeiten.

[Aus dem Polnischen von Jessica Röschlau-Radecka]

МАЛЕ КОЛО MAŁE KOŁO DER KLEINE KREIS

► Коли будинок струснуло, та так, що він підскочив з переляку; коли шибки у вікнах забрязкотіли, вигнулися всередину, вагаючись, розлігатись їм вщент або зачекати; коли по вухах ударив звук близького вибуху, а з-за сусідніх будівель злетів хвіст жирного диму, підсвічений низу буйним помаранчевим полум'ям...

Тоді він струснувся разом із будинком і зло сказав собі: «Досить!»

Досить бігати, ховатися. Від бомб, ракет, снарядів, війни, а головне – від себе. Що, втік? У мирне, вважай, місто на самому заході України? Сховався? Та хай тобі грець! Війна знайшла, наздогнала.

Куди побіжиш далі?

Годі годинами тупити в екран смартфона. Гігабайтами читати новини та зведення з фронту. Пости у Фейсбуці – натужно-життерадісне шапкозакидництво, істеричне «Зрада! Все пропало!» Досить ховатись у шкаралупі, відгороджуватися від світу – від війни! – ретельно вибудованим розпорядком дня. Нескінчені побутові турботи: вмився-поголився, перекури́в, схова́в у магазин, перекури́в, сніданок-обід-вечера, перекури́в, помив посуд, перекури́в, прибрався, перекури́в, розім'явся, намагаючись хоч трохи підтримати себе у формі, перекури́в, виніс сміття...

День пройшов. Порожній, нікчемний. Близнюк вчорашнього, позавчорашнього, завтрашнього. Якийсь уїдливи́й чорт зважив твоє життя на долоні, як м'яч, і закинув у кільце баскетбольного кошика, помістив у коло, мале і тісне, і все, що лишилося – бігати цим колом, крутити його, як білка колесо, глушити себе, немов горілкою, ілюзією життя, що перетворилося на існування.

Загасивши «бичок» у бляшанці, пристосованій під попільничку, він вискочив з орендованої квартири. Бігом спустився сходами. Рвонув туди, де надсадно вили сирени пожежників, де чорна хмара вимазала кіптявою половиною вечірнього неба, де не поспішали

вгамуватися жаркі спалахи – ярилися, огризалися на пінні струмені брендспойтів.

Ракета прилетіла до нафтобази. Роззяви – лише перешкода. І все одно він йшов, поспішав, на ходу докоряючи себе за пусту, недоречну цікавість. Нічого не міг вдіяти.

Пожежа стала ближчою, але нафтобазу все ще приходили будинки. На проспекті поліціянти, зупинивши синю «Мазду» та запорошену «Шкоду», витягували назовні чотирьох чоловіків. Тикали мордами в асфальт, завертали за спину руки, клацали наручниками.

Він постояв, закури́в нову цигарку і рушив назад. Треба щось робити. Щось робити.

Що?

У військкоматі він вже побував. Одразу після реєстрації як «тимчасово переміщена особа». Черга на півдня – частково місцеві, більше приїжджих. Харків, Київ, Миколаїв, Мелітополь, Херсон, Буча. У розмови він не вступав. Близько до третьої години дістався нарешті до медкомісії. Сірі від утоми лікарі. Стандартні запитання зі списку. Позначки у медичній карті.

– У сьомий кабінет.

Рудобородий чоловік у формі без знаків розрізнення був схожий на ірландця-лепрекона.

– Звання. Прізвище-ім'я-по батькові. Адреса. Телефон. Адреса та телефон контактної особи. Паспорт. Військовий квиток. Довідка тимчасово переміщеної особи. Ваш військовий квиток залишиться у нас. Можете йти і будьте на зв'язку.

– Я завжди на зв'язку, – він продемонстрував смартфон.

Лепрекон схвально кивнув.

Не те, щоб він рвався до армії. Розумів: толку від нього там буде небагато. І все ж таки потай споді-

вався: пролунає дзвінок і все вирішиться само собою. Зникне проклята невизначеність, кануть у небуття самоїдство, рефлексія, душевний роздрай. Він нарешті буде при справі! При найважливішій справі, яка тільки може бути, коли на твою країну напали. Він і боявся, і сподівався на це.

Час минав, телефон мовчав.

Зберися, ганчірко! Тебе не беруть до армії? Знайди, чим зайнятись як цивілу. З тебе має бути хоч якась користь!

Отже, що ми маємо? Далеко не першої молодості рекламник. З початком війни фірма закрилася, всіх відправили у безстрокову відпустку без збереження зарплати. Роботи за фахом не знайти, з'ясував. Перекваліфікуватись? Ага, в управдоми! Списки вакансій: вантажники, офіціанти, молодші менеджери з продажу (по-простому – продавці), різноробочі... Продавцем він би, мабуть, зміг, якби зовсім прикрутило. Втім, гроші поки що є. Небагато, але є.

Що це? Волонтерство?

Він вбивав у Google пошуковий запит, коли телефон вибухнув першими тактами «Flight Tonight». Він навіть на висвітлений номер глянути не встиг, так поспішав відповісти. Невже з військкомату?!

– Алло!
– Дядь-Микола? Вітання! Це я, Анатоль.

Племінник. Тошка-Толік-Анатолій. Хлопець звав себе на французький лад, а чому, бозна.

– Ми з Анею до тебе, як обіцяли. Вже в місті, їдемо.
– Коли чекати?
– Хвилин за двадцять.
– Добре, під'їжджайте.
Принаймні він більше не буде сам.

* * *

З приїздом молоді старанно збудований розпорядок полетів до чортової бабусі. Сумбур, біганина. Цілодобові розмови через месенджери. Усі речі не на своїх місцях. Посуд тільки встигай мити! Лягають опівночі, встають опівдня. Кудись біжать — то разом, то поодиноці — повертаються, знову біжать, тягають туди-сюди якісь коробки...

Коробки були набиті ліками. Для тих, хто залишився там, під бомбами та ракетами. Для військових. Для шпиталів. Багато коробок.

– У вас профіль у Фейсбуці розкручений? – запитала Аня на третій день цього бедламу.

– Зважаючи з ким порівнювати. Я не топ-блогер, але за френдами ліміт скоро виберу. І підписників тисячі зо три.

– Супер! Потрібно гроші на гуманітарку зібрати. У нас скінчилися, а замовлень безліч... Зробіть пост?

– Давай конкретику. Хто збирає, на що, для кого. Попередні результати. Гарантії, звітність. Реквізити...
– Я вам на Вайбер скину!

Аня сунулася у телефон, а він застиг соляним стовпом. Ти гальмо, чоловіче! Соцмережі, френди, підписники. Пости-репости. Реклама, трясця її матері! Те, що ти вмєш. Завантажувати ящики, везти під бомбами на інший кінець країни... Багато ти дістанеш і відвезеш! Ти й автівку не водиш.

Але на волонтерку потрібні гроші. Чим ти займався останні двадцять років? Видобував гроші для фірми. Фірми немає, але досвід не проп'єш!
– ...готово! Все вже у вас.

До першого посту він підійшов із душею. Можна сказати, творчо. Шліфував формулювання, відкидав зайве, підбирав слова. Вимагав у Ані фотки: гори ліків, готових до відправлення, одержувачі попередніх доставлянь із коробками та флаконами в руках. Вибрав час посту. Проставив теги, зазначив Аню з Тошкою, ще кількох людей із команди, з ким встиг зафрендитися.

Ну, поїхали!

Дідько, він хвилювався, як хлопець перед першим побаченням! Міряв кроками квартиру, раз у раз виходив перекурити на балкон. Чи спрацює? Чи не спрацює? Його аудиторія звикла до інших постів...

– Супер! Сорок дві тисячі! За півтори години!

І без паузи:
– Антіку, коханий, лови список! Завтра відправлення, встигнемо зібрати партію!

Тошка радісно поскакав по аптеках. Аня залишилася на телефоні, а він зайнявся репостами: тематичні групи знайшов заздалегідь і підписався на всі, на які зміг.

При справі! При справі! При справі! – переможно стукало у скронях.

* * *

Ще нещодавно час тягнувся сірою, несмачною, тисячу разів пережованою гумкою. Тепер він летів ракетою. Осідлавши цю ракету, він мчав через блоги, профілі та чати, листування в чотирьох месенджерах та телефонні дзвінки. З ним зв'язувалися волонтери із Києва, Харкова, Львова, Дніпра, Вінниці, Запоріжжя. «У вас популярний майданчик! Вас читають, розкажіть про нас. Хай люди знають, до кого звертатися...» Він перевіряв: хто, звідки, хто з ними вже мав справу, які відгуки. З початком війни шахраїв розвелось, як бліх на собаці.

Йому неймовірно, фантастично щастило на чесних людей. Він відповідав, погоджувався, видобував інформацію, готував пости, ліпив до них картинки. Ейфорія накрила його блискучою хвилею. Війна, як і раніше, лежала на плечах свинцевим тягарем, при-

гинала до землі, здавлювала груди. Але він знайшов лазівку, вентиляційну віддушину. Радісно ковзав по ній, пірнав у глибини мережі, виринав, щасливо пирхаючи, із затиснутими в жмені перлинами: контакти, постачання, проекти, донати на гуманітарку...

Ні, він не втратив розум. Знав: резонанс скоро спаде, ефективність знизиться. Не можна частити. Графік, треба графік. У профілі потрібні пости без реклами. Фото? Вірші? Зображення? Кліпи? Меми? Він перебирав варіанти, як чернець – чотки. Відкидав один за одним. Те, що працювало у мирний час, викликало інтерес, зараз не спрацює. Ще й гірше: викличе роздратування.

Щоденник? Він почав його вести у перший день війни. Не бозна що: обстріли, пропав інтернет, черги за продуктами і в аптеки, ідуть сусіди, стрілянина на сусідній вулиці. Евакуація, дві доби у дорозі. Черги на заправках, пусті кафе; ночівля в автобусі посеред поля. Добрі самаритяни, які допомагають біженцям; прибуття на нічний вокзал...

Кому це потрібно? Люди читають зведення з фронту, розповіді бійців з передової, свідчення тих, хто був під бомбардуванням та в окупації, хто вижив у пеклі. Кому потрібна хроніка обивателя, що втік з-під бомб?

Нічого іншого в нього не було. Перший фрагмент щоденника. Перший день війни. Півтори тисячі «лайків». Півтори сотні коментарів. Півсотні репостів.

...вибухи біля телевежі. Зник кабельний інтернет. Мобільний працює. Оголосили повітряну тривогу. Спустилися до бомбосховища, воно прямо під нашим будинком. Там розташований розподільний вузол теплоцентралі. Приміщення не дуже велике, але й людей не так багато, є місце. Принесли із собою запас води та продуктів, кілька табуреток. Відсиджуємось.

*Нагорі гуркотить, але досить далеко.
Через якийсь час повернулися додому. Про всяк випадок заклеїли стекла скотчем – щоб утримати уламки, якщо розіб'є...*

Читали. Співчували. Пропонували допомогу. «Та не мені! – беззвучно кричав він у екран смартфона. – Тим, хто лишився під обстрілами! Бійцям на передовій! Волонтерам, медикам, рятувальникам...»

І відтягав себе за вуха. Більше уваги, більше резонансу – більша аудиторія. Більше донатів до волонтерських постів. Більше коштів на медикаменти, гуманітарку, амуніцію.

Цинічно? Так. І що?

Пости-репости, щоденник, переговори. Дієтичне харчування для дітей із хворими нирками. Ще одна партія медикаментів. Бензин. Турнікети, наколінники, берці. Плитоски, розвантажувальні жилети, аптечки. Якби не війна, він, може, був би щасливий.

...Якщо я раптом пропаду з радарів, не хвилюйтеся. Все нормально, це телефон сідає. Знайома лікарка. Світла в них немає, не може зарядити акумулятор. Турбується, щоб ми не хвилювалися. Так і живемо: одне за одного...

– З військкомату дзвонили, – ніби між ділом повідомив увечері Тошка. – Через п'ять днів із речами. Потрібно форму купити. Рюкзак, каремат, спальник. Ліхтарик, ніж пристойний. Та й ще деякі дрібниці.

– Давай список, – на автоматі відповів він. І захолов, коли зрозумів, про що йдеться.

Червень 2022 р.

Старczy tego gapienia się godzinami w ekran smartfona. Gigabajtów wiadomości i podsumowań z frontu. Postów na Facebooku – napięta i dająca radość życia buta, historyczne „Zdrada! To koniec!”. Starczy tego chowania się w skorupkach, odgradzania się od świata – od wojny! – starannie zaplanowanej rutyny. Niekończących się codziennych trosk: umyć się, ogolić, zapalić, pójść do sklepu, zapalić, zjeść śniadanie-obiad-kolację, zapalić, umyć naczynia, zapalić, posprzątać, zapalić, podciągnąć się, aby choć trochę utrzymać formę, zapalić, wynieść śmieci...

Dzień minął. Pusty, bezwartościowy. Podobny jak dwie krople wody do wczoraj, do przedwczoraj, do jutra. Jakiś złośliwy diabeł zważył twoje życie w dłoni. Jak piłkę wrzucił do kosza, umieścił w małym i ciasnym kole, a wszystko, co ci pozostało, to biegać po tym kole, kręcić się jak wiewiórka, zagłuszać się wódką. Iluzja życia, w którą zamieniło się istnienie.



© Dorota Gawryszewska

Kiedy budynek zatrzęsł się tak, że zerwał się z przerażenia; kiedy szyby w oknach zadźwięczały, wygięły się do wewnątrz, jakby nie mogły się zdecydować, czy się rozpaść na kawałki, czy poczekać; kiedy dźwięk eksplozji dał po uszach, a zza sąsiednich budowli wyłonił się ogon tłustego dymu podświetlony pomarańczowym płomieniem...

Wtedy otrząsnął się i wściekły stwierdził: „Dość!”.

Starczy tego biegania, chowania się. Przed bombami, rakietami, pociskami, wojną, a najważniejsze – przed sobą. I co, uciekłeś? Do spokojnego, zdaje ci się, miasta na zachodzie Ukrainy? Ukryłeś się? Niedoczekanie! Wojna cię znajdzie, dogoni.

Dokąd pobiegiesz dalej?

Po zgłoszeniu papierosa w puszcze zaadaptowanej do roli popielniczki, wyskoczył z wynajmowanego mieszkania. Zbiegł po schodach. Ruszył tam, gdzie syreny strażaków wyły bardzo głośno, gdzie czarna chmura zamazała połowę wieczornego nieba sadzą, gdzie gorące błyski nie chciały się uspokoić – warknął, patrząc na strumienie piany.

Rakieta poleciała w stronę rafinerii. Gapiowie byli tylko przeszkodą. A on zmierzał w tamtym kierunku, spiesząc się, po drodze rugając siebie za beczynną, nieodpowiednią ciekawość. Nic nie mógł z tym zrobić.

Pożar zbliżał się, ale rafineria wciąż bezpiecznie stała. Na alejach policjanci zatrzymali niebieską mazdę i zakurzoną skodę, wyciągnęli czterech mężczyzn. Wbili ich mordy w asfalt, wywinęli ręce do tyłu, zabrzęczeli kajdankami.

Stanął, zapalił kolejnego papierosa, ruszył z powrotem. Trzeba coś zrobić. Coś zrobić.

Co?

Był już na komisji wojskowej. Natychmiast po zarejestrowaniu się jako „osoba tymczasowo przesiedlona”. Kolejka na pół dnia – wielu lokalnych, ale więcej przyjezdnych. Charków, Kijów, Mikołajów, Melitopol, Chersoń, Bucza. Nie angażował się w rozmowy. Około trzeciej stanął w końcu na komisji lekarskiej. Szarzy ze zmęczenia lekarze. Standardowe pytania z listy. Wpis w dokumentacji medycznej.

– Do gabinetu numer siedem.

Rudobrody mężczyzna w mundurze bez odznak wyglądał jak irlandzki krasnoludek.

– Nazwisko. Imię po ojcu. Adres. Telefon. Adres i telefon osoby do kontaktu. Paszport. Książeczka wojskowa. Zaświadczenie osoby tymczasowo przesiedlonej. Twoja książeczka wojskowa zostanie u nas. Możesz iść i bądź pod telefonem.

– Zawsze jestem pod telefonem – pokazał smartfon. Krasnoludek skinął głową z aprobatą.

To nie jest tak, że wyrwał się do wojska. Wiedział, że będzie z niego niewielki pożytek. A jednak w tajemnicy miał nadzieję: zadzwoni telefon i wszystko rozwiąże się samo. Przeklęta niepewność zniknie; deprecjonowanie siebie, autorefleksja, duchowa irytacja pójdą w niepamięć. W końcu będzie w akcji! Będzie działał w ważnej sprawie, która może wydarzyć się tylko wtedy, gdy twój kraj jest atakowany. Bał się i liczył na to.

Czas mijał, telefon milczał.

Ogarnij się, szmato! Nie biorą cię do wojska? Znajdź coś do roboty jako cywil. Musi być z ciebie jakiś pożytek!

Kogo więc my tu mamy? Specja od reklamy nie pierwszej młodości. Kiedy wybuchła wojna, firma została zamknięta, wszyscy zostali wysłani na urlop na czas nieokreślony

bez prawa do pensji. Dowiedział się, że nie może znaleźć pracy w swojej branży. Zmiana kwalifikacji? Tak, w urzędzie! Oferty pracy: kierowcy ciężarówek, kelnerzy, młodszy menedżerowie sprzedaży (po prostu sprzedawcy), złota rączka... Sprzedawcą pewnie by mógł zostać, gdyby się na to zdecydował. Jednak na razie miał pieniądze. Trochę, ale miał.

Co jeszcze? Wolontariat?

Wstukiwał w Google kolejne hasło, kiedy z telefonu rozlały się pierwsze takty *Flight Tonight*. Nie miał czasu nawet spojrzeć na numer, który się wyświetlał, bo chciał jak najszybciej odebrać. Może dzwonią z komendy wojskowej?!

– Halo!

– Wujek Mykoła? Dzień dobry! To ja, Anatolij. Bratanek. Toszka – Tolik – Anatolij. Wymawiał swoje imię po francusku, dlaczego? Kto wie?

– Jedziemy z Anią do ciebie, jak obiecaliśmy. Jesteśmy już w mieście, jedziemy.

– Za ile będziecie?

– Dwadzieścia minut.

– W porządku, podjeżdżajcie.

Przynajmniej nie będzie już sam.

* * *

Kiedy przyjechali młodzi, starannie wypracowana rutyna poszła w cholerę. Zamieszanie, krzątanie się. Całodobowe rozmowy przez Messenger. Wszystkie rzeczy poprzestawiane. Zawsze jest czas na mycie naczyń! Kładą się o północy, wstają w południe. Gdzieś biegną razem, pojedynczo wracają i znowu wybiegają. Ciągają tam i z powrotem jakieś pudełka...

Pudełka pełne leków. Dla tych, którzy tam zostali – pod bombami i rakietami. Dla wojska. Dla szpitali. Była ich cała masa.

– Masz konto na Facebooku, co? – zapytała Ania trzeciego dnia tego wariatkowa.

– Mam. Co prawda nie jestem topowym influencerem, ale wkrótce osiągnę limit przyjmowania znajomych. I trzy tysiące obserwujących.

– Super! Musimy zebrać pieniądze na pomoc humanitarną. Zabrakło nam, a zamówień jest wiele... zrobisz post?

– Podaj konkrety. Kto zbiera, na co, dla kogo. Wstępne oczekiwania. Gwarancje. Raporty. Namiary...

– Wyślę przez Viber.

Ania przesunęła się do telefonu, a on zastygł jak słup soli. Ale tyś powolny, człowieku! Media społecznościowe, zna-

jomi, obserwujący. Posty i udostępnienia. Reklama, niech to szlag! To jest to, co umiesz. Natomiast załadowywać skrzynie, przewozić je pod bombami na drugi koniec kraju... Mógłbyś wiele przewieźć, ale nie masz prawa jazdy.

Wolontariat potrzebuje finansowego wsparcia. A co robiłeś przez ostatnie dwadzieścia lat? Zdobywałeś pieniądze dla firmy! Firmy, co prawda, już nie ma, ale doświadczenia nikt ci nie odbierze.

– Gotowe! Wszystko już masz.

Do pierwszego posta podszedł z misją. Można powiedzieć – twórczo. Cyzelował sformułowania, odrzucał nadmiar, dobierał słowa. Zażądał od Ani zdjęć: stosu opakowań leków gotowych do wysyłki, odbiorców poprzednich dostaw z pudełkami i fiolkami w rękach.

Wybrał czas na publikację posta. Wstawił tagi, oznaczył Anię i Toszkę, jeszcze kilka osób z ekipy, z którymi zdążył się poznać.

Lecimy z tematem!

– Cholera – martwił się jak facet przed pierwszą randką. Łaził po całym mieszkaniu, co jakiś czas wychodził zapalić na balkon. Zadziała czy nie zadziała? Jego znajomi przyzwyczaili się do innych postów.

– Super! Czterdzieści dwa tysiące! W półtojej godzinie!

I bez przerwy:

– Antik, ukochany, łap listę! Jutro wysyłka, zdążymy nadać przesyłkę!

Toszka z radością biegał po aptekach. Ania siedziała na telefonie, a on zajął się udostępnieniami: grupy tematyczne znalazł wcześniej i dodał się na te, na które mógł. W końcu działał! Działał w ważnej sprawie, kiedy jego kraj był atakowany! Zyciństwo pulsowało mu w skroniach.

* * *

Jeszcze niedawno czas ciągnął się niczym szara, przeżuta tysiące razy, pozbawiona smaku guma. Teraz leciał szybko jak rakietka. Lecąc tą rakietką, ścigał blogerów, profile, prowadził czaty, korespondencje na czterech komunikatorach i rozmowy telefoniczne. Skontaktowali się z nim wolontariusze z Kijowa, Charkowa, Lwowa, Dniepru, Winnicy, Zaporozża. „Masz popularny profil! Jesteś czytany. Napisz na nim o nas. Niech ludzie wiedzą, do kogo się zwrócić...”

Sprawdzał: kto, skąd, kto już z nimi miał do czynienia, jakie mają opinie. Wraz z wybuchem wojny oszustów przybywało.

Miał niesamowite szczęście do uczciwych ludzi. Odpowiadał, zgadzał się, zdobywał informacje, przygotowywał posty, obrabiał dla nich zdjęcia.

Euforia pokryła go błyszczącą falą. Wojna wciąż spoczywała mu na ramionach ołowianym ciężarem, przyciskała do ziemi, zaciskała klatkę piersiową.

Ale znalazł lukę, otwór wentylacyjny. Ślizgał się po nim z radością, nurkował w głąb sieci, wynurzał się, parszając, z klejnotami zaciśniętymi w garści: kontakty, dostawy, projekty, wpłaty na pomoc humanitarną...

Nie, nie stracił rozumu. Wiedział, że jego oddziaływanie wkrótce zmaleje, wydajność spadnie. Nie da się tego robić na dłuższą metę. Harmonogram, potrzebował harmonogramu. Profil wymaga postów bez reklam. Zdjęcia? Wiersze? Obrazy? Klipy? Memy? Badał opcje niczym mnich różańcowy. Odrzucał jedną po drugiej. To, co wzbudziło zainteresowanie w czasie pokoju, teraz nie zadziała. Jeszcze gorzej – rozdrażni.

Pamiętnik? Zaczął go prowadzić pierwszego dnia wojny. Nie ma w nim bóg wie czego: ostrzał, brak internetu, kolejki po artykuły spożywcze i do apteki, sąsiedzi, strzelanina na sąsiedniej ulicy. Ewakuacja, dwa dni w drodze. Kolejki na stacjach benzynowych, puste kawiarnie, nocleg w autobusie na środzku pola. Dobrzy Samarytanie pomagający uchodźcom, noclegownia...

Czego potrzebuje? Ludzie czytają relacje z frontu, historie wojowników ze stref walk, świadectwa tych, którzy byli bombardowani i okupowani, którzy przeżyli piekło. Kto potrzebuje kroniki everymana, który uciekł spod bomb?

Nie miał nic innego.

Pierwszy fragment pamiętnika. Pierwszy dzień wojny. Półtora tysiąca polubień. Sto pięćdziesiąt komentarzy. Pięćdziesiąt udostępnień.

...wybuchy przy wieży telewizyjnej. Nie ma internetu naziemnego. Mobilny działa. Ogłoszono alarm powietrzny. Poszliśmy do schronu tuż pod naszym domem. Znajduje się tam węzeł dystrybucyjny ciepłowni. Pokój nie jest duży, ale nie ma zbyt wielu ludzi, mamy miejsce. Przymieśliśmy ze sobą zapas wody i żywności, kilka stołków. Usiedliśmy. Na górze dudni, ale w oddali.

Po jakimś czasie wróciliśmy do domu. Na wszelki wypadek zakleiliśmy szyby taśmą, aby zatrzymać odłamki, jeśli szyby pękną...

Ludzie czytali. Empatyzowali. Oferowali pomoc. „Ja nie potrzebuję” – mruczał do ekranu smartfona. „Pomóżcie tym, którzy zostali pod ostrzałem! Żołnierzom na linii frontu! Wolontariuszom, lekarzom, ratownikom...”

I łapał się za uszy. Więcej uwagi, więcej rozgłosu to większa publiczność. Więcej wpłat na działania wolontariuszy. Więcej środków na leki, pomoc humanitarną, amunicję.

Był cyniczny? Tak. I co z tego?

Posty i udostępnienia, dziennik i rozmowy. Produkty dietetyczne dla dzieci z chorymi nerkami. Kolejna partia leków. Benzyna. Opaski uciskowe, nakolanniki, trepy. Kamizelki kuloodporne i taktyczne, apteczki.

Gdyby nie wojna, mógłby być szczęśliwy.

...Jeśli nagle zniknę, nie martwcie się. Wszystko OK. Tylko telefon się rozładował. Znajoma jest lekarka. Nie ma prądu,

nie może naładować baterii. Martwi się, żebyśmy my nie musieli. I tak żyjemy, wspieramy się.

– Dzwonili z komendy – mimochodem poinformował wieczorem Toszka. – Masz się stawić za pięć dni z rzeczami: mudur, plecak, karimata, śpiwór, latarka, dobry nóż i jeszcze kilka drobiazgów.

Als das Haus erschüttert wurde, war das Beben so mächtig, dass er vor Schrecken aufsprang; als die Scheiben in den Fenstern klapperten, sich nach innen bogen und zögerten, ob sie zerspringen oder abwarten sollten; als das Geräusch einer Explosion in der Nähe an seine Ohren drang und ein Schweif fettigen Rauchs hinter den Nachbargebäuden aufstieg, der von unten von einer heftigen orangefarbenen Flamme beleuchtet wurde ...

Dann bebte er zusammen mit dem Haus und sagte wütend zu sich selbst: „Es reicht!“

Genug gerannt, genug versteckt. Vor Bomben, Raketen, Granaten, Krieg und vor allem vor sich selbst. Was, du bist weggelaufen? In eine friedliche Stadt im äußersten Westen der Ukraine? Hast du dich verstecken können? Nein, verdammt noch mal! Der Krieg hat dich gefunden, er hat dich eingeholt.

Wohin willst du jetzt rennen?

Stundenlang auf den Bildschirm des Smartphones starren. Gigabytesweise Nachrichten und Berichte von der Front lesen. Posts auf Facebook – zwischen fröhlich-heiterer Leichtsinnigkeit und dem hysterischen „Verrat! Alles ist verloren!“ Genug des Versteckens in einem Schneckenhaus, man kann sich nicht durch einen sorgfältig gestalteten Tagesablauf von der Welt – und vom Krieg! – abschotten. Endlose Alltagsaufgaben: Waschen, Rasieren, Rauchen, Einkaufen, Rauchen, Frühstück-Mittag-Abendessen, Rauchen, Abwasch, Rauchen, Aufräumen, Rauchen, kurze Sportübungen, um wenigstens ein bisschen auf die Form zu achten, Rauchen, Müll rausbringen ...

Wieder ist ein Tag vergangen. Leer und unbedeutend. Ein Klon des gestrigen, des vorgestriegen und des morgigen Tages. Ein ätzender Satan hat dein Leben in seiner Hand gewogen, wie einen Ball, den er dann in den Basketballkorb warf und in einen Kreis, klein und eng, legte. Alles, was übrigblieb, ist, in diesem Kreis herumzulaufen, das Rad zu drehen wie ein Hamster, die Gefühle zu betäuben – wie mit einem Schnaps – mit der Illusion eines Lebens, das sich in bloße Existenz verwandelte.

Nachdem er den Zigarettensammel in einer zum Aschenbecher umfunktionierten Blechdose gelöscht hatte, rannte er aus der Mietwohnung hinaus, die Treppe hinunter. Er eilte dorthin, wo die Feuerwehrensirenen heulten, wo eine schwarze Wolke den Abendhimmel mit Ruß beschmierte, wo heiße Blitze sich nicht zu beruhigen

– Daj listę – powiedział z automatu.

I zastygł, gdy zrozumiał, o co chodzi.

Czerwiec 2022

[Z języka ukraińskiego przełożyła Sofija Bajanowa]

gen vermochten – sie tobten und wehrten sich gegen die schäumenden Strahlen der Feuerwehrspitzen.

Eine Rakete traf das Öldepot. Die Schaulustigen waren nur ein Hindernis. Und doch ging er weiter, eilte und machte sich Vorwürfe wegen seiner bloßen unangebrachten Neugierde. Er konnte es nicht lassen.

Das Feuer kam immer näher, aber das Öllager war noch von den Häusern verdeckt. Auf der Allee hielt die Polizei einen blauen Mazda und einen staubigen Skoda an und zog vier Männer heraus. Die Polizisten ließen die Männer sich auf den Asphalt legen, verschränkten ihnen die Hände hinter dem Rücken und schnappten nach Handschellen. Er stand da, zündete eine neue Zigarette an und ging zurück. Irgendwas muss man tun. Irgendwas tun.

Was denn?

Beim Militärkommissariat ist er bereits gewesen, unmittelbar nach der Registrierung als „vorübergehend Vertriebener“. Die Warteschlange reichte für einen halben Tag – zum Teil waren es Einheimische, noch mehr Gäste. Aus Charkiw, Kyiv, Mykolaiv, Melitopol, Cherson, Butscha. Er hat sich nicht an Gesprächen beteiligen wollen. Gegen drei Uhr war er schließlich bei der Ärztekommision dran. Die Ärzte sahen grau vor Müdigkeit aus. Standardfragen aus der Liste. Markierungen in der Gesundheitskarte.

– Raum Nummer sieben.

Ein rotbärtiger Mann in einer Uniform ohne Abzeichen sah aus wie ein irischer Leprechaun.

– Rang, Nachname, Vorname, Vatersname. Adresse. Rufnummer. Adresse und Telefonnummer einer Kontaktperson. Reisepass. Militärausweis. Bescheinigung für vorübergehend vertriebene Personen. Ihr Militärausweis bleibt bei uns. Sie können gehen, seien Sie erreichbar.

– Ich bin immer erreichbar, – sagte er und zeigte sein Smartphone.

Der Leprechaun nickte wohlwollend.

Nicht, dass er unbedingt zur Armee gehen wollte. Ihm war klar: Er würde dort wenig Nutzen bringen. Und doch hoffte er insgeheim: Der Anruf würde kommen, und dann würde sich alles von selbst lösen. Die verdamnte Ungewissheit würde verschwinden, der Egoismus, das Grübeln

und die innere Zerrissenheit würden in Vergessenheit geraten. Er wird endlich bei der Arbeit sein! Das ist das Wichtigste, was man tun kann, wenn das eigene Land angegriffen wird. Er fürchtete sich und hoffte zugleich.

Die Zeit verging, das Telefon war still.

Reiß dich zusammen, du Lump! Sie wollen dich nicht in die Armee aufnehmen? Suche dir eine Beschäftigung als Zivilist. Du musst dich nützlich machen!

Also, was haben wir nun? Werbespezialist, nicht besonders jung. Als der Krieg ausbrach, wurde das Unternehmen geschlossen und alle Mitarbeiter wurden auf unbestimmte Zeit ohne Bezahlung beurlaubt. Im eigenen Fachgebiet wird sich kein Job finden lassen, schon geprüft. Umschulung? Ja, um Facility Manager zu werden! Freie Stellen: Verlader, Kellner, Junior-Verkaufsleiter (einfach ausgedrückt – Verkäufer), Hilfsarbeiter ... Er könnte wahrscheinlich Verkäufer werden, wenn er wirklich verzweifelt wäre. Aber er hat immer noch Geld. Nicht viel, aber immerhin.

Was noch? Freiwillige Hilfe?

Er gab gerade eine Suchanfrage in Google ein, als sein Telefon die ersten Takte von Flight Tonight zu spielen begann. Er hatte nicht einmal die Zeit, die angezeigte Nummer zu prüfen, so eilig hatte er es, zu antworten. Das Militärkommissariat vielleicht?!

– Hallo!

– Onkel Mykola, sei begrüßt! Ich bin's, Anatol.

Der Neffe. Toszka – Tolik – Anatolij. Der Junge nannte sich nach französischem Manier, weiß Gott warum.

– Ania und ich, wir kommen zu dir. Wie versprochen. Wir sind schon in der Stadt, auf dem Weg.

– Wie lange braucht ihr noch?

– Zwanzig Minuten.

– Okay, bis gleich.

Zu mindestens wird er nicht mehr allein sein.

* * *

Nach der Ankunft der jungen Leute war die sorgfältig aufgebaute Routine komplett durcheinander. Verwirrung, Herumrennen. Rund-um-die-Uhr-Gespräche über Messenger. Alles auf dem falschen Platz. Siehe nur zu, dass du den Abwasch schaffst! Sie gehen um Mitternacht ins Bett und stehen mittags wieder auf. Sie laufen irgendwohin – manchmal zusammen, manchmal jeder für sich – dann kommen sie zurück, laufen wieder los, tragen irgendwelche Kisten hin und her ...

Die Kisten waren voll mit Medikamenten. Für diejenigen, die zurückgeblieben sind, unter Bomben und Raketen. Für das Militär. Für Krankenhäuser. Viele Kisten.

– Ist Ihr Facebook-Profil aktiv? – fragte Ania am dritten Tag dieses Durcheinanders.

– Kommt drauf an. Ich bin kein Top-Blogger, aber ich werde bald die Grenze der Face-Book-Freunde erreichen. Und ich habe etwa dreitausend Abonnenten.

– Das ist großartig! Wir müssen Geld für humanitäre Hilfe sammeln. Wir haben keins mehr, und es gibt viele Bestellungen ... Schreiben Sie einen Post?

– Nenn mir konkrete Einzelheiten. Wer sammelt, wofür, für wen. Vorläufige Ergebnisse. Garantien, Berichterstattung. Bankverbindung ...

– Ich schicke sie Ihnen über Viber!

Ania steckte ihren Kopf ins Telefon, und er erstarrte wie eine Salzsäule. Du bist ein Vollidiot, Mann! Soziale Netzwerke, Freunde, Abonnenten. Posts, Reposts. Werbung, verdammt noch mal! Die Dinge, die du auch wirklich tun kannst. Kisten einladen, sie unter Bomben auf die andere Seite des Landes bringen ... Viele schaffst du nicht! Du fährst nicht einmal ein Auto.

Aber man braucht Geld, um zu helfen. Was hast du in den letzten 20 Jahren gemacht? Geld für die Firma verdient. Die Firma gibt es nicht mehr, aber die Erfahrung bleibt!

– ... fertig! Alles bereits bei Ihnen angekommen.

Seinen ersten Post verfasste er mit ganzem Herzen. Man könnte sagen, er war kreativ. Er hat an der Formulierung gefeilt, Überflüssiges verworfen und Wörter ausgewählt. Er verlangte von Ania Fotos: Berge von versandfertigen Medikamenten, Empfänger früherer Lieferungen mit Kisten und Fläschchen in der Hand.

Er wählte den Zeitpunkt der Veröffentlichung, markierte Ania und Toszka, ein paar andere Leute aus dem Team, mit denen er befreundet war.

Also, los geht's!

Verdammt, er war nervös wie ein Jugendlicher vor dem ersten Date! Er schritt durch die Wohnung auf und ab, ging auf den Balkon, um eine Zigarette zu rauchen. Wird es funktionieren? Oder nicht? Sein Publikum war andere Posts gewohnt...

– Großartig! Zweiundvierzigtausend! In anderthalb Stunden!

Und dann gleich, ohne Pause:

– Antik, Liebling, hier ist die Liste! Morgen ist die Abreise, wir werden Zeit haben, eine Ladung fertigzumachen!

Toszka rannte fröhlich zu den Apotheken. Ania blieb am Telefon, und er begann, neue Beiträge zu schreiben: Er fand die thematischen Gruppen im Voraus und abonnierte sie alle.

Du hast zu tun! Du hast zu tun! Du hast zu tun!
– Der Satz pulsierte siegessicher an seinen Schläfen.

Es ist noch gar nicht so lange her, da zog sich die Zeit für ihn wie ein grauer, geschmackloser, tausendmal gekauter Kaugummi. Jetzt verflog sie wie eine Rakete. Auf dieser Rakete raste er durch Blogs, Profile und Chats. Korrespondenz in vier Messengern und Telefonate. Freiwillige aus Kyiv, Charkiv, Lviv, Dnipro, Winnyzja und Saporischschja nahmen Kontakt mit ihm auf. „Sie haben eine beliebte Website! Sie werden gelesen, erzählen Sie doch über uns. Die Leute sollen wissen, an wen sie sich wenden können...“ Er überprüfte stets: wer schreibt, wo, mit wem hatte er bereits Kontakt, welches Feedback hat es gegeben. Mit dem Ausbruch des Krieges vermehrten sich die Betrüger wie Kaninchen.

Er hatte unglaubliches Glück, ehrliche Menschen zu finden. Er antwortete, erteilte Zusagen, holte Informationen ein, bereitete Beiträge vor und gestaltete Bilder dafür.

Die Euphorie überrollte ihn wie eine leuchtende Welle. Der Krieg lastete nach wie vor wie Blei auf seinen Schultern, drückte ihn zu Boden und schnürte seine Brust ein. Aber er fand ein Schlupfloch, ein Ventil. Er schlüpfte fröhlich hindurch, tauchte in die Tiefen des Netzes ein und tauchte glücklich mit Perlen in der Hand wieder auf: Kontakte, Lieferungen, Projekte, Spenden für humanitäre Hilfe.

Nein, er hatte nicht den Verstand verloren. Er wusste: Die Resonanz würde bald nachlassen, die Effizienz würde abnehmen. Man darf nicht übertreiben. Zeitplan, wir brauchen einen Zeitplan. Das Profil braucht Beiträge ohne Werbung. Fotos? Gedichte? Bilder? Clips? Meme? Er überlegte sich neue Optionen und zählte sie auf wie ein Mönch das Gebet am Rosenkranz. Er lehnte sie nacheinander ab. Was in Friedenszeiten funktionierte und Interesse weckte, würde heute nicht mehr funktionieren. Oder schlimmer noch: es würde für Irritationen sorgen.

Ein Tagebuch? Er hat es gleich am ersten Tag des Krieges begonnen. Nichts Weltbewegendes: Beschuss, kein Internet, Schlangen vor Lebensmittelgeschäften und Apotheken, Nachbarn, die wegziehen, Schüsse in der Nachbarstraße. Evakuierung, zwei Tage unterwegs. Warteschlangen an Tankstellen, leere Cafés; die Nacht in einem Bus mitten auf einem Feld. Barmherzige Samariter helfen Flüchtlingen; Ankunft nachts ...

Wer braucht das? Die Menschen lasen Berichte über die Kampfhandlungen, Geschichten von Soldaten an der Front, Zeugnisse von Menschen, die unter Bombenangriffen und der Besatzung litten und die Hölle überlebten. Wer braucht schon die Chronik eines einfachen Mannes, der den Bomben entkommen ist?

Er hatte nichts anderes.

Das erste Fragment des Tagebuchs. Der erste Tag des Krieges. Eineinhalbtausend Likes. Über hundert Kommentare. Fünfzig Reposts.

... Explosionen in der Nähe des Fernsehturms. Das Internet ist ausgefallen. Das Handy funktioniert noch. Luftalarm. Wir sind in den Luftschutzkeller gegangen, direkt unter unserem Haus. Dort befindet sich die Verteilerstation des Heizwerks. Der Raum ist nicht sehr groß, aber es sind nicht so viele Leute da, es gibt genug Platz. Wir brachten einen Vorrat an Wasser und Lebensmitteln sowie ein paar Hocker mit. Wir warteten. Oben dröhnte es, relativ weit weg.

Nach einiger Zeit kehrten wir nach Hause zurück. Für den Fall der Fälle haben wir die Fenster mit Klebeband gesichert - um Bruchstücke zu halten, falls sie zerbrechen.

Die Menschen lasen die Texte, sympathisierten mit ihm, boten Hilfe an. „Nicht für mich!“ rief er leise in den Smartphone-Bildschirm, „für die, die unter Beschuss geblieben sind! Für die Soldaten an der Front! Für Freiwillige, Sanitäter, Rettungskräfte ...“

Mehr Aufmerksamkeit, mehr Resonanz – mehr Publikum. Mehr Spenden für freiwillige Stellen. Mehr Geld für Medikamente, humanitäre Hilfe und Munition.

Ist es zynisch? Ja. Und nun?

Reposts, Tagebuch, Verhandlungen. Diätetische Lebensmittel für nierenkranke Kinder. Eine weitere Ladung von Medikamenten. Benzin. Tourniquets, Knieschoner, Stiefel. Entladewesten, Erste-Hilfe-Kästen.

Wäre der Krieg nicht gewesen, wäre er vielleicht glücklich gewesen.

... falls ich plötzlich von der Bildfläche verschwinde, keine Sorge. Das Telefon gibt wohl den Geist auf. Eine befreundete Ärztin. Kein Strom, sie kann die Batterie nicht aufladen. Sie ist besorgt, wir sollen uns aber keine Sorgen machen. So leben wir: füreinander ...

– Das Büro für militärische Registrierung hat angerufen, – sagte Toschka am Abend, – in fünf Tagen muss ich bereit sein. Wir müssen eine Uniform kaufen. Einen Rucksack, ein Feldbett, einen Schlafsack. Eine Taschenlampe, ein anständiges Messer. Und ein paar andere Kleinigkeiten.

– Gib mir die Liste – antwortete er automatisch.

Und erstarrte, als er verstand, worum es ging.

Juni 2022

[Aus dem Ukrainischen von Stefaniya Ptashnyk]

ДМИТРО ГРОМОВ – народився в 1963 році в Сімферополі, а в 1974 році переїхав до Харкова. Закінчив Харківський політехнічний інститут і працював інженером у галузі хімії. Захоплюється музикою, є автором монографії про творчість групи «Deep Purple», а також актором. Має чорний пояс з карате.

DYMITR GROMOW – urodził się w 1963 roku w Symferopolu, a w 1974 roku przeniósł się do Charkowa. Ukończył Charkowski Instytut Politechniczny i pracował jako inżynier w dziedzinie chemii. Jest pasjonatem muzyki i autorem monografii zespołu Deep Purple, a także aktorem. Posiada czarny pas karate.

DMITRY GROMOV – wurde 1963 in Simferopol geboren und zog 1974 nach Charkiw. Er absolvierte das Polytechnische Institut in Charkiw und arbeitete als Ingenieur im Bereich der Chemie. Er ist ein leidenschaftlicher Musikliebhaber und hat eine Monographie über die Band Deep Purple geschrieben und ist auch Schauspieler. Er hat den schwarzen Gürtel in Karate.

ОЛЕГ ЛАДИЖЕНСЬКИЙ – народився в 1963 році в Харкові. Навчався театральної режисури в Харківській академії культури, а потім протягом багатьох років був режисером у театральній студії «Пелікан», де як актор виступає Дмитро Громов. Має чорний пояс з карате і є сертифікованим міжнародним суддею з бойових мистецтв.

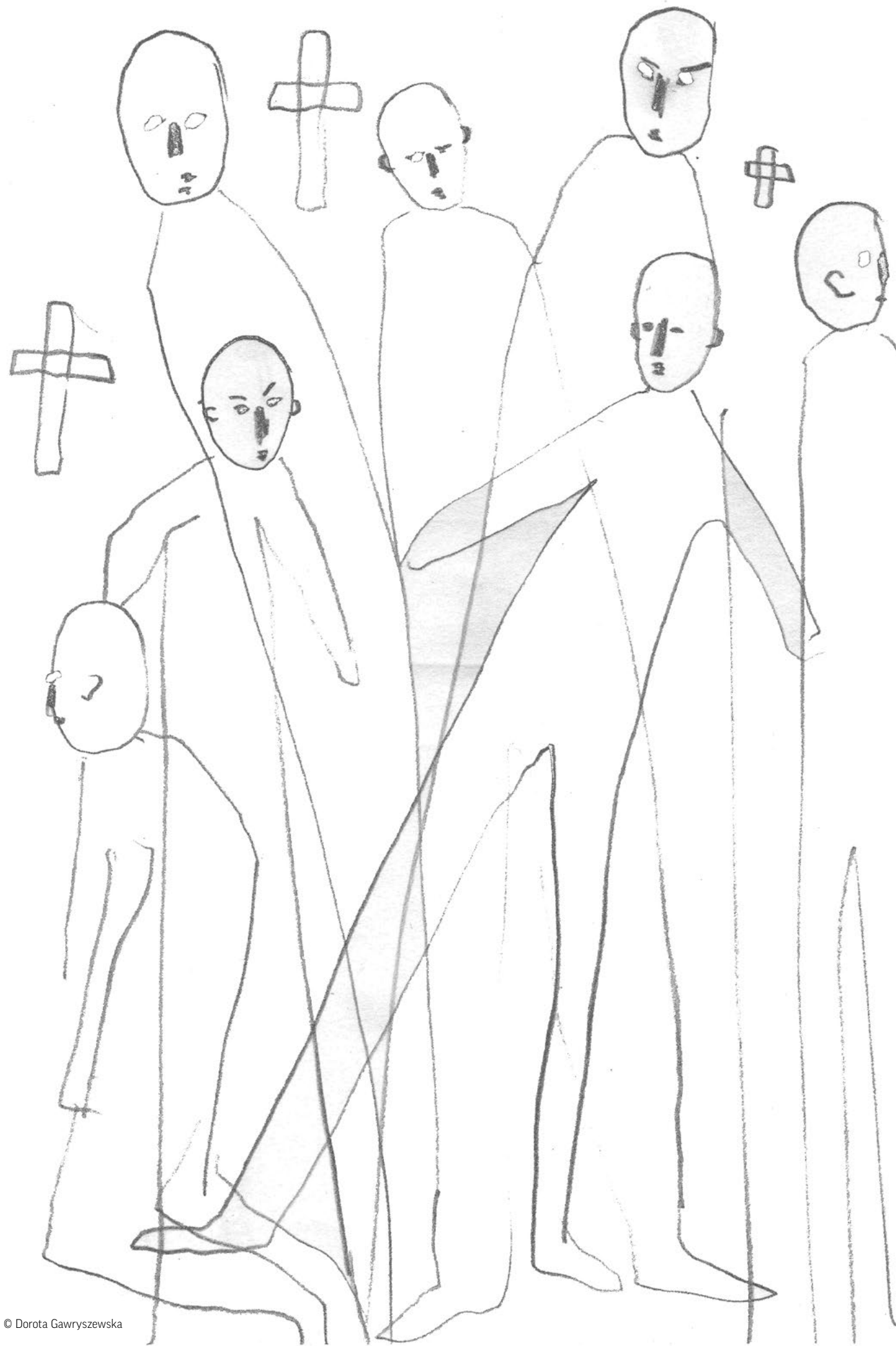
OLEG ŁADYŻEŃSKI – urodził się w 1963 roku w Charkowie. Studiował reżyserię teatralną w Charkowskiej Akademii Kultury, a potem przez wiele lat był reżyserem w Studiu Teatralnym Pelikan, gdzie jako aktor występuje Dymitr Gromow. Posiada czarny pas karate i jest certyfikowanym międzynarodowym sędzią sztuk walki.

OLEG LADYZHENSKY – wurde 1963 in Charkiw geboren. Er studierte Theaterregie an der Kulturakademie in Charkiw und war dann viele Jahre lang Regisseur am Pelikan-Theaterstudio, wo Dmitry Gromov als Schauspieler auftritt. Er hat den schwarzen Gürtel in Karate und ist ein zertifizierter internationaler Kampfsportrichter.



© Ksenia Yanko

ZOMBIELAND. EIN GEISTERTANZ ЗОМБІЛАНДІЯ. ТАНЕЦЬ ДУХІВ ZOMBIELAND. TANIEC DUCHÓW



„Zombieland. Ein Geistertanz“ ist die Geschichte von Abraham Böhme und seiner Heimat, die vom Tagebau zerstört und zum Jagdrevier von Geschäftemachern wurde. Mit der Rückkehr seines Enkels Jacob aus Amerika und dessen Liebe zu Sophia, die nicht zufällig so heißt, beginnt ein neues Kapitel. Die verkehrte Welt wird weiter gedreht und auf die Füße gestellt – als Revenge-Drama und Indianergeschichte. Coyote, der Geist aller geschundenen Landschaften und Kreaturen, überwältigt die zur Wolfsjagd aufgetauchten CEOs der Gold Investment Bank und des Energiekonzerns Holzweg AG und lässt die Zombies tanzen bis zum Verschwinden.

Personen:

ABRAHAM BÖHME – (Schuhmacher)

JACOB BÖHME – (Enkel von Abraham Böhme)

SOPHIA BRESAN – (Eine junge Frau aus der Region)

GREGOR RICHTER – (CEO des Energiekonzerns Holzweg AG)

GABRIELA HARTMANN – (CEO der Gold Investment Bank)

COYOTE

Ort: Landschaft eines Tagebaus

V

Jacob kehrt zurück, verankert zwei rostige Stahlketten an einem Prellbock, die anderen Enden mit einem Schloss jeweils an einem Knöchel von Richter und Hartmann.

JACOB: It's showtime! Zeit für eine kleine Zombiparade! Richter! Hartmann! Aufstehen! Zeit für einen kleinen Geistertanz!

(Zerrt beide hoch und stellt sie auf die Beine.)

Ihr werdet jetzt tanzen. Tanzen, bis sich Grasland und Auwälder wieder über den Hügelketten erheben. Tanzen, bis hier das Haus meiner Urgroßväter wieder steht. Und die alte Schmiede mit der Schusterei. Die Scheune, das Haus der Honigbienen und gleich daneben der Weiher, von Unken bewohnt. Der Garten, wo die Toten ruhen. Ihr werdet so lange tanzen, bis Fuchs und Hase sich hier wieder Gute Nacht sagen, bis das Glück wieder

Stammgast ist an Großvaters Tisch. Gott auch. Und die Geister sowieso ... Tanzt!

(Richter und Hartmann rühren sich nicht.)

Meine Worte habt ihr vernommen, verstanden habt ihr sie nicht.

(Schneidet beiden unterm Haaransatz einen tiefen Schnitt in die Stirn.)

Das ist der Schmerz der Bäume, wenn ihr Kerben ritzt in ihre Rinde, um sie ausbluten zu lassen. Zwei weitere Schnitte und aus der Geraden AB auf eurer Stirn wird das Dreieck ABC – eure dreifaltigen Skalpe, die ich euch von der Schädeldecke reiße, wie ihr die Rinde von den Bäumen. Es sei denn, ihr nehmt den Platz der von euch getöteten Ameisen ein und tanzt den Tanz der Geister. Jetzt! Tanzt, ihr Zombies!

Hartmann und Richter beginnen etwas, dass man vielleicht einen Tanz nennen könnte. Die auf die alten Schienenstränge schlagenden Ketten bilden dabei möglicherweise so etwas wie einen rhythmischen Grundbeat. Coyote erscheint erneut wie aus dem Nichts.

COYOTE: Das ist die Entscheidung, die du getroffen hast?

JACOB: Das ist die Entscheidung, die ich getroffen habe: Mit einem Geistertanz hat es begonnen, mit einem Geistertanz wird es jetzt enden.

COYOTE: Dann soll es so sein. *(Singt, spricht, flüstert ein Geistertanzlied:)*

He tuwe cha he u keehanni huwo (Wer, denkst du, ist es, der da kommt)

Hunku okile cha he u huwo (Kommt einer, der seine Mutter sucht)

Miyaxan chichu we (Meine Zeremonie gebe ich dir)

Chanunpa chichau che (Eine Pfeife bringe ich dir)

Cheyaye wowaglaka che (Schreiend rede ich zu dir)

Iwahunni (Ich bin am Ende)

Wichasha wan nihiyo uye (Ein Mensch kommt, um dich zu holen)

Wanbeli galeshka wan (Ein gefleckter Adler kommt,) nihiyo uye (um dich zu holen)
Ina he ku ye (Mutter, komm heim)
Le ogna chanku we (In diese Richtung ist der Weg)

He tuwe cha he u keehanni huwo (Wer, denkst du, ist es, der da kommt)
Hunku okile cha he u huwo (Kommt einer, der seine Mutter sucht)

Miyaxan chichu we (Meine Zeremonie gebe ich dir)
(*usw. usf. Das Lied kann zwei Minuten, zwei Stunden oder zwei Tage dauern ... Coyote heult sein Coyoteheulen, läßt ein Gewehr durch und schießt in die Luft.*) Ein gefleckter Adler wird kommen, um euch zu holen. Ein gewöhnlicher gefleckter Adler!

(*zu Jacob*) Es ist gut, die Wahl seiner Waffen zu bedenken. Denn jede Entscheidung hat unweigerlich neue Entscheidungen zur Folge. Wofür immer du dich entscheidest – es ist hilfreich, die Waffen seiner Gegner auch zu kennen. Gregor Richters Gewehr zum Beispiel. Es ist eine Waffe von vielen. Ein Weg von vielen. Mache dich trotzdem vertraut mit ihm. Versuche, ihn zu verstehen; und sei es, um ihn abzulehnen.

JACOB: Ich habe mit so einem Gewehr noch nie geschossen.

COYOTE: Dann lerne es.

ABRAHAM: (*aus dem Werkstattwagen tretend*) Jacob.

COYOTE: Jacob Böhme, ich sehe dich. (Ab.)

ABRAHAM: Jacob?

JACOB: Ich bin hier, Großvater. Hier bin ich.

ABRAHAM: Hast du geschossen?

JACOB: Nein. Das heißt: Ja. Ich habe Richters Gewehr, aber ich weiß nicht, wie ich damit umgehen soll.

ABRAHAM: (*Nimmt das Gewehr, betrachtet es mit seinen Händen.*) Wer eine Waffe trägt, wird sie früher oder später auch benutzen müssen. – Habe ich dir die Geschichte von Red Cloud erzählt, wie er auf den Bear Butte stieg, um dort um eine Vision zu weinen? Vier Tage und vier Nächte verbrachte er auf dem Berg ohne Essen und Trinken, als er einen Wahrtraum empfing und Coyote ihm erschien. In der einen Hand hielt er eine Chanunpa, Friedenspfeife. In der anderen Hand ein Winchester Repetiergewehr. „Wähle die Chanunpa und du wirst deinem Volk dienen als großer, weiser Friedensstifter. Wähle die Winchester und du wirst dein Volk führen als großer, siegreicher Krieger.“ Mit diesen Worten legte Coyote beide Gegenstände vor Red Cloud ins Gras und verschwand ...
(*Horcht auf in Richtung Richter und Hartmann.*)
Was genau machen die beiden da?

JACOB: Sie tanzen.

ABRAHAM: Ach!

JACOB: Sie tanzen, damit der Regen wieder fällt und das Gras wieder wächst. Sie tanzen, damit sich dieses Ödland wieder verwandelt in das Wald- und Grasland, das es einmal war.

ABRAHAM: Ich verstehe. – Was wirst du tun, wenn sich nichts tut?

JACOB: Ich weiß es nicht. Ich weiß es noch nicht.

Pause.

ABRAHAM: Wann immer mich eine wichtige Frage bedrängte und ich nicht weiterwusste, habe ich zu den Sternen geschaut und mit ihnen gesprochen. Die Sterne sehen alles. Sie schauen auch auf uns. Immer. Überall.

JACOB: Haben dir die Sterne geantwortet?

ABRAHAM: Manchmal haben sie mir geantwortet. Manchmal nicht. Zugehört aber haben sie mir immer.

JACOB: Woher weißt du, dass die Sterne auf uns schauen?

ABRAHAM: Mein Großvater hat es mir erzählt.

JACOB: Und woher wusste es dein Großvater?

ABRAHAM: Er hat es von seinem Großvater erzählt bekommen.

JACOB: Gut. – Aber der allererste Großvater, woher hatte er sein Wissen über die Sterne?

ABRAHAM: Er hat es geträumt. – Dein Urgroßvater zum Beispiel. Dein Urgroßvater war das, was man in den alten Tagen einen Bärenträumer nannte. Ein Bär weiß um die Kräuter und die Pflanzen, die er essen muss, um sich selbst zu heilen. Und er weiß, wo sie zu finden sind. Dieses Wissen hat das Volk der Bären mit deinem Urgroßvater geteilt, denn in der Welt deines Urgroßvaters war der Bär dem Menschen ebenbürtig. Und nie, niemals hat dein Urgroßvater vergessen, dem Volk der Bären Dank zu sagen. Als er diese Welt verlassen musste, ging dein Urgroßvater in die Wälder und wartete, bis ihn die Bären holten.

JACOB: Diese Welt, Großvater, ist schon lange keine Welt der Bären mehr. Und auch keine Welt der Bärenträumer.

ABRAHAM: Manchmal, in unseren Träumen, suchen wir die Bären noch. Aber suchen die Bären auch uns?

JACOB: Hat Papa sie gesucht?

ABRAHAM: Jonas? Er war ein Waldläufer. Wenn wir in den Wald gegangen sind, ließ er sich jedes Mal ins Weißmoos fallen und rief: „Die Bäume atmen ein, was ich ausatme. Ich atme ein, was sie ausatmen. Die Bäume sind meine aufrecht stehenden Brüder.“

JACOB: Warum hat er sie verraten?

ABRAHAM: Ich kann es dir nicht sagen. Nach Maras Tod

– wir haben nicht mehr miteinander gesprochen ...
Schweigen.

JACOB: Hat er sich für die Chanunpa entschieden oder für die Winchester?

ABRAHAM: Er wählte nicht eins von beiden. Red Cloud wählte beide und versuchte sie zu einen.

VI

Sophia kehrt zurück vom Kartoffelsammeln, betrachtet Richter und Hartmann.

SOPHIA: Was machen die beiden da?

JACOB: Sie tanzen einen Geistertanz.

SOPHIA: Ach! – Was für ein schaurig-schöner Anblick! Tanzen würde ich das allerdings nicht nennen.

JACOB: Nicht?

SOPHIA: Sie sehen aus wie jemand, der im falschen Traum aufgewacht ist und jetzt nicht weiß, wohin sich wenden, wohin fliehen.

ABRAHAM: (*Läßt das Gewehr durch.*) *Sophia! Jacob!* Versteckt euch. Deckung!
Sophia reißt Jacob zu Boden und hält ihn unten. Abraham steht unbewegt und horcht, mit dem Gewehr in den Himmel zielend. Geräusche einer nahenden Drohne. Abraham schießt, die Drohne stürzt ab.

JACOB: Danke. (*Hilft Sophia wieder hoch ...*)

ABRAHAM: Ist alles gut bei euch?

JACOB: Großvater, wie hast du das gemacht? Mit einem einzigen Schuss!

ABRAHAM: Seit meine Augen nicht mehr unterscheiden können zwischen Licht und Schatten, sehe ich mit meinen Ohren. Das bringt auch Vorteile mit sich, denn das Gehör schaut nicht nur auf die Oberfläche der Dinge und Erscheinungen ... –
(*Setzt sich neben die Drohne, „betrachtet“ sie mit den Händen.*) *Drohungen und Drohnen. Das ist immer erst der Anfang. Sie werden wiederkommen. Ich glaube ...*
(*Bricht den Satz abrupt ab und verharrt reglos, wie in einem Wachschlaf.*)

JACOB: Großvater? – Großvater.

SOPHIA: (*Legt Abraham eine Decke um die Schultern.*) Lass ihn. – Er träumt.

JACOB: Träumt?

SOPHIA: Was kommen, was passieren wird.

JACOB: Niemand weiß, was passieren wird.

SOPHIA: Aber es passiert. Es passiert in diesem

Augenblick. Es passiert jetzt und hier ...
(*Küsst Jacob, lange.*)

JACOB: Wow! ... Ich wusste, dass ich weiß, also dass niemand weiß, was passieren wird. Aber jetzt ...

SOPHIA: Jetzt?

JACOB: Weiß ich gar nichts mehr.

SOPHIA: Jacob!

JACOB: Ja?

SOPHIA: Gleich beim ersten Mal, als Abraham mir von dir erzählte, wusste ich, dass ich auf dich warten will, bis du wieder heimkehrst von der Schildkröteninsel. Ich sollte Abraham einen deiner Briefe vorlesen und die Zeilen habe ich seitdem nicht mehr vergessen: „Wohin gehen die Erinnerungen, wenn wir aufhören uns zu erinnern? Wohin geht unser Lachen, wohin unser Weinen, haben wir aufgehört zu lachen, aufgehört zu weinen? Wohin geht das, was wir Träume nennen, wenn wir aufhören zu träumen? – Und die Liebe? Wohin geht sie, wenn wir aufhören zu lieben? Wohin gehen die Worte hinter den Wörtern, wenn sie beginnen, sich selbst zum Leben zu erwecken? ...“

JACOB: „... Ich weiß es nicht, Großvater, aber ich weiß, dass in dieser haltlosen Welt nur der Halt findet, der einen anderen hält.“

SOPHIA: Mit jeder neuen Geschichte, die Abraham mir von dir erzählte, wusste ich, dass du es bist, von dem ich gehalten werden und den ich halten möchte. Vielleicht für immer. Vielleicht nicht für immer. Immer aber jetzt und hier. Mehr kann ich dir nicht versprechen.

JACOB: Könntest du das noch einmal wiederholen?

SOPHIA: Ich möchte dich halten, gehalten werden...

JACOB: ... das davor, ich meinte das davor, das mit dem Kuss. *Jacob und Sophia küssen sich erneut. Richter gelingt es, sich von seinem Mundknebel zu befreien.*

RICHTER: (*Hört auf zu tanzen.*) Close of the market. Das war's. – Der alte Mann hat es euch gesagt: Diese Drohne war nur ein Bote. In zehn Minuten wird hier die Erde beben. Kein Entkommen, nirgends. Egal, wo und wie ihr euch zu verkriechen sucht: kleiner Clearcut hier, großer Clearcut da. Die Daten gelöscht und aus die Maus, raus aus dem Spiel seid ihr, als hätte es euch und euren Geistertingeltangel nie gegeben.

JACOB: Besser, Sie tanzen jetzt weiter.

RICHTER: Nichts ist jämmerlicher als ein Verlierer, der nicht erkennt, dass er verloren hat. Du bist ein König, Jacob Böhme, ein König der Verlierer, geboren, um zu verlieren. And the winner is ... Die Holzweg AG bewegt sich auf verfassungsrechtlichem Fundament, im Einklang mit Gesetz und Ordnung. Mehr noch: Wir sind die Verfassung. Und wir sind das Fundament.

SOPHIA: Регierungen können Gesetze verabschieden, die es erlauben, Wälder zu roden, Wasser zu vergiften und die Luft, die wir einatmen. Aber diese Gesetze sind bedeutungslos für die Natur. Sie wird zurückschlagen.

RICHTER: Humbug, genau wie euer Geistertanz. Ihr behauptet, dieser Firlfanz besäße Macht. Aber warum vegetieren dann all die rothäutigen Naturversteher betrunken in ihren Reservaten zwischen verrottenden Autowracks? Ihr seid Clowns, wisst ihr das. Hampelt herum für ein Nichts. Strampelt euch ab für eine Illusion.

JACOB: Haben Sie deshalb meine Mutter umgebracht? Weil sie ein Clown war? Weil sie geglaubt hat an eine Illusion?
(*Ergreift eine Schlange, die auf dem Boden kriecht und spricht flüsternd zu ihr.*)

RICHTER: Was soll das werden? Der nächste Mummenschanz?

JACOB: Sprich mit ihnen und du lernst sie kennen. Sprich nicht mit ihnen und du lernst sie nicht kennen. Aber was du nicht kennst, wird dir Angst einflößen. Was dir Angst einflößt, das wirst du zerstören. Was du zerstörst, zerstört auch dich.

RICHTER: Was ist das?

JACOB: Agkistrodon bilineatus.

RICHTER: Was?

JACOB: Eine Mexikanische Mokassinschlange. Aus der Familie der Grubenottern. Berüchtigt und bekannt wegen ihrer leichten Erregbarkeit, ihrer Aggressivität, ihrer Giftigkeit. – Diese Schlange, Richter, möchte Ihnen eine Frage stellen.

RICHTER: Stopp! Stopp, stopp, stopp. Warte! Diese Schlange bringt mich auf eine Idee. – Wir investieren. Wir rekultivieren und verwandeln diesen Tagebau in ein Cowboy- und Indianerland. Buffalo Bills Wild West Show 5.0. Die Eroberung des Ostens – was sage ich – die Eroberung des Westens in lebenden Dioramen. Die alten Traumbilder einer alten Welt, um für ein paar Stunden den High-Tech-Reservaten zu entfliehen. Wonach es die Leute verlangt, das sind Spektakel. Legenden. Epische Heldengeschichten. – Schaut euch um. 1890 Hektar Land für das größte Wild-West-Outdoor-Spektakel der Welt. 1890 Hektar um Schlachten und Scharmützel nachzuspielen, die großen und die kleinen: Büffel bekriegen, Rothäute besiegen. Und nach der wilden Jagd mit dem Feuerwassergeist ein Tänzchen im Saloon gewagt. – Brilliant, nicht wahr? Das ist der Jackpot! Ein 1000-Prozenter. Ohne Showgirls aber keine Show. Ich engagiere euch als Head adviser of folkloric attractions. – Und ich verlange von euch nur eine einzige Sache dafür: dass ihr die Show so überzeugend inszeniert, wie die Nummer mit dieser Schlange hier.
(*Die Mokassinschlange beißt Richter zwei-, drei-, viermal.*)

Es hat mich gebissen ... Scheiße! Das Vieh hat mich gebissen!

JACOB: Sie haben Ohren, Richter, doch Sie hören nicht zu. Sie haben Augen, aber Sie sehen nicht hin. Einen Mund haben Sie, der viel redet, aber nichts sagt. Wenn Sie nicht mit den Geistern tanzen wollen, tanzen Sie mit dieser Schlange. Aber tanzen, Richter, das werden Sie.
(...)

*Auszug aus „Zombieland. Ein Geistertanz“ von Kai Grehn
© henschel SCHAUSPIEL Theaterverlag Berlin GmbH, 2021*

ГАБРИЕЛА ГАРТМАНН – (головна виконавча директор інвестиційного банку «Gold Investment Bank») **КОЙОТ**

Місце дії: Краєвид з кар'єром

V
Якоб повертається, закріплює на стаціонарному амортизаторі два заржавілі сталеві ланцюги, а іншими кінцями прикріплює ланцюги замком на зап'ястях Ріхтера і Гартман.

ЯКОБ: It's showtime! Настав час невеликого зомбі-параду. Ріхтере! Гартман! Підйом! Час трохи потанцювати танець духів!
(*Силою підіймає обох і ставить на ноги.*)

Зараз потанцюєте. Танцюватимете, поки ці кар'єрні горби не заростуть знову луками і лісистими полонинами. Танцюватимете, поки тут знову не

стане хатина моїх предків. А ще стара кузня разом із шевською майстернею. І стодола, і великий вулик, а відразу поруч з ним ставок, у якому мешкають жаби. І сад, у якому спочивають мертві. Танцюватимете, поки врешті рак на горі не свисне, поки щастя не задомовиться знову за столом у мого діда. А з ним і Господь Бог. Не кажучи вже про духів... А тепер танцювати!
(*Ріхтер і Гартман не зрушують з місця.*)

Ви мої слова почули, але, бачу, ви їх не збагнули.
(*Робить обом на чолі біля волосся по глибокому надрізу.*)

Ось вам біль дерев, коли ви робите зарубки в їхній корі, і вони тоді стікають кров'ю. Ще два надрізи і пряма АВ у вас на лобі перетвориться на трикутник АВС – ваші скальпи з трьома звивинами, які я зніму з ваших довбешок, приблизно так як ви обдирали кору зі стовбурів дерев. Ну хіба що ви займете місце винищених вами мурах і станцюєте танець духів. Ану танцювати, ви зомбі!

Гартман і Ріхтер починають щось, що можна було б з натяжкою назвати танцем. При цьому ланцюги їхніх кайданів ударяються об залишки старої залізничної колії і створюється щось на зразок фонового ритму. Знову немов нізвідки з'являється Койот.

КОЙОТ: То ти значить ось таке рішення прийняв?

ЯКОБ: Таке рішення прийняв, так: усе почалося з танцю духів, танцем духів воно все незабаром і закінчиться.

КОЙОТ: Що ж, так цьому й бути. (*Співає, проговорює, шепоче пісню танцю духів:*)

He tuwe cha he u keehanni huwo (Хто, як ти думаєш, ото йде)

Hunku okile cha he u huwo (То йде хтось, хто шукає матір)

Miyaxan chichu we (Відаю тобі свою церемонію)

Chanupra chichau che (Принесу тобі люльку)

Cheyaye wowaglaka che (Криком промовлятиму до тебе)

Iwahunni (Я гину)

Wichasha wan nihiyo uye (З'являється людина забрати тебе)

Wanbeli galeshka wan (З'являється беркут)

nihiyo uye (забрати тебе)

Ina he ku ye (Мамо, ходи додому)

Le ogna chanku we (Дорога веде в цьому напрямку)

He tuwe cha he u keehanni huwo (Хто, як ти думаєш, ото йде)

Hunku okile cha he u huwo (То йде хтось, хто шукає матір)

Miyaxan chichu we (Відаю тобі свою церемонію)

(*і т.д., і т.д. Пісня може тривати дві хвилини, дві години або й два дні... Койот віє койотом, заряджає рушницю і стріляє в повітря.*) Прилетить беркут і забере вас. Беркут звичайний.

(*до Якоба*) Треба добре обдумати вибір зброї. Адже кожне рішення неминуче тягне за собою наступні рішення. Яке б рішення ти не прийняв – завжди варто

знати, якою зброєю користується твій супротивник. Наприклад, варто знати марку рушниці Грегора Ріхтера. У нього зброя, якою багато-хто користується. Шлях багатьох. Та все одно ознайомся з цим шляхом. Спробуй зрозуміти його; для того хоча б, щоб відволікти його увагу.

ЯКОБ: Я ще ніколи не стріляв з такої рушниці.

КОЙОТ: То навчись.

АБРАГАМ: (*виходить з вагончика майстерні*) Якобе.

КОЙОТ: Якобе Бьоме, я тебе бачу. (*Виходить.*)

АБРАГАМ: Якобе?

ЯКОБ: Я тут, діду. Тут я.

АБРАГАМ: То ти стріляв?

ЯКОБ: Ні. Тобто: так. У мене Ріхтерова рушниця, але я не знаю, як нею користуватися.

АБРАГАМ: (*Бере рушницю, оглядає її долонями.*) Хто має при собі зброю, раніше чи пізніше мусить буде її використати. – Я тобі розповідав історію про Червону Хмару, як він піднявся на Ведмежий терикон оплакувати своє видіння? Чотири дні і чотири ночі він провів на горі без їжі і пиття, аж поки з ним не трапився сон наяву і перед ним не з'явився Койот. В одній руці він тримав шапунра, люльку миру. А в іншій руці – рушницю «Вінчестер». «Візьмеш люльку, то служитимеш своєму народові, станеш великим мудрим миротворцем. Як візьмеш вінчестер, то попроведиш свій народ, станеш великим переможним воїном». Промовивши ці слова, Койот поклав обидва предмети на траву перед Червоною Хмарою і зник ...

(*Прислухається в напрямку Ріхтера і Гартман.*)

А що то ті двоє там роблять?

ЯКОБ: Танцюють.

АБРАГАМ: Ну!

ЯКОБ: Вони танцюють, щоби знову випав дощ і відросла знову трава. Вони танцюють, щоби це пустище знову перетворилося на лісисто, порослу травами місцевість, таку, яка тут була колись.

АБРАГАМ: Розумію. – А що робитимеш, якщо то нічого не дасть?

ЯКОБ: Того я не знаю. Того я ще не знаю.
Мовчанка.

АБРАГАМ: Завжди, коли мене мучило якесь важливе питання і я не знав, що робити, я здіймав очі до зірок і розмовляв з ними. Зорі все бачать. І вони дивляться на нас. Завжди. Де б ми не були.

ЯКОБ: І зорі відповідали тобі?

АБРАГАМ: Іноді відповідали. Іноді – ні. Але вони завжди вислуховували мене.

ЯКОБ: А звідкіля ти знаєш, що зорі на нас дивляться?

АБРАГАМ: Мені то розповів мій дід.

ЯКОБ: А твій дід звідки про то знав?

АВРАНАМ: Йому про то розповів його дід.

ЯКОБ: Гаразд. – Але най-найперший дід, звідки він знав про ті зорі?

АБРАГАМ: Йому то наснилося. – До прикладу, твій прадід. Таких як твій прадід у давнину називали ведмежими сновидами. Ведмідь знає, яке зілля, які рослини йому слід з'їсти, щоби зцілитися. А ще він знає, де їх знайти. Цим знанням ведмежий народ поділився з твоїм прадідом, тому що у світі твого прадіда ведмеді були рівними людям. І твій прадід ніколи, ніколи не забував подякувати ведмежому народові. Коли надійшов час твоєму прадідові покидати цей світ, він пішов у ліси і чекав там, поки ведмеді не забрали його.

ЯКОБ: Але цей світ, діду, вже давно перестав бути світом ведмедів. І то вже не світ ведмежих сновид.

АБРАГАМ: Іноді, у наших снах, ми все ще шукаємо ведмедів. Тільки от чи і ведмеді ще шукають нас?

ЯКОБ: А тато їх шукав?

АБРАГАМ: Йонас? Він бігав лісами. Завжди коли ми приходили в ліс, він падав з розгону на м'який мох, вигукуючи: «Дерева вдихають те, що видихаю я. А я вдихаю те, що видихають вони. Дерева – то мої виструнчені брати».

ЯКОБ: То чому він їх зрадив?

АБРАГАМ: Того я тобі не можу сказати. Після смерті Марі ми ніколи більше не розмовляли ... Обоє мовчать.

ЯКОБ: А він обрав люльку миру чи «Вінчестер»?
АБРАГАМ: Він не вибрав ні того, ні іншого. Червона Хмара взяв обидва предмети і спробував поєднати їх.

VI

Софія повертається з поля, де копала картоплю, роздивляється Ріхтера і Гартман.

СОФІЯ: Що ті двоє там роблять?

ЯКОБ: Танцюють танець духів.

СОФІЯ: Ох! – Як моторошно і прекрасно це виглядає! Я би цього, щоправда, танцем не називала.

ЯКОБ: Ні?

СОФІЯ: Вони схожі на когось, хто прокинувся у чужому сні і тепер не знає, кудюю повертатися, куди тікати.

АБРАГАМ: *(Заряджає рушницю.)* Софіє! Якобе! Ховайтеся. В укриття!

Софія рвучко штовхає Якоба на землю і не дає йому піднятися. Абрагам стоїть не ворушачись і прислухається, націливши рушницю в небо. Наближається звук дрона. Абрагам стріляє, дрон падає.

ЯКОБ: Дякую. *(Допомагає Софії піднятися ...)*

АБРАГАМ: З вами все гаразд?

ЯКОБ: Діду, як тобі це вдалося? Одним-єдиним пострілом!

АБРАГАМ: Відколи мої очі перестали розрізняти світло й темряву, я бачу вухами. У цьому є свої переваги, адже наш слух зважає не лише на поверхню речей і явищ ... – *(Сідає поруч з дроном, «оглядає» його долонями.)* Погрози дронами. Саме так усе й починається. Вони повернуться. Думаю, що ...

(Зненацька уриває речення і застигає без руху, немов снить наяву.)

ЯКОБ: Діду? – Діду.

СОФІЯ: *(Накидає Абрагамові на плечі плед.)* Не чіпай його. – Він снить.

ЯКОБ: Снить?

СОФІЯ: Про те, що буде, що трапиться.

ЯКОБ: Ніхто не знає, що трапиться.

СОФІЯ: Але це трапляється. Трапляється цієї миті. Тут і тепер ... *(Цілує Якоба довгим поцілунком.)*

ЯКОБ: Вау! ... Я знав, що знаю, тобто що ніхто знати не знає, що трапиться. А тепер ...

СОФІЯ: Тепер?

ЯКОБ: Я вже взагалі нічого не знаю.

СОФІЯ: Якобе!

ЯКОБ: Слухаю?

СОФІЯ: Я з першого ж разу, коли Абрагам розповідав мені про тебе, знала, що чекатиму твого повернення з Черепашого острова. Абрагам попросив мене прочитати йому твого листа, і рядки того листа я вже ніколи не забувала:

«Куди відходять спогади, коли ми перестаємо згадувати? Куди відходить наш сміх, наші сльози, ми перестали сміятися, перестали плакати? Куди

відходить те, що ми називаємо мріями, коли ми перестаємо мріяти? – А кохання? Куди воно відходить, коли ми перестаємо кохати? Куди відходять слова, що йшли за словами, коли вони починають прокидатися до життя...»

ЯКОБ: «... Не знаю, діду, але знаю точно, що в цьому нестримному світі тиху гавань може знайти тільки та людина, яка тримає іншу».

СОФІЯ: З кожною наступною історією, яку Абрагам розповідав мені про тебе, я знала, що хочу, щоб це ти мене тримав, а я щоб тримала тебе. Можливо й назавжди. А може й не назавжди. Але завжди тут і тепер. Чогось більшого я тобі пообіцяти не зможу.

ЯКОБ: Можеш ще раз повторити?

СОФІЯ: Я знала, що хочу, щоб це ти мене тримав, а я щоб тримала ...

ЯКОБ: ... ні, те, що було перед цією фразою, ну, поцілунок. *Якоб і Софія цілуються вдруге. Ріхтеру вдається звільнитися від пластиря, який заліплює його рот.*

РІХТЕР: *(припиняє танець.)* Close of the market. От і все. – Сказав же вам той старий: Дрон – то всього лиш посланець. Не mine й десяти хвилин, як тут уже дрижатиме земля. І ніде буде заховатися, зовсім ніде. Хоч куди б ви не заповзали ховаючись: невелика просіка тут, суцільна вирубка там. Комп'ютерні дані знищено, і пропало, що з воза впало, а ви виходите з гри, так немов вас з тією вашою духівською метушнею і не було зовсім.

ЯКОБ: Краще б Вам продовжити танець.

РІХТЕР: Немає нічого жалюгіднішого за лузера, який не бачить, що програв. А ти, Якобе Бьоме, король, король лузерів, ти народився лише для того, щоб програвати. And the winner is ... Усі дії акціонерного товариства «Шлях дерева» базуються на конституційно-правовому фундаменті і ніколи не переступають закон і порядок. Скажу більше: ми самі власне й є конституцією, основним законом. Ми є тим фундаментом.

СОФІЯ: Уряди можуть приймати закони, що дозволяють викорчовування лісів, отруєння водойм і повітря, яким ми дихаємо. Проте ці закони не мають жодного значення для природи. Вона нанесе удар у відповідь.

РІХТЕР: Дурня, така сама як і ваш танець духів. Ви стверджуєте, що ця маячня має якусь силу. Тоді чому всі ті червоношкірі діти природи животіють п'яні в дупель по своїх резерваціях серед звалищ поржавілих автомашин? Ви всі клоуни, так і знайте. Розмахуєте руками й ногами заради мильної бульбашки. Зі шкіри лізете заради своїх ілюзій.

ЯКОБ: Це тому ви убили мою матір? Тому що вона була клоуном? Тому що вірила в існування ілюзій?

(Підіймає з землі змію, яка там повзе звиваючись, і щось пошепки говорить їй.)

РІХТЕР: А це ще що? Черговий маскарад?

ЯКОБ: Говори з ними і ти їх пізнаєш. Не говоритимеш з ними і не пізнаєш їх. А те, чого не знатимеш, лякатиме тебе. Що тебе лякатиме, те ти знищиш. Те, що ти знищиш, знищить і тебе самого.

РІХТЕР: Що то?

ЯКОБ: Agkistrodon bilineatus.

РІХТЕР: Як?

ЯКОБ: Мексиканська мокасинова змія. З родини отруйних змій. Поганой слави зажила за свою легку збудливість, агресивність та отруйність. – Ця змія, Ріхтере, хотіла б Вас про щось запитати.

РІХТЕР: Стоп! Стоп-стоп-стоп. Зачекай! Мене та гадюка наштовкнула на ідею. – Ми вкладаємо інвестиції. Ми рекультивуємо цей кар'єр і перетворимо його на ковбойсько-індіанський край. Шоу на Дикому Заході з Баффало Біллом 5.0. Завоювання Сходу – ой, що я верзу – завоювання Заходу у живих діорамах. Образи давніх мрій старого світу, можливість на декілька годин втекти з високотехнологічних резервацій. Люди прагнуть видовищ. Легенд. Епічних історій про доблесних героїв. – Роздивіться навколо. 1890 гектарів для найбільшого в світі спектаклю під відкритим небом «Дикий Захід». 1890 гектарів для реконструкції боїв і сутичок, масштабних і малих: валити буйволів, мочити червоношкірих. А після дикого полювання наважитися станцювати в салуні з підтримкою духа Вогняної води. – Ну хіба не блискуча ідея? Та то джек-пот просто! 1000 відсотків виграшу. Ну і звісно – яке шоу без showgirls. А вас я запрошу в шоу головними консультантами фольклорних атракціонів. – І вимагатиму від вас лише одного: щоб своє шоу ви інсценували не менш переконливо, ніж оцей цирковий номер зі змією тут. *(Мокасинова змія кусає Ріхтера двічі, тричі, чотири рази.)*

Вона мене вкусила ... Блять! Ця скотина мене вкусила!

ЯКОБ: Ріхтере, Ви маєте вуха, проте не слухаєте. У Вас є очі, але Ви не дивитесь ними. У Вас є рот, який багато говорить, але нічого не каже. Якщо не хочете танцювати з духами, танцюйте з цією гадюкою. Але Ви таки станцюєте, Ріхтере. (...)

Copyright © henschel SCHAUSPIEL Theaterverlag Berlin GmbH, 2021

[З німецької переклала Христина Назаркевич]

Zombieland. Taniec duchów to historia Abrahama Böhme i jego rodzinnych ziem, zniszczonych przez kopalnictwo odkrywkowe i zmienionych w eldorado dla spekulantów. Powrót wnuka Abrahama, Jacoba, z Ameryki i jego miłość do Sophii, której imię nie jest przypadkowe, rozpoczyna nowy rozdział. Stojący na głowie świat zostaje z powrotem postawiony na nogi – sztuka ma charakter dramatu zemsty i opowieści indiańskiej. Kojot, duch ograbionych istot i ogołoconych krajobrazów, rozprawia się z przybyłą tu na wilcze łowy dwójką zaradców z Gold Investment Bank i koncernu energetycznego Holzweg AG, każąc im tańczyć taniec zombie, dopóki nie znikną.

Osoby:

ABRAHAM BÖHME – szewc

JACOB BÖHME – wnuk Abrahama Böhme

SOPHIA BRESAN – młoda kobieta z okolicy

GREGOR RICHTER – CEO koncernu energetycznego Holzweg AG

GABRIELA HARTMANN – CEO Gold Investment Bank

KOJOT

Miejsce: krajobraz kopalnictwa odkrywkowego

V

Jacob wraca, mocuje dwa zardzewiałe stalowe łańcuchy do kozła oporowego, kajdany na drugim końcu łańcuchów zapięte są na kostkach Richtera i Hartmann.

JACOB: Czas na show! Małą rewię zombie! Richter! Hartmann! Wstawać! Czas na mały Taniec Duchów!

Szarpie jedno i drugie do góry, stawia ich na nogi.

Teraz będziecie tańczyć. Tańczyć, dopóki łańcuchów wzgórz znów nie pokryją łąki i lasy. Tańczyć, dopóki znowu nie stanie tu dom moich pradziadków. Stara kuźnia i zakład szewski. Stodoła, ule, a zaraz obok nich staw, w którym mieszkają żaby. Ogród, gdzie spoczywają umarli. Będziecie tańczyć tak długo, aż znowu nie nastanie tu nasz własny kraniec świata, dopóki szczęście nie będzie znów stałym gościem przy stole dziadka. I Bóg. I oczywiście duchy... Tańczcie!

Richter i Hartmann nie ruszają się.

Choć usłyszeliście moje słowa, nie zrozumieliście ich.

Wykonuje obydwójgu głębokie nacięcie na czole poniżej linii włosów.

Oto jest ból drzew, kiedy wycinacie karby w ich korze i czekacie, aż się wykrwawia. Dwa kolejne nacięcia i z linii prostej AB na waszych czołach powstanie trójkąt ABC – wasze trynitarnie skalpy, które zedrę wam z czaszki, jak wy zdzieracie korę z drzew. Chyba że zajmiecie miejsce zabitych przez was mrówek

i zatańczycie Taniec Duchów. Teraz! Tańczcie swój taniec zombie!

Hartmann i Richter zaczynają robić coś, co można by nazwać tańcem. Łańcuchy uderzają o stare szyny kolejowe, wystukując pewien rodzaj prostego rytmu. Kojot pojawia się znowu, nie wiadomo skąd.

KOJOT: Taką decyzję podjąłeś?

JACOB: Taką decyzję podjąłem: od Tańca Duchów się zaczęło, na Tańcu Duchów teraz się skończy.

KOJOT: Zatem niech tak będzie.

Śpiewa, mówi, szepcze pieśń Tańca Duchów:

He tuwe cha he u keehanni huwo (Kim, jak sądzisz, jest ten, kto nadchodzi)
Hunku okile cha he u huwo (Przychodzi ktoś, kto szuka swojej matki)
Miyaxan chichu we (Tobie poświęcam moje obrzędy)
Chanunpa chichau che (Przynoszę ci fajkę)
Cheyaye wowaglaka che (Przemawiam do ciebie, krzycząc)
Iwahunni (Jestem u kresu)
Wichasha wan nihiyo uye (Przyjdzie człowiek, który cię zabierze)
Wanbeli galeshka wan (Przyleci orzeł plamisty,)
nihiyo uye (który cię zabierze)
Ina he ku ye (Matko, chodź do domu)
Le ogna chanku we (Droga biegnie w tym kierunku)
He tuwe cha he u keehanni huwo (Kim, jak sądzisz, jest ten, kto nadchodzi)
Hunku okile cha he u huwo (Przychodzi ktoś, kto szuka swojej matki)
Miyaxan chichu we (Tobie poświęcam moje obrzędy)
Itđ., itd. Pieśń może trwać dwie minuty, dwie godziny lub dwa dni... Kojot snuje swoje kojocie zawodzenie, łąduje karabin i strzela w powietrze.

Przyleci orzeł plamisty, który cię zabierze. Zwyczajny orzeł plamisty!

(do Jacoba) Trzeba przemyśleć wybór broni. Każda decyzja nieuchronnie prowadzi do następnych decyzji. Nieważne, jaką decyzję podejmiesz – znajomość broni przeciwników zawsze będzie pomocna. Na przykład karabin Gregora Richtera. To broń, jakich wiele. To droga, jak wiele innych. A jednak zapoznaj się z nią. Spróbuj ją zrozumieć; choćby po to, żeby ją odrzucić.

JACOB: Nigdy nie strzelałem z takiego karabinu.

KOJOT: To naucz się.

ABRAHAM: (wychodząc z wozu warsztatowego) Jacob.

KOJOT: Jacob Böhme, widzę cię. *(znika)*

ABRAHAM: Jacob?

JACOB: Tu jestem, dziadku. Tu jestem.

ABRAHAM: Strzelałeś?

JACOB: Nie. To znaczy: tak. Mam karabin Richtera, ale nie wiem, jak się nim posługiwać.

ABRAHAM: (bierze karabin, bada go palcami) Kto nosi broń, prędzej czy później będzie musiał jej użyć. Czy opowiadałem ci historię Reda Clouda, który wspiął się na Bear Butte, żeby tam wyłagać sobie wizję? Cztery dni i cztery noce spędził na tej górze bez jedzenia i picia, zanim przeżył sen na jawie i ukazał mu się Kojot. W jednej ręce miał chanunpę, fajkę pokoju. W drugiej karabin Winchester. „Wybierz chanunpę, a będziesz służył swojemu ludowi jako wielki, mądry orędownik pokoju. Wybierz karabin, a będziesz przewodził swojemu ludowi jako wielki, zwycięski wojownik”. Mówiąc to, Kojot położył obydwie przedmioty na trawie przed Redem Cloudem i zniknął...

Wysłuchuje się w odgłosy wydawane przez Richtera i Hartmann.

Co tych dwoje tam wyprawia?

JACOB: Tańczą.

ABRAHAM: O!

JACOB: Tańczą, żeby znowu padał deszcz i znowu rosła trawa. Tańczą, żeby to pustkowie znowu stało się krainą lasów i łąk, jaką było kiedyś.

ABRAHAM: Rozumiem. A co zrobisz, jeśli nic się nie stanie?

JACOB: Nie wiem. Jeszcze nie wiem.

Przerwa

ABRAHAM: Zawsze, kiedy dręczyło mnie ważne pytanie i nie wiedziałem, co uczynić, patrzyłem w gwiazdy i rozmawiałem z nimi. Gwiazdy widzą wszystko. Patrzą też na nas. Zawsze i wszędzie.

JACOB: I gwiazdy ci odpowiadały?

ABRAHAM: Czasem odpowiadały. Czasem nie. Ale zawsze mnie słuchały.

JACOB: Skąd wiesz, że gwiazdy na nas patrzą?

ABRAHAM: Dziadek mi opowiadał.

JACOB: A skąd twój dziadek to wiedział?

ABRAHAM: Opowiadał mu o tym jego dziadek.

JACOB: Dobrze. Ale ten pierwszy ze wszystkich dziadków, skąd on brał swoją wiedzę o gwiazdach?

ABRAHAM: Przyśniła mu się. Twój pradiadek na przykład. Twój pradiadek był kimś, kogo w dawnych czasach nazywano Niedźwiedzim Szamanem. Niedźwiedź wie, jakie musi zjeść ziola i rośliny, żeby wyzdrowieć. I wie, gdzie je znaleźć. Tą wiedzą

niedźwiedzi lud podzielił się z twoim pradiadkiem, ponieważ w świecie twojego pradiadka człowiek z niedźwiedziem byli sobie równi. I nigdy, przenigdy twój pradiadek nie zapominał o mówieniu niedźwiedziemu ludowi: „dziękuję”. Kiedy musiał opuścić ten świat, twój pradiadek poszedł do lasu i czekał, aż zostanie zabrany przez niedźwiedzie.

JACOB: Ten świat, dziadku, już dawno nie jest światem niedźwiedzi. Ani niedźwiedzych szamanów.

ABRAHAM: Czasami szukamy jeszcze niedźwiedzi w snach. Ale czy niedźwiedzie nas też szukają?

JACOB: Ojciec ich szukał?

ABRAHAM: Jonas? Był Leśnym Gońcem. Kiedy wchodziliśmy do lasu, zawsze kładł się na mchu i wołał: „Drzewa wdychają to, co ja wydycham. Ja wdycham to, co one wydychają. Drzewa to moi dumnie wyprostowani bracia”.

JACOB: Dlaczego ich zdradził?

ABRAHAM: Nie umiem ci powiedzieć. Po śmierci Mary nie rozmawialiśmy ze sobą...

Milczenie

JACOB: Zdecydował się na chanunpę czy na karabin?

ABRAHAM: Nie wybrał jednej z tych rzeczy. Red Cloud wziął obie i próbował je pogodzić.

VI

Sophia wraca ze zbierania ziemiaków, patrzy na Richtera i Hartmann.

SOPHIA: Co oni tam robią?

JACOB: Tańczą Taniec Duchów.

SOPHIA: Ach! Cóż za straszny i piękny widok! Chociaż tańcem bym tego nie nazwała.

JACOB: Nie?

SOPHIA: Wyglądają, jakby obudzili się w nie swoim śnie i nie wiedzieli, dokąd uciekać

ABRAHAM: (łąduje karabin) Sophia! Jacob! Chować się. Kryć się!

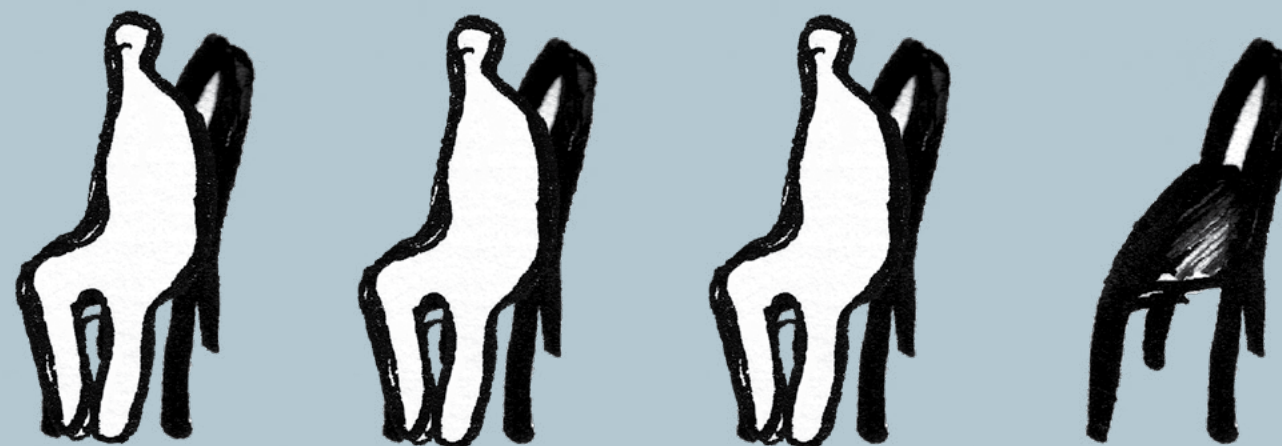
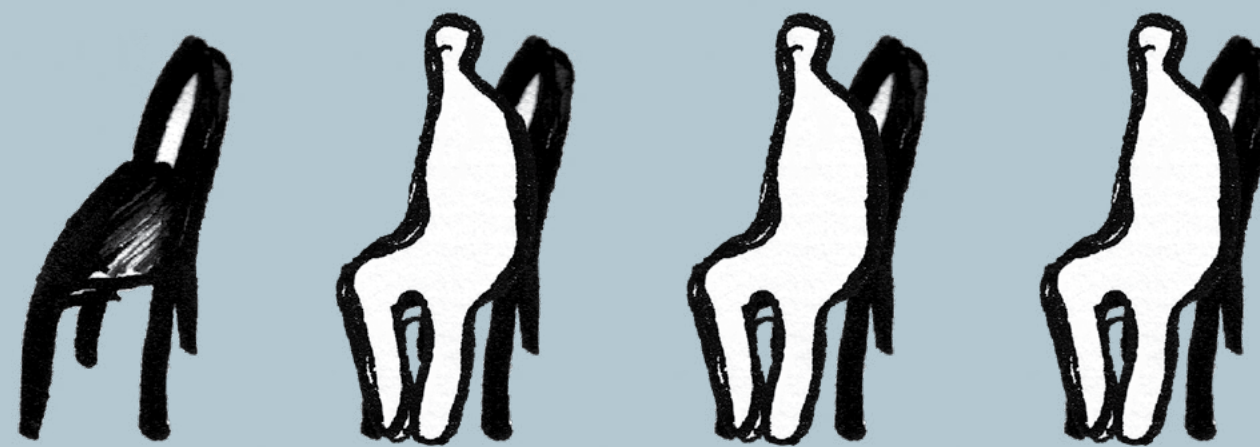
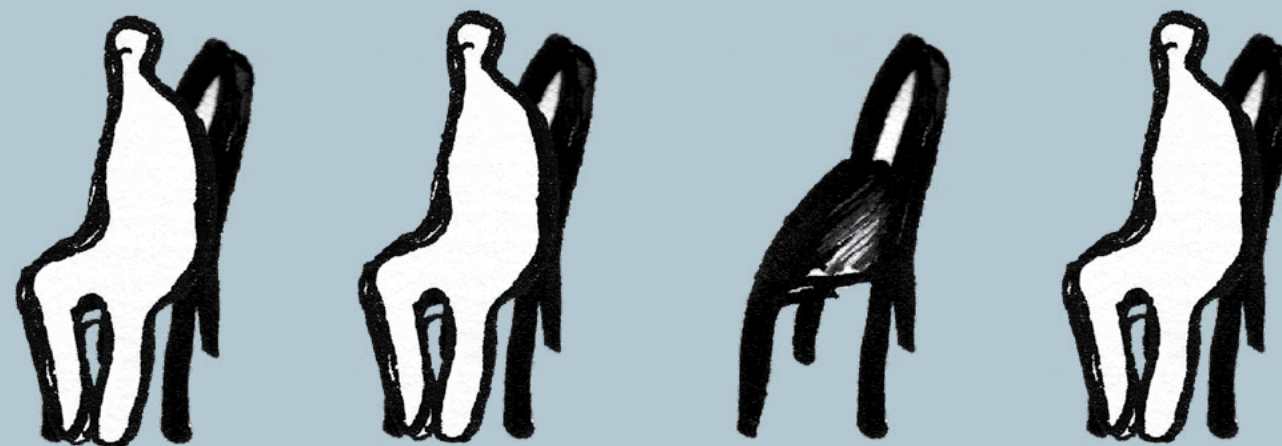
Sophia pociąga Jacoba w dół i przytrzymuje nisko przy ziemi. Abraham stoi bez ruchu i nasłuchuje, celując karabinem w niebo. Słychać szum nadlatującego drona. Abraham strzela, dron spada.

JACOB: Dziękuję. *(pomaga Sophii wstać)*

ABRAHAM: Wszystko w porządku?

JACOB: Dziadku, jak to zrobię? Jednym strzałem!

NIC



ABRAHAM: Odkąd moje oczy przestały odróżniać światło od cienia, widzenie zastępuje mi słuch. Ma to też tę zaletę, że słuch dostrzega nie tylko powierzchnię rzeczy i zjawisk...
(siada obok drona, „ogląda“ go za pomocą rąk)
Groźby i drony. To zawsze dopiero początek. One wrócą. Myśle...

Przerywa w pół zdania i zastyga nieruchomo, jakby czuwał we śnie.

JACOB: Dziadku? Dziadku...

SOPHIA: (kładzie Abrahamowi koc na ramiona) Zostaw go. On śni.

JACOB: Śni?

SOPHIA: O tym, co będzie, co się zdarzy.

JACOB: Nikt nie wie, co się zdarzy.

SOPHIA: Ale się zdarza. Zdarza się w tym momencie. Zdarza się tu i teraz... (całuje Jacoba, długo)

JACOB: Wow! ... Wiedziałem, że wiem, to znaczy, że nikt nie wie, co się zdarzy, ale teraz...

SOPHIA: Teraz?

JACOB: Nic już nie wiem.

SOPHIA: Jacob!

JACOB: Tak?

SOPHIA: Już za pierwszym razem, kiedy Abraham mi o tobie opowiadał, wiedziałam, że chcę na ciebie czekać, aż wrócisz do domu z tej Wyspy Żółwi. Abraham chciał, żebym przeczytała mu jeden z twoich listów, od tego czasu nie zapominałam tych zdań:

„Gdzie podziewają się wspomnienia, kiedy przestajemy pamiętać? Gdzie podziewa się nasz śmiech, nasz płacz, kiedy przestajemy się śmiać, kiedy przestajemy płakać? Gdzie podziewa się to, co określamy jako sny, kiedy przestajemy śnić? A miłość? Gdzie ona się podziewa, kiedy przestajemy kochać? Gdzie podziewają się słowa kryjące się między słowami, kiedy zaczynają same budzić się do życia?...”

JACOB: „...Tego nie wiem, dziadku, ale wiem jedno – że w tym rozchwianym świecie ten tylko znajdzie ostoję, kto sam będzie ostoją dla innych”.

SOPHIA: Z każdą nową historią, jaką Abraham opowiadał mi o tobie, nabierałam pewności, że to ty będziesz moją ostoją, a ja chciałabym być nią dla ciebie. Może na zawsze. Może nie na zawsze. Ale zawsze tu i teraz. Więcej nie mogę ci obiecać.

JACOB: Czy możesz to jeszcze raz powtórzyć?

SOPHIA: Będę twoją ostoją, a ty bądź moją...

JACOB: ...chodziło mi o to, co było wcześniej, czyli o pocałunek.

Jacob i Sophia znowu się całują. Richterowi udaje się uwolnić od knebla.

RICHTER: (przestaje tańczyć) Close of the market. To by było na tyle. Stary człowiek wam powiedział: ten dron był tylko zapowiedzią. Za dziesięć minut zatrzęsie się tu ziemia. Nie da się uciec, donikąd. Nieważne, gdzie i jak będziecie próbować się ukryć: małe czyste cięcie tu, duże czyste cięcie tam. Dane usunięte i koniec wszystkiego. Wypadliście z gry, jakby was nigdy nie było, ani tych waszych płasów z duchami.

JACOB: Lepiej, żeby pan teraz dalej tańczył.

RICHTER: Nie ma nic bardziej żalosego niż przegrany, który nie rozumie, że przegrał. Ty jesteś królem, Jacobie Böhme, królem przegranych, urodzonym, aby przegrywać. And the winner is... Firma Holzweg AG, która operuje na konstytucyjnie umocowanym fundamencie, w zgodzie z prawem i porządkiem. A nawet więcej: to my jesteśmy konstytucją. I my jesteśmy fundamentem.

SOPHIA: Rządy mogą stanowić prawa, które pozwalają na karczowanie lasów, zatrucie wody i powietrza, które wdychamy. Ale te prawa są niczym dla natury. I ona wam za to odpłaci.

RICHTER: Bzdura, dokładnie taka sama, jak wasz Taniec Duchów. Twierdzicie, że te farmazony mają jakąś moc. Dlaczego więc wszyscy ci czerwonoskórzy zwolennicy natury wegetują pijani w swoich rezerwach pomiędzy przerdziałymi wrakami samochodów? Jesteście żałośni, wiedzcie to. Drepczcie w miejscu bez celu. Trudzicie się w imię iluzji.

JACOB: Dlatego zabiliście moją matkę? Za to, że była żalosem? Za to, że wierzyła w iluzje?

Chwyta węzła pełzającego po ziemi i mówi coś do niego szeptem.

RICHTER: Co to ma być? Kolejna pantomima?

JACOB: Rozmawiaj z nimi, a poznasz je. Nie rozmawiaj z nimi, a ich nie poznasz. Ale to, czego nie znasz, będzie napawało cię lękiem. To, czego się lękasz, będziesz chciał zniszczyć. To, co zniszczysz, zniszczy również ciebie.

RICHTER: Co to jest?

JACOB: Agkistrodon bilineatus.

RICHTER: Co?

JACOB: Mokasyn meksykański. Z rodziny grzechotnikowatych. Owiany złą sławą z powodu swojej nadpobudliwości, agresywności, jadowitości. Ten wąż, Richter, chce ci zadać pytanie.

RICHTER: Stop! Stop, stop, stop. Zaczekaj! Ten wąż nasuwa mi pewien pomysł. Zainwestujemy.

Przeprowadzimy rekultywację i zmienimy te odkrywkowe tereny w wesołe miasteczko kowbojsko-indiańskie. Buffalo Bills Wild West Show 5.0. Podbój Wschodu – co ja mówię – podbój Zachodu w żywych dioramach. Dawne wizje starego świata, pozwalające na kilkugodzinną ucieczkę z rezerwatów high-tech. Tym, czego ludzie potrzebują, jest spektakl. Legendy. Epickie opowieści o bohaterach. Rozejrzyjcie się. 1890 hektarów ziemi na największy na świecie spektakl o Dzikim Zachodzie pod gołym niebem. 1890 hektarów, na których można odgrywać bitwy i potyczki, te wielkie i te małe: walczyć z bizonami, zwyciężać czerwonoskórych. A po dzikim polowaniu podlanym wodą ognistą ruszać na tańce do saloonu. Genialne, czyż nie? Sukces murowany! Tysiącprocentowy. Jednak bez tancerek nie ma show. Zatrudniam was jako głównych doradców w sprawach atrakcji turystycznych. I oczekuję od was za to tylko jednej rzeczy: żebyście ten show zainscenizowali tak przekonująco, jak teraz ten numer z wężem.

KAI GREHN – nach Arbeiten als redaktioneller Mitarbeiter, sowie als Regieassistent und Regisseur beim Tanztheater Skoronel, studierte er Theaterregie an der Berliner Hochschule für Schauspielkunst Ernst Busch. Seitdem arbeitet er als freier Autor, Regisseur und Übersetzer für Theater und Rundfunk. Er veröffentlichte Theaterstücke „Gefangenen-Trilogie“, zwei Prosa Bände: „SCHWARZ. Reiseskizzen“ und „FUNKEN oder: So glücklich wie wir ist kein Mensch unter der Sonne“ und Übersetzungen von William Blake, William S. Burroughs, Nick Cave, Emily Dickinson, Walt Whitman, Orson Welles und Antoine de Saint-Exupéry, sowie über 65 Hörspielarbeiten, für die er mehrmals preisgekrönt wurde (u.a. Deutscher Hörbuchpreis, PRIX MARULIC Spezialpreis, Gold Radio Award). 2016 wurde Kai Grehn für seine Prosa mit dem erstmals vergebenen Literaturpreis Mecklenburg-Vorpommern ausgezeichnet.

КАЙ ГРЕН – працював редактором, асистентом і режисером у TanzTheater Skoronel, пізніше вивчав театральну режисуру в Академії драматичних мистецтв Ернста Буша в Берліні. Пише й режисерує для радіо й театру. Опублікував том п'єс „Gefangenen-Trilogie“ і два томи прози – „SCHWARZ. Reiseskizzen“ і „FUNKEN oder: So glücklich wie wir ist kein Mensch unter der Sonne“ – а також переклади Вільяма Блейка, Вільяма С. Берроуза, Ніка Кейва, Емілі Дікінсон, Орсона Уеллса, Уолта Вітмена та Антуана де Сент-Екзюпері та понад 65 радіодрам, за що отримав декілька нагород, у т.ч Deutscher Hörbuchpreis, спеціальний приз Prix Marulic і Gold Radio Award. У 2016 році він став першим лауреатом Літературної премії землі Мекленбург-Передня Померанія.

Mokasyn meksykański kąsa Richtera dwa, trzy, cztery razy.

Ukąsił mnie... Kurwa! Ten gad mnie ukąsił!

JACOB: Ma pan uszy, Richter, ale pan nie słucha. Ma pan oczy, ale pan nie patrzy. Ma pan usta, z których płyną słowa, ale one nic nie znaczą. Jeżeli nie chce pan tańczyć z duchami, niech pan zatańczy z tym wężem. Ale tańczyć, Richter – tańczyć pan będzie.
(...)

Copyright © henschel SCHAUSPIEL Theaterverlag Berlin GmbH, 2021

[Z języka niemieckiego przełożyła Renata Serednicka]

KAI GREHN – pracował jako członek redakcji oraz asystent i reżyser w TanzTheater Skoronel, później studiował reżyserię teatralną w Ernst Busch Academy of Dramatic Arts w Berlinie. Píše i reżyseruje dla radia i teatru. Opublikował tom sztuk „Gefangenen-Trilogie” oraz dwa tomy prozy – „SCHWARZ. Reiseskizzen” i „FUNKEN oder: So glücklich wie wir ist kein Mensch unter der Sonne” – a także tłumaczenia takich autorów jak William Blake, William S. Burroughs, Nick Cave, Emily Dickinson, Orson Welles, Walt Whitman i Antoine de Saint-Exupéry oraz ponad 65 słuchowisk radiowych, za które otrzymał kilka nagród, m.in. Deutscher Hörbuchpreis, nagrodę specjalną Prix Marulic oraz Gold Radio Award. W 2016 roku został pierwszym laureatem Literackiej Nagrody Meklemburgii-Pomorza Przedniego.



ДАРІЯ АЛЬОШКІНА DARIA ALOSZKINA DARIA ALYOSHKINA



КЛЮЧ, ЯКИМ ЩОДНЯ ВІДЧИНЯЮТЬ, НЕ ІРЖАВІЄ KLUCZ UŻYWANY KAŻDEGO DNIA NIE RDZEWIEJE EIN SCHLÜSSEL, DER JEDEN TAG BENUTZT WIRD, ROSTET NICHT

▶ Двоє дятлів (червоний і чорний) – обабіч Дерева Життя. Загадкові величезні комахи, в яких можна вгадати метеликів. Часто – чорно-білий колір, іноді – блакитно-жовта гама. Дивись і відчуваєш спокій. Так виглядають витинанки відомої на весь світ української художниці Дарії Альошкіної.

Її праці відомі в багатьох країнах; були виставлені у США, Канаді, Великій Британії, Швейцарії, Польщі, Франції, Німеччині, Австрії, Бельгії, Італії, Данії, Чехії та багатьох інших державах. Ці витвори також надихають дизайнерів: одна з її витинанок – на обкладинці українського видання журналу «Vogue», а ще вони прикрашали вітрину ексклюзивного бутика «Cartier». Художниця регулярно проводить численні виставки і майстер-класи в Україні та за кордоном, а всі її творчі досягнення та співпрацю було б важко перелічувати – так їх багато.

Дарія Альошкіна віднайшла і по-новому оживила традиційний український жанр народного мистецтва. Витинанка, у традиційному вжитку, була популярна в Польщі та Україні на межі XIX-XX ст. Залежно від регіону виникнення вона відрізняється декоративними мотивами і місцем впливу. Матеріал переважно паперовий, у роботах Дарії також наявний вініл. Формат її витинанок також перевищує умовності: у колекції ми знайдемо як мініатюрні, так і насправду величезні роботи. За їхнім створенням стоїть не лише ідея, але й копітка та ретельна праця. Виконання однієї роботи займає навіть кілька днів і вимагає надзвичайної

точності. Коли виють сирени, а будівлі здригаються до фундаменту від удару нових і нових ракет, важко зосередитися на мистецтві. До початку війни Дарія Альошкіна жила з чоловіком і трьома дітьми у Львові. Зараз мисткиня – у Кракові, де продовжує свою художню творчість, а її діти ходять тут до школи. Ми зустрілися вчасно, бо Дарія постійно подорожує.

Ольга Смольницька: Чи став Краків певною мірою домівкою для Вас і родини? І чому Ви саме тут, а не в іншому місті чи країні
Дарія Альошкіна: У Кракові дуже близько до Львова. Завдяки цьому ми постійно в контакт з Україною,

з тими, хто там залишився. На даний момент я не можу собі уявити, щоб бути десь далеко, я не змогла б поїхати далі. Коли в тебе на руках троє дітей і ти відповідальна за їхнє життя, усе, що має значення, – це позбутися загрози. Виїзд із України був єдиним способом забезпечити їхню безпеку, хоча, покидаючи Батьківщину, я залишила всі проекти. На щастя, це не означало розриву з творчою діяльністю. Я швидко отримувала запрошення від Великої Британії, Німеччини, Чехії та інших країн, де живуть мої клієнти. Також були подальші замовлення моїх робіт.

Інша країна, інший дім, але чи інше життя? Що змінилося і як вони виглядали – особливо на початку?

Перший місяць після переїзду до Польщі був дуже важким. Мені довелося будувати свій світ заново, а усвідомлення, що в моїй країні почалася повномасштабна війна, вплинуло на тематику наступних робіт. Однак я не залишилася пасивною. Польські друзі полегшили мені налагодити співпрацю з краківською мистецькою спільнотою та організувати майстер-класи при Національному музеї (Muzeum Narodowe). Це займало мої думки на початковому етапі та відволікало від подій в Україні. У цих майстер-класах брали участь багато українців-переселенців, тому, працюючи, ми ділилися своїм досвідом і підтримували одне одного. У перший тиждень війни я організувала акцію на підтримку наших Збройних Сил в Україні – кошти, отримані від продажу моїх витинанок, пішли на рації та бронезилети для волонтерів. При цьому я ще прагну продовжити художню діяльність – це не змінилося. Подавання заявок на гранти, участь у конкурсах, фестивалях – ці прозаїчні зусилля дозволили мені виставити власні роботи у Кракові, Варшаві чи Гданську. Улітку я змогла реалізувати проект на тему «Добро» у Варшаві та відкрити персональну виставку в Гдині. Жовтень видався дуже емоційним, бо я їздила в Україну провести низку майстер-класів на підтримку ЗСУ. Ми зібрали кошти на теплі речі для наших воїнів.

Час минає дуже швидко, коли влаштуєшся в нову реальність. Рутину зазвичай уривається екстремальними подіями: моментами невимовного щастя або відчаю. Чи в ці місяці, які Ви провели в Польщі, був такий досвід-блискавка, який порушував спокій?

У день відкриття виставки у Гдині був ракетний обстріл Вінниці – міста, звідки моє коріння, у центральній частині України. Загинули люди. Це був надзвичайно важкий день; під час виступу, на відкритті, промовляючи вступне слово, я не змогла стримати сліз. Я пережила дуже великий контраст емоцій: біль, горе, сум – і водночас як господиня цього заходу мусила піклуватися про гостей, які усміхнені, п'ють вино. Це було непросто.

Повернімося до витинанки як техніки, виду мистецтва. Який початок або джерело Вашої художньої діяльності?

Мої батьки, які прищепили любов до мистецтва та традицій. А витинанка – і те, і друге.

Що виражають роботи Дарії Альошкіної? Чи є в них символіка, яка постійно повертається?

Говорячи про джерела і символи, треба сказати про воду. Вода з найдавніших часів вважалася джерелом всякого життя. Місця її природних витоків – річки, озера та джерела – часто мали статус святих місць. У багатьох міфах і легендах, незалежно від регіону, вода існувала ще до створення світу – у вигляді первісного, нескінченного моря. Саме з неї, за волею богів, з'явилися земля, сонце і всі живі істоти. Вода є символом вічності й водночас метафоризуєплинність часу. У центрі моїх витинанкових композицій – жінка-берегиня, оточена атрибутами води. Вона уособлює володарку неба та всієї природи, а одночасно – і господиню небесних вод, пов'язаних із родючістю. Водна стихія символічно зображається прямими чи хвилястими лініями, або ж так званим «безконечником». І як архетип, і як фізична субстанція мені дуже близька вода: у дитинстві я жила самої біля річки. Мене будили її плюскіт і спів птахів, я засинала під кумкання жаб і шум очерету. Щодня я сиділа на березі річки та милувалась її величністю. Вода, яка тече тут, знає багато таємниць; у ній заховані невідомі нам мови риб та інших водяних мешканців. Найбільше відновлення сил надає саме вода: купання в річці відновлює вашу душу і тіло краще, ніж будь-що.

Отже, чи можна знайти воду на Ваших витинанках?

Звісно. Особливо на трьох витинанках, що утворюють своєрідний триптих про річки, нагадуючи, що ми маємо дбати про них і не дати їм засохнути. Жити в гармонії з водною стихією має бути для нас у природі речей. Цей триптих задуманий як оберег, у центрі якого – жінка – річкова богиня. На першій витинанці вона зображена з птахами. Друга – з рибами та зміями. Третя пов'язує жінку з деревом життя, з яким вони утворюють єдність.

Як витинанки, що спираються на традицію та історію України, резонують у Польщі? Чи є відгомін на їхні послання?

Осінь розпочалася великою виставкою витинанок у Кракові, у самому центрі міста. Я представила ряд нових робіт великого формату, присвячених подіям останніх місяців – так з'явилися витинанки «Жінка-Воїн», «Незламна», а також композиція, зіткана із тризубів, яка зараз експонується у Швейцарії в церкві. Ще один великий проект, який вийшло реалізувати з нагоди Фестивалю Трьох Культур (Festiwal Trzech Kultur), розташований у Влодаві, поблизу Любліна. Це «Джерело», яке виставлялося просто неба, у формі трипанно витинанок, кожна – розміром 110 см x 250 см.

Розкажіть: завдяки чому Ви отримуєте снагу? Ваша життєва і мистецька філософія?

Життєва філософія – діяти! Ключ яким щодня відчиняють, не іржавіє – тому ми маємо робити свою власну справу щодня. Можливо, результату не буде видно одразу, але міне місяць, три, рік, п'ять років – і ви отримаєте те, що хотіли. Рух – це життя, а мистецтво саме по собі – це ліки для душі.

Краків, осінь 2022



© Daria Aloszkińa

Dwa dzięki, czerwony i czarny, po obu stronach drzewa życia. Tajemnicze ogromne owady, w których domyślać się można motyli Najczęściej w czerni i bieli, czasem, wyjątkowo, w odświeżeniu niebiesko-żółtej. Patrząc i czujesz spokój. Takie są wycinanki ukraińskiej artystki światowej sławy Darii Aloszkiny.

Jej prace znane są właściwie na całym świecie; były wystawiane w USA, Kanadzie, Wielkiej Brytanii, Szwajcarii, Polsce, Francji, Niemczech, Austrii, Belgii, Włoszech, Danii, Czechach i w wielu innych krajach. Są też inspiracją dla projektantów – jedna z nich zdobi okładkę ukraińskiego wydania „Vogue”, a inna wkomponowana jest w witrynę ekskluzywnego butików Cartier. Artystka regularnie prowadzi kursy mistrzowskie w Ukrainie i za granicą, a wszystkie jej kolaboracje twórcze trudno byłoby wymieniać – jest ich zbyt wiele.

Daria Aloszkina na nowo odkryła i ożywiła tradycyjny ukraiński gatunek sztuki ludowej. Wycinanka zdobyła popularność w Polsce i Ukrainie na przełomie XIX i XX wieku. Wykorzystywane w niej motywy i miejsce jej wyeksponowania różnią się w zależności od regionu. Tradycyjnie wykonuje się je z papieru, choć w pracach Darii obecny jest także winyl. Format jej wycinanek także przekracza konwencje – w kolekcji znajdziemy zarówno prace miniaturowe, jak i te naprawdę ogromne. Za ich powstaniem stoi nie tylko pomysł, ale także ciężka i czasochłonna praca. Wykonanie jednego dzieła zajmuje nawet kilka dni i wymaga niezwykłej precyzji. Kiedy wyją syreny, a budynki drżą w posadach pod ostrzałem rakietowym, trudno skupić się na sztuce. Przed wybuchem wojny Daria Aloszkina mieszkała z mężem i trójką dzieci w Lwowie. Teraz przebywa w Krakowie, gdzie kontynuuje pracę artystyczną, a jej dzieci chodzą tu do szkoły. Spotykamy się punktualnie, bo Daria nieustannie podróżuje.

Olga Smolnytska: Czy Kraków stał się domem dla Ciebie i Twojej rodziny? Dlaczego jesteście właśnie tutaj, a nie innym mieście czy kraju?

Daria Aloszkina: Kraków jest bardzo blisko Lwowa. Dzięki temu jesteśmy w stałym kontakcie z Ukrainą, z tymi którzy tam zostali. W tej chwili nie wyobrażam sobie być gdzieś dalej, nie potrafiłabym pokonać jeszcze

dłuższej drogi. Kiedy trzymasz trójkę dzieci w ramionach i jesteś odpowiedzialny za ich życie, to liczy się tylko odsunięcie zagrożenia. Wyjazd z Ukrainy był jedynym sposobem zapewnienia im bezpieczeństwa, choć uciekając zostawiłam za sobą wszystkie projekty. Na szczęście nie oznaczało to zerwania z działalnością twórczą. Szybko otrzymałam zaproszenia z Wielkiej Brytanii, Niemiec, Czech i innych krajów, gdzie mieszkają moi klienci. Pojawiały się też kolejne zamówienia na moje prace.

Inny kraj, inny dom, ale czy życie inne? Co się zmieniło i jak wyglądały początki?

© Daria Aloszkina



© Daria Aloszkina

Pierwszy miesiąc po przeprowadzce do Polski był bardzo trudny. Musiałam zbudować swój świat od nowa, a świadomość, że w moim kraju rozpoczęła się wojna na pełną skalę, wpłynęła na temat kolejnych prac. Nie pozostałam jednak bierna. Polscy przyjaciele ułatwili mi nawiązanie współpracy z krakowskim środowiskiem artystycznym, organizując kursy mistrzowskie w Muzeum Narodowym. To zajęło moje myśli w tej początkowej fazie i odciągnęło je od wydarzeń w Ukrainie. W kursach wzięło udział wielu ukraińskich imigrantów, więc pracując wspólnie dzieliliśmy się doświadczeniami i wspieraliśmy nawzajem. W pierwszym tygodniu wojny zorganizowałam też akcję wsparcia dla naszych oddziałów w Ukrainie – środki uzyskane ze sprzedaży moich wycinanek zostały

przeznaczone na krótkofalówki i kamizelki kuloodporne dla wolontariuszy. Jednocześnie w dalszym ciągu zabiegam o możliwość kontynuowania działań artystycznych – to się nie zmieniło. Aplikowanie o granty, udział w konkursach i festiwalach – te prozaiczne wysiłki pozwoliły mi pokazać swoje prace w Krakowie, Warszawie czy Gdańsku. Latem udało mi się zrealizować projekt pod hasłem „Dobro” w Warszawie i otworzyć indywidualną wystawę w Gdyni. Październik okazał się bardzo emocjonujący, ponieważ pojechałam na Ukrainę przeprowadzić szereg warsztatów wspierających Siły Zbrojne Ukrainy. Zbieraliśmy fundusze na ciepłe ubrania dla naszych żołnierzy.

Czas płynie bardzo szybko, kiedy zadamowisz się w nowej rzeczywistości. Rutynę przerywają zwykle wydarzenia ekstremalne: chwile nieopisanego szczęścia czy rozpacz. Czy w ciągu tych miesięcy spędzonych w Polsce pojawiły się takie doświadczenie piorunujące, burzące spokój?

W dniu otwarcia wystawy w Gdyni doszło do ataku rakietowego na Winnicę, moje rodzinne miasto, znajdujące się w środkowej części Ukrainy. Zginęli ludzie. To był niezwykle trudny dzień; podczas przemówienia na wernisażu nie mogłam powstrzymać łez. Doświadczałam intensywnych emocji – bólu, żalu, smutku – a jednocześnie, jako gospodyni tego wydarzenia, czułam się w obowiązku zadbać o gości, którzy śmieją się i piją wino. Nie było łatwo.

Wróćmy jeszcze do wycinanki jako techniki i formy artystycznej. Jak jest źródło Twojej działalności twórczej?

Są nim moi rodzice, którzy zaszczepili we mnie miłość do sztuki i tradycji. A wycinanka jest jednym i drugim.

Co wyrażają prace Darii Aloszkiny? Czy jest w nich zawarta jakaś symbolika, która konsekwentnie powraca?

Jeśli mówimy o źródłach i symbolach, to przede wszystkim trzeba wspomnieć o wodzie. Woda od czasów starożytnych uważana jest za przyczynę wszelkiego życia. Miejsca jej naturalnego występowania – rzeki, jeziora i źródła – często miały status miejsc świętych. W wielu mitach i legendach, niezależnie od regionu, woda istniała jeszcze przed stworzeniem świata – w postaci pierwotnego, nieskończonego morza. Dopiero z niego, z woli bogów, wyłoniły się ziemia, słońce i wszystkie żywe istoty. Woda jest symbolem wieczności i jednocześnie metaforą upływu czasu. W centrum kompozycji moich wycinanek znajduje się postać opiekunki (ukr. berehynia), wyposażona w atrybuty wody. Uosabia ona władczynię nieba i całej natury, która jest równocześnie panią niebiańskich wód, związanych z płodnością. Żywioły wody symbolicznie przywołują proste lub faliste linie, lub tak zwane „bezkoneczniki (ukr. bezkonechnyk)”. Zarówno jako archetyp, jak i w postaci fizycznej substancji, woda jest mi bardzo bliska – jako dziecko mieszkałam nad samą rzeką. Budził mnie plusk wody i śpiew ptaków, zasypiałam przy rechocie żab i szumie trzciny. Codziennie siadałam na brzegu rzeki i podziwiałam jej majestat. Woda płynąca w rzece zna wiele sekretów; skrywa w sobie nieznane nam języki ryb i innych wodnych stworzeń. Jest też rewelacyjnym sposobem na uzupełnienie energii wewnętrznej – pływanie w rzece regeneruje ciało i umysł lepiej niż cokolwiek innego.

W Twoich wycinankach znajdziemy więc wodę?

Oczywiście. Zwłaszcza w trzech wycinankach, które tworzą tryptyk dedykowany rzekom, przypominając, że musimy dbać i zapobiegać ich wysychaniu. Życie w harmonii z żywiołem wody powinno być dla nas czymś naturalnym. Ten tryptyk jest pomyślany jako amulet albo talizman, w którego centrum jest kobieta – bogini rzeczna. Pierwsza wycinanka przedstawia ją w otoczeniu ptaków. Druga – ryb i węży. Trzecia łączy ją z drzewem życia, wraz z którym tworzą jedność.

Jak wycinanki czerpiące z tradycji i historii Ukrainy rezonują w Polsce? Czy ich przesłanie znajduje oddźwięk?

Jesień zaczęła się od dużej wystawy wycinanek w Krakowie, w samym centrum miasta. Zaprezentowałam nowy cykl wielkoformatowych prac poświęconych wydarzeniom ostatnich miesięcy. W jego skład weszły m.in. prace zatytułowane „Wojownicza” i „Niezniszczalna”, a także kompozycja z wykorzystaniem trzójzębu, która teraz wystawiona jest w kościele w Szwajcarii. Kolejny duży projekt, który został zrealizowany przy okazji Festiwalu Trzech Kultur, znajduje się we Włodawie, niedaleko Lublina. To „Źródło” („Dzherelo”), które eksponowane było na otwartej przestrzeni jako trzy panele wycinanek, każdy o wymiarach 110 cm x 250 cm.

Z czego czerpiesz siłę? Jaka jest Twoja filozofia życia i artystyczna?

Moją filozofią życia jest działanie! Klucz używany codziennie nie rdzewieje – tak samo my codziennie powinniśmy robić swoje. Być może rezultat nie będzie widoczny od razu, ale minie miesiąc, rok, pięć lat – i dostaniesz to, czego chcesz. Ruch to życie, a sztuka sama w sobie jest lekarstwem dla duszy.

Kraków, jesień 2022

[Z języka ukraińskiego przełożyła Olga Smolnytska]

Zwei Spechte, rot und schwarz, auf beiden Seiten des Lebensbaums. Mysteriöse Rieseninsekten, bei denen man Schmetterlinge vermutet. Meistens in schwarz-weiß, manchmal ausnahmsweise auch in einer blau-gelben Version. Du schaust und wirst von einer plötzlichen Seelenruhe überwältigt. Das sind die Scherenschnitte der weltberühmten ukrainischen Künstlerin Daria Alyoshkina.

Ihre Werke sind praktisch in der ganzen Welt bekannt; sie wurden in den USA, Kanada, Großbritannien, der Schweiz, Polen, Frankreich, Deutschland, Österreich, Belgien, Italien, Dänemark, der Tschechischen Republik und vielen anderen Ländern ausgestellt. Auch Designer lassen sich von ihnen inspirieren – einer ihrer Scherenschnitte zierte das Titelblatt der ukrainischen Ausgabe der Vogue, ein anderer ist in das Schaufenster einer exklusiven Cartier-Boutique hineinkomponiert. Die Künstlerin gibt regelmäßig Meisterkurse in der Ukraine und im Ausland. Es wäre schwierig, alle ihre kreativen Kooperationen aufzuzählen – es gibt zu viele.

Daria Alyoshkina hat das traditionelle Genre der ukrainischen Volkskunst wiederentdeckt und neu belebt. Der Scherenschnitt wurde um die Wende zum 20. Jahrhundert in Polen und der Ukraine populär. Die darin verwendeten Motive und der Ort, an dem sie ausgestellt werden, sind von Region zu Region unterschiedlich. Traditionell werden sie aus Papier hergestellt, aber auch Vinyl findet sich in ihren Werken. Das Format ihrer Scherenschnitte sprengt alle Konventionen – die Sammlung umfasst sowohl Miniaturwerke als auch solche, die wirklich riesig sind. Hinter ihrer Entstehung steckt nicht nur eine Idee, sondern auch harte und zeitaufwändige Arbeit. Die Herstellung eines einzigen Kunstwerks dauert bis zu mehreren Tagen und erfordert außerordentliche Präzision. Bei heulenden Sirenen und unter Raketenbeschuss, der die Gebäude bis in ihre Grundfesten erschüttert, ist es schwierig, sich auf die Kunst zu konzentrieren. Vor dem Ausbruch des Krieges lebte Daria Alyoshkina mit ihrem Mann und ihren drei Kindern in Lemberg. Heute wohnt sie in Krakau, wo sie ihre künstlerische Arbeit fortsetzt und ihre Kinder zur Schule gehen. Wir treffen uns pünktlich, weil Daria ständig auf Reisen ist.

Olga Smolnytska: Ist Krakau für dich und deine Familie zur Heimat geworden? Warum sind wir hier und nicht in einer anderen Stadt oder einem anderen Land?

Daria Alyoshkina: Krakau ist ganz in der Nähe von Lemberg. Deshalb sind wir in ständigem Kontakt mit der Ukraine, mit denen, die dort geblieben sind. Im Moment kann ich mir nicht vorstellen, irgendwo weiter weg zu sein, ich könnte nicht noch weiter reisen. Wenn du drei Kinder in den Armen hältst und für ihr Leben verantwortlich bist, geht es darum, die Gefahr abzuwenden. Die Ukraine zu verlassen war die einzige Möglichkeit, sie in Sicherheit zu bringen, obwohl ich mit meiner Flucht alle meine Projekte zurückgelassen habe. Zum Glück bedeutete das keine Pause in der kreativen Tätigkeit. Ich erhielt schnell Einladungen aus Großbritannien, Deutschland, der Tschechischen Republik und anderen Ländern, in denen meine Kunden leben. Es tauchten auch weitere Aufträge für meine Arbeiten auf.

Ein anderes Land, ein anderes Zuhause, aber ist das Leben anders? Was hat sich verändert und wie waren die Anfänge?

Der erste Monat nach dem Umzug nach Polen war sehr schwierig. Ich musste meine Welt von Grund auf neu aufbauen, und die Erkenntnis, dass in meinem Land ein Krieg im vollem Umfang ausgebrochen war, beeinflusste das Thema der nachfolgenden Arbeiten. Ich blieb jedoch nicht passiv. Meine polnischen Freunde erleichterten mir die Zusammenarbeit mit der Krakauer Kunstszene, indem sie Meisterkurse im Nationalmuseum organisierten. Das hat meine Gedanken in dieser Anfangsphase beschäftigt und sie von den Ereignissen in der Ukraine abgelenkt. Viele ukrainische Einwanderer nahmen an den Kursen teil, so dass wir gemeinsam Erfahrungen austauschen und uns gegenseitig unterstützen konnten. In der ersten Kriegswoche organisierte ich außerdem eine Kampagne zur Unterstützung unserer Truppen in der Ukraine – die Einnahmen aus dem Verkauf meiner Scherenschnitte flossen in Funkgeräte und kugelsichere Westen für die Freiwilligen. Gleichzeitig bemühe ich mich weiterhin um Möglichkeiten, meine künstlerischen Aktivitäten fortzusetzen – das hat sich nicht geändert. Die Beantragung von Zuschüssen, die Teilnahme an Wettbewerben und Festivals – diese alltäglichen Bemühungen haben es mir ermöglicht, meine Arbeiten in Krakau, Warschau

oder Danzig zu zeigen. Im Sommer konnte ich ein Projekt namens „Gutes“ in Warschau realisieren und eine Einzelausstellung in Gdynia eröffnen. Der Oktober war sehr aufregend, da ich in die Ukraine reiste, um eine Reihe von Workshops zur Unterstützung der ukrainischen Streitkräfte durchzuführen. Wir haben Geld für warme Kleidung für unsere Soldaten gesammelt.

Die Zeit vergeht sehr schnell, wenn du dich in einer neuen Realität eingelebt hast. Die Routine wird meist durch extreme Ereignisse unterbrochen: Momente unbeschreiblichen Glücks oder Verzweiflung. Gab es während dieser Monate in Polen irgendwelche besonders bewegende, friedenserschütternde Erfahrungen? Am Tag der Eröffnung der Ausstellung in Gdynia gab es einen Raketenangriff auf

Winnycja, meine Heimatstadt in der Zentralukraine. Menschen wurden getötet. Es war ein extrem schwieriger Tag; ich konnte meine Tränen nicht zurückhalten, als ich bei der Eröffnung sprach. Ich erlebte intensive Gefühle – Schmerz, Leid, Traurigkeit – und gleichzeitig fühlte ich mich als Gastgeberin der Veranstaltung verpflichtet, mich um die Gäste zu kümmern, die lachten und Wein tranken. Es war nicht einfach.

Kommen wir zu den Scherenschnitten als Technik und Kunstform zurück. Was ist die Quelle deiner kreativen Tätigkeit? Es sind meine Eltern, die mir die Liebe zur Kunst und zur Tradition eingeflößt haben. Die Scherenschnitte sind beides.

Was drücken die Werke von Daria Alyoshkina aus? Gibt es eine Symbolik in ihnen, die immer wieder auftaucht?

Wenn wir von Quellen und Symbolen sprechen, dann muss zuallererst das Wasser erwähnt werden. Wasser wird seit der Antike als Ursprung des Lebens angesehen. Die Orte seines natürlichen Vorkommens – Flüsse, Seen und Quellen – hatten oft den Status von heiligen Orten. In vielen Mythen und Legenden, unabhängig von der Region, existierte das Wasser schon vor der Erschaffung der Welt – in Form eines ursprünglichen, unendlichen Meeres. Erst durch den Willen der Götter sind daraus die Erde, die Sonne und alle Lebewesen hervorgegangen. Wasser ist ein Symbol für die Ewigkeit und gleichzeitig eine Metapher für das Vergehen der Zeit. Im Zentrum der

Komposition meiner Scherenschnitte steht die Figur der Behüterin (ukr. Berehynia), ausgestattet mit den Attributen des Wassers. Sie verkörpert die Herrin des Himmels und der gesamten Natur, die auch die Herrin der himmlischen, mit der Fruchtbarkeit verbundenen Gewässern ist. Das Element Wasser wird symbolisch durch gerade oder gewellte Linien, die auf Ukrainisch „bezkonechnyk“ genannt werden. Sowohl als Archetyp als auch in Form einer physischen Substanz steht mir das Wasser sehr nahe – als Kind habe ich direkt am Fluss gelebt. Das Plätschern des Wassers und der Gesang der Vögel weckten mich auf und ich schlief zum Quaken der Frösche und dem Rauschen des Schilfs ein. Jeden Tag saß ich am Flussufer und bewunderte seine Erhabenheit. Das Wasser, das im Fluss fließt, kennt viele Geheimnisse; es verbirgt unbekannte



© Daria Alyoshkina

Sprachen von Fischen und anderen Wasserlebewesen. Es ist auch eine großartige Möglichkeit, die innere Energie wieder aufzutanken – das Schwimmen im Fluss regeneriert den Körper und den Geist besser als alles andere.

Wir finden also Wasser in deinen Scherenschnitten? Ja, natürlich. Besonders in den drei Scherenschnitten, die ein Triptychon bilden, das den Flüssen gewidmet ist

und uns daran erinnert, dass wir sie pflegen und vor dem Austrocknen bewahren müssen. Es sollte für uns selbstverständlich sein, in Harmonie mit dem Element Wasser zu leben. Dieses Triptychon ist als Amulett oder Talisman konzipiert, in dessen Zentrum eine weibliche Flussgöttin steht. Der erste Scherenschnitt zeigt sie umgeben von Vögeln, der zweite – von Fischen und Schlangen. Der dritte verbindet sie mit dem Baum des Lebens, mit dem sie eine Einheit bildet.

Wie wirken die Scherenschnitte aus der ukrainischen Tradition und Geschichte in Polen? Findet ihre Botenschaft Anklang?

Der Herbst begann mit einer großen Ausstellung von Scherenschnitten in Krakau, mitten im Zentrum der Stadt. Ich präsentierte eine neue Reihe von großformatigen Arbeiten, die den Ereignissen der letzten Monate gewidmet sind. Darunter waren Werke mit den Titeln „Kriegerin“ und „Unzerstörbare“ sowie eine Komposition mit einem Dreizack, die jetzt in einer Kirche in der

Schweiz ausgestellt ist. Ein weiteres großes Projekt, das anlässlich des Festivals der drei Kulturen realisiert wurde, befindet sich in Włodawa, in der Nähe von Lublin. Es ist die „Quelle“ („Dzherelo“), die in einem offenen Raum als drei Paneele mit Scherenschnitten ausgestellt wurde, jedes 110 cm x 250 cm groß.

Sag uns, woraus schöpfst du deine Kraft? Was ist deine Philosophie des Lebens und der Kunst?

Meine Lebensphilosophie ist Handeln! Ein Schlüssel, der jeden Tag benutzt wird, rostet nicht – genauso sollten wir jeden Tag unser eigenes Ding machen. Du siehst das Ergebnis vielleicht nicht sofort, aber ein Monat, ein Jahr, fünf Jahre werden vergehen – und du wirst bekommen, was du wolltest. Bewegung ist Leben, und die Kunst selbst ist Medizin für die Seele.

Krakau, Herbst 2022

[Aus dem Polnischen von Jessica Röschlau-Radecka]

ДАРІА АЛЬОШКІНА – скульпторка, графічка, театральна режисерка. Народилася в Києві в 1982 році в сім'ї скульпторів. Дитинство провела на Вінниччині. Закінчив Вишницький коледж прикладного мистецтва ім. В. Я. Шкрябляка (м. Вишниця, Чернівецька обл.) та Львівську національну академію мистецтв (магістр за спеціальністю монументально-декоративна скульптура). З 1996 року художниця бере участь у виставках як скульптор. Брала участь у понад тридцяти симпозиумах скульпторів в Україні, Польщі та Литві.

DARIA ALYOSHKINA – Bildhauerin, Grafikerin und Theaterregisseurin. Sie wurde 1982 in Kiew in eine Bildhauerfamilie hineingeboren. Ihre Kindheit verbrachte sie in der Region Winnyzja. Sie machte ihren Abschluss an der Hochschule für angewandte Künste in Wyschnyzja, die nach Wasyl Szkrybliak benannt ist, und an der Nationalen Akademie der Kunst in Lwiw mit einer Spezialisierung in monumental-dekorativer Bildhauerei. Seit 1996 stellt sie ihre bildhauerischen Werke aus. Sie hat an mehr als dreißig Bildhauersymposien in der Ukraine, Polen und Litauen teilgenommen.

DARIA ALOSZKINA – rzeźbiarka, graficzka i reżyserka teatralna. Urodziła się w Kijowie w 1982 roku w rodzinie rzeźbiarzy. Dzieciństwo spędziła w obwodzie winnickim. Ukończyła Wyżnią Szkołę Sztuk Użytkowych im J. Szkrybliaka i Lwowską Narodową Akademię Sztuki na specjalności rzeźba monumentalno-dekoracyjna. Prace rzeźbiarskie wystawia od 1996 roku. Brała udział w ponad trzydziestu sympozjach rzeźbiarskich na Ukrainie, w Polsce i na Litwie.

Ксенія Харченко Ksenia Charczenko Kseniya Kharchenko

СТОЛИКУ, НАКРИЙСЯ STOLICZKU, NAKRYJ SIĘ TISCHLEIN, DECK DICH

► Штефан сказав, що цей стіл точно влізе в трамвай. Ми зустрілися біля зупинки, і він ще раз уточнив, чи правильно я зрозуміла, що означає слово “патина”.

– Якщо йому дійсно сімдесят років – ще й за таку ціну!

– то лак навряд чи в доброму стані, – припустив він.

– Я знаю. Я так і хочу.

І стіл мені дійсно сподобався. Глибока тріщина розрізала лак тільки в одному місці, та й візерунок на дереві привертав значно більше уваги, ніж цей недолік, який я б назвала “слідом”. Згодом я купила ще ліжко, комод, лампу і тумбу (Штефан сказав, що я нагадую йому тітку Уте – бракує тільки серветок із вишивкою) – сліди людей, які володіли цими меблями до мене, і, звісно ж, кількох десятків років від часу виробництва були скрізь, проте мене це, на диво, не бентежило. На відміну від слідів на дитячих меблів

– їх я щосили намагалася позбутись: замальовувала, заклеювала, затирала.

Що ж до столу, то масивні ніжки ідеально вписувалися в компактний розмір. “Його цілком могла б підняти і одна людина”, – сказав продавець, коли я вперше йому зателефонувала. Я спершу зраділа, що могла б впоратися сама, але потім таки попросила про допомогу. Штефан одразу погодився, і я сприй-

няла це як знак, що сьогодні мене ще не проженуть. Це було тривожне, нав'язливе відчуття. Мені хотілося стати людиною, чие товариство буде бажане, а не вимушене. Я страшенно боялася відштовхнути тих, від кого залежу буквально в усьому: житло, документи, дитячий садок, лікарі, парковка. Звісно, я хотіла, щоб мене полюбили. Нас – разом із моєю дитиною.

Ця покупка означила якийсь поворот: немовби з рівня найпотрібнішого і найдешевшого – такого, що не шкода буде лишити, якщо знову доведеться кудись переїжджати, – я перейшла на той рівень, де існує вибір. Де можна обрати те, що мені подобатиметься, а не лише закриватиме основні потреби. Звісно, 45 євро за 70-річний стіл – або несамовите щастя, або компроміс. Та я вважала це хорошим стартом, адже мені треба було повністю вмеблювати квартиру, яку Штефан називав “довготерміновим рішенням”. Отже, він не збирається від мене відмовлятися. Це хвилювало навіть мене більше, ніж те, що я була так далеко від дому.

Від нервів я стаю надзвичайно говіркою, часто посміхаюся. Стіл був такий важкий, що ми обоє час від часу зупинялися й відсапувалися, але я не замовкала. У вагоні трамвая ми зі Штефаном сіли за мій новий стіл. Я вдавала, ніби п'ю каву з тістечком: він сміявся, інших пасажирів це теж веселило. Мені було приємно поринути в цю невеличку пригоду, яка насправді почалася з полуниці в парку. А вже після того, як я завез-

ла сина в дитсадок, до зустрічі з продавцем лишалося ще хвилин сорок. Я трохи прогулялася, купила ягід і прилягла на вигнутій лавці. Цей літній ранок обіцяв жаркий день – і дійсно, невдовзі прийде 40-градусне пекло, про що я поки не знала. Мені треба було заспокоїтись.

У парку було шість лавок, двоє хлопців сіли поряд зі мною, по периметру з різною швидкістю прогулювалися трое собачників. Я відчувала, як запах ягід перебиває сморід сміттевоза. Глянула на годинник і почала хвилюватись, що марную цей дорогоцінний час, просто сидячи на лавці, – удруге за три місяці сама на вулиці без своєї п'ятирічної дитини – “у зв'язку з господарськими обставинами”. Віднедавна я щоранку завозила Гордія в садок – тим самим трамбуємо, у який сьогодні збиралася використати для перевезення меблів, – а потім одразу їхала на роботу. Отак на самоті я вперше опинилась наприкінці квітня – тоді мій син уже міг залишитися в садку без мене. “Спробуймо поки на три години, до обіду”, – запропонувала вихователька. Я хотіла відпочити, але натомість гарячково вирішувала, що саме маю встигнути за цей час, і водночас відчувала, як поволі розслаблююсь.

Того ранку я – тепер уже “як звичайно” – вийшла на своїй зупинці, купила булочку в пекарні за рогом і зупинилась на пішохідному переході. І раптом почула звук, схожий на вибух. Насправді це розірвалось колесо від машини абощо, бо одразу ж завищала сигналізація. Я закричала раз, потім два, потім три. Випустила з рук пакет із хлібом. Присіла, обхопила голову руками і заплакала.

Уже зараз, коли все минуло, я не вірю, що це сталося насправді. Ніби не зі мною. Біля мене зупинилося кілька людей. Якийсь чоловік сказав: “Не бійся, не бійся, нічого не сталося. Це всього лиш авто”. Якась жінка підхопила мене за руку і запитала, де я живу. Виявилось, що ми з нею сусідки. Вона назвала номер своєї квартири і поверх – і додала, що треба піднятися на два прольоти по двадцять чотири сходинки. Я відповіла, що залишусь на вулиці й чекатиму на свого друга прямо біля вхідних дверей. Мені було страшно – я не хотіла розповідати про себе зайвих подробиць. Ця жінка запитала, звідки я. Я відповіла, що з України. Тоді вона сказала, що це минає — і що вона в цьому впевнена, бо свого часу приїхала з Югославії. Ясміна – так її звали – руками обводила своє тіло і повторювала *gesund, gesund*, що означає “здоровий”. Я набрала Штефана і довго плакала в слухавку. Він так само довго слухав мене і заспокоював. “Тепер ти в безпеці”, – повторював він.

Я застала три дні війни. Два місяці до цього мене аж підкидало від тривоги. Я пакувалася і розпаковувалася, тричі саджаючи свого сина в машину зі словами, що “ми їдемо у відпустку”, хоча ж чесно намагалася пояснювати все згідно з рекомендаціями щодо того, як говорити з дітьми про війну. Обдзвонювала комунальні служби, розпитуючи про бомбосховища. У підвалі нашого будинку обладнали бойлерну, і сусіди потім зірвали замок, щоб ховатися серед труб

із окропом. Я ж тим часом стояла в багатогодинному заторі на виїзді з Києва. Траса стала своєрідною пасткою: на трьох смугах – п'ять рядів машин, скрізь чути вибухи, а в голові гулає: “Зараз вони нас тут роз'їдуть нахер”. Через цей випадок із шиною я страшенно перелякалась. Добре, що Гордія не було поряд. Я не знаю, що відбувається у мене всередині – з ким, коли і як “вистрілить” усе це наступного разу. Бо якщо зі мною з моїми вихідними даними у вигляді тривожного розладу, панічних атак і кількох років психотерапії таке діється, то я навіть не уявляю, що з іншими – тими, хто пережив і досі переживає – і не пережив також, не виживши – дещо набагато страшніше.

Тому другий “вільний” ранок я провела в парку, рахуючи ягоди, лавки і хлопців. Мені хотілося, щоб цей день виявився якомога більш звичайним. На щастя, так і сталося. Ми зі Штефаном вийшли на тій самій зупинці, зайшли до тієї ж пекарні, взяли чотири круасани, поклали пакет із ними на стіл, підняли його кожен зі свого боку і занесли в моє нове житло в найкомфортнішому для життя місті – Відні.

З розповідей Штефана я знала, що пару років тому він також переїхав – до нового будинку, в мансарду з великими вікнами, білими стінами і дубовою підлогою. Час від часу шкодував, що тепер живе не в Altbau – щонайменше сторічній кам'яниці з високими стелями, вигнутими сходами і раковинами на кожному поверсі.

Я ж ніколи не жила в альтбау, і мене поступово захопила ця атмосфера. Внутрішню відстань від купівлі всього найдешевшого в ІКЕА до пошуку кришталевої люстри, на превеликий свій подив, я подолала доволі стрімко. Часто згадувала маму, яка повторювала, що найкращі меблі не купують, а отримують у спадок. Спадщина, тяглість і довгострокові плани – роздуми про все це викликали тривогу й сум, які я конвертувала в перегляд тисяч оголошень на сайті, де продавалися вживані речі.

Можливо, в такий спосіб я пробувала також не зловживати своїми внутрішніми резервами. Я боялася їхати в ІКЕА. «Дивися, мама, як у нас вдома!» – кричав Гордій. І ми купували те, що було вдома: дитячий килим, рушник, тарілочку і чашку «для мамі такого кольору, як небо». Я заспокоювала себе тим, що дитині так буде легше – у знайомій обстановці. Дитині, яка за два місяці пожила в трьох країнах, чотирьох містах, пішла уже в третій дитсадок із третьою мовою – цій дитині дуже треба такий самий килимок із плетивом автострад і колій, вирішила я.

Скільки вже часу ми провели у Відні, й лише тепер Штефан запросив в гості до себе. У його просторій мансарді все було таке інакше і таке знайоме: картини, програвач, з якого лунає пісня, що її я слухала років двадцять тому, сірий диван. “Мені кортіло обставити квартиру інакше, не як у всіх, мінімум ІКЕА”, – сказав він. Я сиділа за таким самим дерев'яним столом з людиною, котру знаю вже п'ятнадцять років, і якоїсь миті зловила себе на тому, що в мені змішалася простір та час, мови, дитячий крик, усюдишучі

спагеті та вино. Усе те саме. Але все інакше. І в мене тепер є дитина. І ще ми посивіли.

Спочатку я ховалася в туалеті, закривала такий самий унітаз такою самою кришкою, сідала згори і плакала. Потім витиралася таким самим рушником й виходила крізь такі самі білі двері. У мені не було ані заздрощів, ані злості, лише якась гіркота. Відчуття фантомного дому, який немовби може бути скрізь. Скрізь, де є я. Скрізь, де є ІКЕА. Тоді мені здавалося, що після усього цього – а мій будинок у Шевченківському районі в Києві досі стоїть, – можна зважитись щось купувати, щось будувати, щось планувати, на щось покладатись. Цей дивовижний дім, який в мені, та я, котрої немає у себе вдома.

Alleszimmer, тобто кімната, що править і за вітальню, і спальню, і їдальню та кабінет, у нашій віденській квартирі виходить на вулицю, а кухня – на «колодязь», типовий для європейських міст. Власник будинку навпроти добував балкони, що немов звисають на мотузці. Двері замість вікон прорубали тільки в двох квартирах на вищих поверхах, у двох інших знизу ці балкони були, немов муляжі. На облаштованому піддашші живе молода пара, до якої інколи приїжджають батьки. На їхньому балконі – горщики з помідорами і квітами, а також рожевий столик зі стільцями.

(Гордій каже: «Мама, а давай ми теж будемо жити в квартирі з балконом! І купимо такий столик!») Ще нижче – молода жінка, що пилює вечорами, поки чоловік готує вечерю, інколи вони снідають на балконі. До них теж часом приїжджають батьки. У них немає рослин, зате поруччя, на якому сидять двоє штучних граків, обплетене гірляндюю. (Гордій каже: «Мама, це така гірлянда, як у нас в Києві! Давай купимо собі таку саму!») Поряд – ще одне подружжя, вони на своєму балконі їдять, п'ють каву, працюють, також вирощують у горщиках перці й салат. Усі мої сусіди ввечері бачать тільки мене, коли сиджу за столом у коридорі з комп'ютером. Вони закінчують ремонт, вони молоді, у них є все це – і все тільки починається. Можливо, вони взяли кредит на кілька десятків років. У всіх альтбау є підвали.

Я часто згадую свій київський балкон із виходом зі спальні – єдиний із двох незаскленних на всьому фасаді – з північного боку. Там світло було тільки о п'ятій ранку і трохи ввечері. Мене це завжди гнітило. Перед вікнами росли каштани, липа і береза, я в горщиках вирощувала трохи квітів і суницю. Білизну влітку розвішувала на вулиці. Так було приємно відчувати легкий запах прального засобу, лежати на ліжку і вистигати в прохолоді від спекотного дня. Ця сторона півночі мені подобалася. Торік восени я не прибрала сухе бадилля з ящиків і не витягнула ліхтарики на сонячних батареях. У березні, коли я вже була за кордоном, подзвонив сусід і кричав, що горить балкон. Що пожежників вони не викличуть, а згори залити водою неможливо. Це уже вдруге – якийсь урод згори знову кинув недопалок. «І повиймайте нарешті ці лампочки, – кричав сусід. – Ви що, наводчики? Розбомблять усе нахуй!»

Добре, що перед від'їздом я бодай встигнула вимкнути фітолампи – північний же бік, – для яких тільки-но налаштувала таймери.

На початку серпня я знайшла оголошення про продаж двох старих данських стільців із вигнутого суцільного дерева. Вони коштували так само, як пара пластикових з ІКЕА, і були прекрасні. Виявилось, що продавець у Граці, але міг би їх якось принагідно привезти до Відня. Він приїхав десь через півтора місяця – мені ж здавалось, що цього не станеться вже ніколи. Австрійський спосіб планування певною мірою почав мене заспокоювати, даруючи відчуття, хоч і оманливе, але стабільності, навіть впевненості, на яку можна спертись. Хоч Штефан був переконаний, що цей чоловік просто передумав і нічого не сказав. Таке теж буває.

Штефан, який був зі мною, коли велике чорне ауді з моїми – тепер уже – меблями запаркувалося біля під'їзду, і разом із продавцем, що мав укріті татуваннями руками, допоміг занести все в квартиру, оглянув мій Alleszimmer і сказав, що тепер тут стало really good. Ми сиділи за тим самим столом на тих самих стільцях. Мені подобались люди, які володіли цими меблями до мене, і я уявляла, що вписуюся в певну тяглість – і що вона забезпечує мене від сирого починання всього спочатку. Водночас я знала, що це омана, ще один із численних способів впоратися з усім тим, що переживаю зараз, частина більшого механізму, який спонукав мене мімікрувати, вливатися, щоб не відрізнятись – і в такий спосіб вижити там, де безпосередньої загрози життю вже немає.

Зрештою, цей спосіб захисту точно не найгірший. Позаторік з внутрішнього боку на лівому плечі я зробила татування: там кущик суніці з корінням. Тепер я фантазую про те, що це — мій таємний сад, той самий «вусик» на розплід.

Я уявляю, як опускаюся і занурюю руку в ґрунт по саме плече, шокою лягаю на землю, а суніці з моєї шкіри поступово приживаються. Вони ростуть там, де живу я. У мене на шкірі назавжди — мій таємний сад, мій дім, моя втіха.



Stefan powiedział, że stół na pewno zmieści się do tramwaju. Spotkał się na przystanku, Stefan raz jeszcze upewnił się, czy na pewno rozumiem, co znaczą słowo „patyna”.

– Jeśli ma siedemdziesiąt lat i tyle kosztuje, to lakier na pewno jest w złym stanie – dywagował.

– Wiem, ale i tak go chcę.

Stół naprawdę mi się spodobał. Głębokie pęknięcie lakieru widoczne było tylko w jednym miejscu, ale moją uwagę bardziej zwrócił wzór układający się z seków niż ta skaza, którą wolę nazywać śladem. Kupiłam jeszcze łóżko, komodę, lampę i szafkę nocną (Stefan powiedział, że przypominam mu ciotkę Ute: „brakuje tylko haftowanych serwetek”). Ślady czasu, który minął od produkcji, ale także ślady ludzi, którzy posiadali te meble przede mną, były wszędzie, nie przeszkadzało mi to. W przeciwieństwie do śladów na meblach dziecięcych, których uporczywie chciałam się pozbyć. Zamalowywałam, kleiłam, ścierałam.

Solidne nogi stołu idealnie pasowały do kompaktowego rozmiaru blatu. „Jedna osoba da radę go podnieść” – powiedział sprzedawca, kiedy po raz pierwszy do niego zadzwoniłam. Ucieszyłam się, że poradzę sobie sama, ale koniec końców poprosiłam o pomoc. Stefan od razu się zgodził. Uznałam, że to dobry znak, nie odwróci się ode mnie. To uczucie było niepokojące i natarczywe. Zależało mi, żeby inni chcieli przebywać w moim towarzystwie, a nie czuli się do tego zmuszeni. Bałam się odstraszyć tych, od których zależy dosłownie wszystko: mieszkanie, dokumenty, lekarze, miejsce parkingowe. Chciałam, żeby ludzie mnie lubili. Lubili nas – moje dziecko i mnie.

Zakup stołu był punktem zwrotnym. Z poziomu tego, co najpotrzebniejsze i najtańsze, tego, czego nie będzie szkoda wyrzucić, jeśli okaże się, że znów muszę się gdzieś przeprowadzać, przeszłam na poziom, na którym istnieje wybór. Na którym można wybrać to, co mi się podoba, a nie tylko zaspokaja podstawowe potrzeby. Jasne, czterdzieści pięć euro za siedemdziesięcioletni stół to albo niesłychane szczęście, albo kompromis. Uznałam, że jednak dobry początek, przecież muszę w pełni wyposażać mieszkanie. Stefan powiedział, że to „długoterminowa decyzja”. Czyli mnie nie zostawi! To martwiło mnie bardziej niż fakt, że jestem daleko od domu.

Kiedy się denerwuję, zaczynam dużo mówić i często się śmiać. Stół był tak ciężki, że oboje od czasu do czasu zatrzymywaliśmy się, by odsapnąć, a ja nie przycielałam. Wnieśliśmy stół do tramwaju, usiedliśmy za nim, udawałam, że piję kawę i jem ciasteczko – Stefan się śmiał, inni pasażerowie zresztą też. Byłam szczęśliwa, że mogę zanurzyć się w tej małej przygodzie, która tak naprawdę zaczęła się od truskawek w parku.

Po odprowadzeniu syna do przedszkola zostało mi około czterdzieści minut do spotkania ze sprzedawcą. Przeszłam się, kupiłam truskawki i położyłam się na wygiętej ławce. Ten letni poranek zapowiadał upalny dzień – miało nadejść czterdziestostopniowe piekło. Jeszcze o tym nie wiedziałam, czułam, że po prostu muszę się uspokoić.

W parku było sześć ławek. Obok mnie usiadło dwóch chłopców. Trzech właścicieli psów spacerowało z różną prędkością. Zapach truskawek był silniejszy niż smród przejeżdżającej śmieciarki. Spojrzałam na zegarek i zaczęłam się denerwować, że marnuję cenny czas na siedzeniu na ławce. Drugi raz w ciągu trzech miesięcy zostałam sama, bez mojego pięcioletniego dziecka, „w związku z sytuacją w kraju”. Zawożę Hordija do przedszkola tym samym tramwajem, którym dziś chcę przewieźć stół, a później od razu jadę do pracy.

Po raz pierwszy mogłam pobyć sama pod koniec kwietnia, kiedy mój synek został w przedszkolu beze mnie. „Póki co spróbujemy na trzy godziny, do obiadu” – zaproponowała wychowawczyni. Chciałam odpocząć, ale zamiast tego gorączkowo planowałam, co powinnam zrobić w tym czasie, jednocześnie czułam, że powoli się odprężam. Tego ranka, jak zwykle, wysiadłam na swoim przystanku, kupiłam drożdżówkę w piekarni za rogiem i zatrzymałam się na pasach. Nagle usłyszałam dźwięk podobny do wybuchu. Najpewniej pękła opona w samochodzie albo coś w tym rodzaju, bo od razu włączył się alarm. Krzyknęłam raz, drugi i trzeci. Wypuściłam z rąk siatkę z pieczywem. Usiadałam, objęłam głowę rękoma i zaczęłam płakać.

Nawet teraz, kiedy to wszystko minęło, nie wierzę, że wydarzyło się naprawdę. Nie mogłam brać w tym udziału. Obok mnie zatrzymało się kilka osób. Jakiś mężczyzna powiedział: „Nie bój się, nie bój, nic się nie stało. To tylko samochód”. Jakaś kobieta złapała mnie za rękę i zapytała, gdzie mieszkam. Okazało się, że jesteśmy sąsiadkami. Podała numer swojego mieszkania i piętro – dodała, że musimy pokonać dwa piętra po dwadzieścia cztery stopnie. Odpowiedziałam, że zostanę na zewnątrz i poczekam na swojego przyjaciela przy drzwiach wejściowych. Czułam się strasznie, nie chciałam opowiadać o sobie zbędnych szczegółów. Kobieta zapytała, skąd jestem. Odparłam, że z Ukrainy. Wtedy powiedziała, że to mija – jest tego pewna, bo swego czasu przyjechała z Jugosławii. Jaśmina – tak ma na imię – objęła rękoma swoje ciało i powtórzyła gesund, gesund, co znaczy „zdrowy”. Zadzwoniłam do Stefana i długo płakałam w słuchawkę. Słuchał mnie i tak samo długo uspokajał. „Teraz jesteś bezpieczna” – powtarzał.

Widziałam wojnę przez trzy dni. Przez dwa miesiące poprzedzające wybuch rozdzierał mnie strach. Pakowałam się i rozpakowywałam, trzykrotnie sadzałam swojego syna w samochodzie i mówiłam, że „jedziemy na wakacje”, choć naprawdę starałam się mu wyjaśnić wszystko zgodnie z instrukcjami „jak rozmawiać z dziećmi o wojnie”. Obdzwaniałam służby komunalne, pytając o schrony przeciwlotnicze. W naszej piwnicy zamontowaliśmy bojler, a później sąsiedzi wyłamali zamek i chowali się między rurami wypełnionymi wrzątkiem. Stałam już wtedy w wielogodzinnym korku na wyjeździe z Kijowa. Trasa okazała się pułapką – na trzech pasach pięć rzędów samochodów, zewsząd słychać wybuchy, a głowie tylko: „Kurwa, zaraz nas tu wszystkich rozjebią”.

Przestraszył mnie wybuch tej opony. Dobrze, że Hordija nie było obok. Nie rozumiem, co się we mnie dzieje –

z kim, kiedy i jak to „wystrzelił” następnym razem. Jeśli napady lęku i ataki paniki przytrafiają się mnie, osobie po kilku latach psychoterapii, to nawet nie umiem sobie wyobrazić, co dzieje się z innymi – tymi, którzy przeżyli, przeżywają i wciąż doświadczają wojny.

Dlatego też drugi wolny poranek spędziłam w parku, licząc truskawki, chłopców i ławki. Chciałam, żeby ten dzień był zwyczajny. Tak na szczęście się stało. Wyszliśmy ze Stefanem na tym samym przystanku, weszliśmy do tej samej piekarni, wzięliśmy cztery croissanty, położyliśmy je na stole, podnieśliśmy go każdy ze swojej strony i zanieśliśmy do mojego nowego mieszkania w najbardziej komfortowym mieście do życia – Wiedniu.

Z opowieści Stefana wynikało, że on też się przeprowadził. Do nowego budynku, do mieszkania na poddaszu z wielkimi oknami, białymi ścianami i dębową podłogą. Od czasu do czasu narzekał, że nie mieszka już w *Altbau*, czyli minimum stuletniej kamienicy z wysokimi sufitami, wygiętymi schodami i umywalkami na każdym piętrze.

Nigdy nie mieszkałam w *Altbau*, z dnia na dzień coraz bardziej ulegałam urokowi starego budownictwa. Ku mojemu zaskoczeniu szybko przeszłam od tanich zakupów w IKEA do szukania jedynej w swoim rodzaju kryształowej żyrandoli. Przypomina mi się mama, która powtarzała, że najlepszym mebli się nie kupuje, tylko dziedziczy. Dziedzictwo, ciągłość, długoterminowe plany – na samą myśl o tym czułam strach i smutek, które przekształcałam w przeglądanie tysięcy ogłoszeń na serwisach sprzedających używane przedmioty.

Być może w ten sposób nie nadużywałam swoich wewnętrznych rezerw. Bałam się jechać do IKEA. „Popatrz, mamo, tu jest jak w naszym domu!” – krzyknął Hordij. Tak, kupiliśmy to, co było w domu: dziecięcy dywan, ręcznik, talerzyk i kubek „dla mamy w kolorze nieba”. Sama siebie przekonywałam, że dziecku będzie łatwiej w znajomym otoczeniu. Dziecku, które w ciągu dwóch miesięcy mieszkało w trzech krajach, czterech miastach, poszło do trzeciego przedszkola, porozumiewa się w trzecim języku – to dziecko naprawdę potrzebuje dywanika ze znanym mu splotem autostrad i dróg, zadecydowałam.

Już jakiś czas mieszkamy w Wiedniu, ale dopiero teraz Stefan zaprosił nas do siebie. Na jego przestronnym poddaszu wszystko było i inne, i znajome: obrazy, gramofon grający piosenkę, której słuchałam dwadzieścia lat temu, szara sofa. „Chciałem umeblować mieszkanie inaczej, nie tak jak wszyscy inni, w standardzie IKEA” – powiedział. Siedziałam przy tym samym drewnianym stole z mężczyzną, którego znam od piętnastu lat, i zdałam sobie sprawę, że wszystko mi się miesza: przestrzeń i czas, języki, krzyk dziecka, wszechobecne spaghetti i wino. Wszystko jest takie samo. Wszystko jest inne. Mam dziecko. Oboje posiwiliśmy.

Schowałam się w toalecie, opuściłam taką samą deskę, usiadłam na niej i płakałam. Wytarłam się takim samym ręcznikiem i wyszłam przez takie same białe drzwi. Nie czułam zazdrości, złości, tylko odrobinę goryczy.

Widmowy dom, który może być wszędzie. Gdziekolwiek jestem. Gdziekolwiek jest IKEA. Wydawało mi się, że po wszystkim – mój dom w rejonie szewczenkowskim w Kijowie nadal stoi – coś kupię, zbuduję, zaplanuję, czemuś zaufam. Mój niesamowity dom jest we mnie, a mnie nie ma w moim domu.

Alleszimmer, czyli pokój pełniący funkcję salonu, sypialni, jadalni i gabinetu, w naszym wiedeńskim mieszkaniu wychodzi na ulicę, a kuchnia na typowy dla europejskich miast dziedziniec. Właściciel budynku naprzeciwko dobudował balkony, które zdają się wisieć na linach. W dwóch mieszkaniach na wyższych piętrach okna zamieniono na drzwi, a w dwóch na niższych piętrach balkony zamieniono w atrapy. Na umeblowanym poddaszu mieszka młode małżeństwo, do którego czasem przyjeżdżają rodzice. Na ich balkonie stoją doniczki z pomidorami i kwiatami, a także różowy stół i krzesła.

(Hordij mówi: „Mamo, zamieszkajmy też w mieszkaniu z balkonem! I kupmy taki stolik!”) Niżej mieszka młoda kobieta, która wieczorami, podczas gdy jej mąż przygotowuje obiad, odkurza. Czasem jedzą śniadanie na balkonie. Czasami przychodzą do nich rodzice. Nie mają roślin, ale balustrada, na której siedzą dwa sztuczne gawrony, jest opleciona girlandą.

(Hordij mówi: „Mamo, to taka girlanda jak nasza w Kijowie! Kupmy taką!”) Nieopodal widzę też inną parę: jedzą, piją kawę, pracują, a także hodują paprykę i sałatę w doniczkach na swoim balkonie.

Moi sąsiedzi mogą zobaczyć wieczorem, jak siedzę z komputerem w korytarzu. Kończą remonty, są młodzi, mają wszystko – a przecież dopiero zaczynają. Być może zaciągnęły kredyty na kilkadziesiąt lat. Wszystkie *Altbau* mają piwnice.

Często myślę o moim kijowskim balkonie z wyjściem z sypialni – jednym z dwóch nieoszlonych na całej elewacji – od strony północnej. Światło było tam tylko o piątej rano i przez chwilę wieczorem. Trochę mnie to przygnębiało. Pod oknami rosły kasztany, lipy i brzozy, w doniczkach hodowałam kwiaty i truskawki. Latem rozwieszałam pranie. Tak miło poczuć lekki zapach płynu do prania, położyć się na łóżku, odetchnąć po całym dniu. Podobają mi się ta północna strona. Nie uprzątnęłam zeszłorocznych suchych badyli ze skrzynek i nie wyciągnęłam solarnych lampek. W marcu, kiedy byłam już za granicą, zadzwonił sąsiad i krzyknął, że pali się balkon. Że nie wezwą strażaków i nie da się wlać wody z góry. To już drugi raz – jakiś kretyn z góry znów zrzucił kiepa. „I wyjmijcie wreszcie te lampki” – krzyknął sąsiad. – Co wy, chcecie być celem? Zbombardują zaraz całe to cholerstwo!”

Dobrze, że udało mi się wyłączyć doświetlenie dla roślin, bo ustawiłam stoper. W końcu to północna strona.

Na początku sierpnia znalazłam ogłoszenie o sprzedaży dwóch starych duńskich krzesel z litego giętego drewna. Kosztowały tyle samo co para plastikowych z IKEA, były piękne. Okazało się, że sprzedawca jest w Grazu, ale jakimś cudem mógł je przewieźć do Wiednia. Przyjechał

prawie półtora miesiąca później – wydawało mi się, że to nigdy nie dojdzie do skutku. Austriacki sposób planowania zaczął mnie do pewnego stopnia uspokajać, dawać poczucie bezpieczeństwa, a nawet zaufania. Chociaż Stefan był przekonany, że ten człowiek po prostu zmienił zdanie i nic nie powiedział. Tak też się zdarza.

Stefan, który był ze mną, gdy wielkie czarne audi z moimi – teraz – meblami wjechało na podjazd i pomagał wnosić wszystko do mieszkania ze sprzedawcą z wytatuowanymi rękami, spojrział na mój *Alleszimmer* i powiedział, że teraz zrobiło się tu naprawdę przytulnie. Siedzieliśmy przy stole na tych krzesłach. Polubiłam ludzi, którzy posiadali te meble przede mną i wyobrażałem sobie, że pasują do pewnej solidności – i że to uchroni mnie przed bezwzględnością zaczynania wszystkiego od nowa. Jednocześnie wiedziałam, że to złudzenie, kolejny z wielu sposobów radzenia sobie ze wszystkim, przez co teraz przechodziłam, część większego mechanizmu, który

Stefan hatte gesagt, dass der Tisch auf jeden Fall in die Straßenbahn passt. Wir hatten uns an der Haltestelle getroffen und er versicherte sich ein weiteres Mal, ob ich richtig verstanden hatte, was das Wort „Patina“ bedeutete.

„Wenn der wirklich siebzig Jahre alt ist – noch dazu bei diesem Preis! – dann wird der Lack kaum in einem gutem Zustand sein.“ Vermutete er.

„Ich weiß. So möchte ich das auch.“

Und der Tisch gefiel mir wirklich gut. Nur an einer Stelle zog sich ein tiefer Riss durch den Lack, aber die Holzmaserung lenkte bedeutend mehr Aufmerksamkeit auf sich als dieser Makel, den ich eher als „Spur“ bezeichnen würde. Später kaufte ich noch ein Bett, eine Kommode, eine Lampe und einen Nachttisch (Stefan sagte, ich erinnerte ihn an seine Tante Ute: Es fehlten nur die bestickten Deckchen) – die Spuren der Menschen, die diese Möbel vor mir besessen hatten, und der Jahrzehnte seit ihrer Herstellung waren natürlich überall zu sehen, aber das störte mich erstaunlicherweise nicht. Im Gegensatz zu den Spuren auf den Kindermöbeln, die ich mit aller Kraft loszuwerden versuchte: Ich malte, klebte, wischte darüber.

Was den Tisch betraf, so passten die massiven Beine ideal zu der kompakten Größe. „Eine Person könnte ihn im Ganzen anheben“, hatte der Verkäufer gesagt, als ich ihn das erste Mal anrief. Zuerst hatte ich mich gefreut, dass ich alleine zurechtkommen würde, dann aber doch um Hilfe gebeten. Stefan hatte sofort zugestimmt und das nahm ich als Zeichen, dass ich heute noch nicht fortgeschickt werden würde. Das war ein beunruhigendes, hartnäckiges Gefühl. Ich wollte gern ein Mensch sein, dessen Gesellschaft erwünscht ist und nicht aufgezwungen. Ich hatte furchtbare Angst, diejenigen zu vergraulen, von denen ich buchstäblich in jeder Hinsicht abhing: Unterkunft, Dokumente, Kindergarten,

popychał mnie w kierunku naśladowania, wtapiania się, niewyróżniania się... I tym samym przetrwania tam, gdzie nie było bezpośredniego zagrożenia życia.

W końcu taka metoda ochrony nie jest najgorsza.

W zeszłym roku zrobiłam sobie tatuaż po wewnętrznej stronie lewego ramienia: kłacza truskawek z korzeniami. Teraz fantazjuję, że tam znajduje się mój tajemniczy ogród, „wąs” służący do rozmnażania.

Wyobrażam sobie, że się pochylam i zanurzam rękę po ramię w ziemi, kładę na niej policzek, a truskawki ze skóry powolutku zapuszczają korzenie. Rosną tam, gdzie mieszkam. Na skórze mam tajemniczy ogród, mój dom, moje ukojenie.

[Z języka ukraińskiego przełożyła Urszula Pieczek]

Ärzte, Autostellplatz. Ich wollte natürlich dass man mich mochte. Uns – mein Kind und mich.

Dieser Kauf bedeutete eine Art Wendung: Vom Notwendigsten und Billigsten – dem, worum es nicht schade wäre, falls man wieder irgendwohin umziehen musste – war ich nun sozusagen auf ein Niveau gekommen, wo es eine Wahl gab. Wo ich aussuchen konnte, was mir gefiel und was nicht nur die Grundbedürfnisse erfüllt. Natürlich sind 45 Euro für einen 70-jährigen Tisch entweder überbordendes Glück oder ein Kompromiss. Ich hielt es für einen guten Start, denn ich musste eine Wohnung komplett einrichten, die Stefan eine „langfristige Lösung“ nannte. Offensichtlich hatte er nicht vor, sich von mir abzuwenden. Das bereitete mir sogar größere Sorgen als die Tatsache, dass ich so weit von zu Hause weg war.

Wenn ich aufgeregt bin, werde ich ausnehmend gesprächig und lache oft. Der Tisch war so schwer, dass wir beide von Zeit zu Zeit anhielten und verschnauften, aber ich hörte nicht auf zu reden. In der Straßenbahn setzten Stefan und ich uns an meinen neuen Tisch. Ich tat so, als würde ich einen Kaffee trinken mit Gebäck – er lachte, andere Fahrgäste fanden das auch lustig. Mir tat es gut, in dieses kleine Abenteuer einzutauchen, das eigentlich mit Erdbeeren im Park begonnen hatte. Nachdem ich gerade meinen Sohn in den Kindergarten gebracht hatte, blieben noch vierzig Minuten bis zum Treffen mit dem Verkäufer. Ich ging ein bisschen spazieren, kaufte Erdbeeren und legte mich auf eine halbrunde Bank. Dieser Sommertag versprach ein heißer Tag zu werden – und wirklich, wenig später hatten wir Hitze und 40 Grad, doch davon wusste ich noch nichts. Ich musste mich beruhigen.

Im Park gab es sechs Bänke, zwei Männer saßen neben mir, im Umkreis spazierten mit unterschiedlicher Geschwindigkeit drei Hundebesitzer. Ich merkte, wie der Geruch der Erdbeeren den Gestank der Müllabfuhr

unterbrach. Ich sah auf die Uhr und begann mich aufzuregen, dass ich diese wertvolle Zeit verplemperte, indem ich einfach auf der Bank saß, das zweite Mal in drei Monaten allein draußen, ohne mein fünfjähriges Kind, „aus Haushaltsgründen“. Seit kurzem brachte ich Hordij jeden Morgen mit derselben Straßenbahn in den Kindergarten, die ich heute auch für den Möbeltransport benutzen wollte, und gleich danach fuhr ich zur Arbeit. Das erste Mal, dass ich also für mich allein war, war Ende April gewesen, damals konnte mein Sohn schon ohne mich im Kindergarten bleiben. „Probieren wir es erstmal für drei Stunden, bis zum Mittag“, hatte die Erzieherin vorgeschlagen. Ich wollte mich ausruhen, aber stattdessen plante ich fieberhaft, was ich alles in dieser Zeit schaffen müsste und zugleich spürte ich, wie ich mich langsam entspannte.

An jenem Morgen stieg ich – inzwischen schon „wie gewöhnlich“ – an meiner Haltestelle aus, kaufte ein Brötchen beim Bäcker an der Ecke und blieb am Fußgängerüberweg stehen. Plötzlich hörte ich ein Geräusch, so ähnlich wie eine Explosion. Wahrscheinlich war bei einem Auto der Reifen geplatzt, denn sofort ging eine Alarmanlage los. Ich schrie auf, erst einmal, dann ein zweites, dann ein drittes Mal. Ich ließ den Beutel mit dem Brötchen fallen. Ich setzte mich hin, nahm meinen Kopf in die Hände und begann zu weinen. Jetzt, da das alles vorbei ist, kann ich nicht glauben, dass es wirklich geschehen ist. Als wäre es nicht mir passiert. Neben mir hielten einige Leute an. Irgendein Mann sagte: „Hab keine Angst, hab keine Angst, es ist nichts passiert. Es war nur ein Auto.“

Eine Frau nahm mich bei der Hand und fragte, wo ich wohne. Es stellte sich heraus, dass wir Nachbarinnen waren. Sie nannte die Nummer ihrer Wohnung und das Stockwerk und fügte hinzu, dass man zwei Absätze mit je vierundzwanzig Stufen hochgehen müsse. Ich erwiderte, dass ich unten bleibe und an der Haustür auf meinen Freund warte. Ich hatte Angst, ich wollte keine überflüssigen Einzelheiten über mich preisgeben. Diese Frau fragte mich, woher ich komme. Ich antwortete, aus der Ukraine. Da sagte sie, dass das vorübergehen wird und dass sie sich dessen sicher sei, denn sie sei damals aus Jugoslawien gekommen. Jasmina, so hieß sie, umfasste mit den Armen ihren Körper und wiederholte ein paarmal „gesund, gesund“. Ich rief Stefan an und weinte lange in den Hörer. Genauso lange hörte er mir zu und beruhigte mich. „Jetzt bist du in Sicherheit“, sagte er immer wieder.

Ich hatte drei Tage Krieg mitbekommen. In den zwei Monaten davor zerriss mich die Angst beinah. Ich packte ein und wieder aus, setzte meinen Sohn dreimal ins Auto mit den Worten „wir fahren in den Urlaub“, obwohl ich doch ehrlich versuchte, mich an die Empfehlungen zu halten, wie man mit Kindern über den Krieg spricht. Ich telefonierte die kommunalen Behörden ab und fragte sie nach Luftschutzkellern. Im Keller unseres Hauses richteten sie den Heizungsraum ein und die Nachbarn entfernten dann das Schloss, um sich zwischen Rohren mit siedend heißem Wasser zu verstecken. Ich stand währenddessen viele Stunden im Stau auf dem Weg aus Kiew nach draußen. Die Autobahn wurde zu einer

eigenartigen Falle: Auf drei Spuren fünf Reihen Autos, überall Explosionen zu hören und im Kopf brüllte es „Scheiße, jetzt machen sie uns hier richtig platt“. Durch diesen Vorfall mit dem Reifen war ich furchtbar erschrocken. Gut, dass Hordij nicht dabei war. Ich weiß nicht, was in meinem Inneren passiert, mit wem, wann und wie all das zum nächsten Mal aus mir „herausschießt“. Denn wenn so etwas mir passiert, mit meiner Vorgeschichte, meinen Angstzuständen, Panikattacken und mehreren Jahren Psychotherapie, dann kann ich mir nicht vorstellen, wie der Krieg auf andere wirkt – diejenigen, die ihn erlebt haben und bis jetzt erleben, oder auch nicht erlebt haben, nicht überlebt haben – es muss um einiges schlimmer sein.

Deswegen verbrachte ich den zweiten „freien“ Morgen im Park, zählte Erdbeeren, Bänke und Männer. Ich wollte, dass dieser Tag so gewöhnlich wie möglich verlief. So kam es zum Glück auch. Stefan und ich stiegen wieder an derselben Haltestelle aus, gingen in dieselbe Bäckerei, kauften vier Croissants, legten die Tüte auf den Tisch, hoben ihn jeder auf einer Seite an und trugen ihn in meine neue Wohnung, in der zum Leben bequemsten Stadt: Wien.

Aus Erzählungen wusste ich, dass Stefan vor einigen Jahren auch umgezogen war, in ein neues Haus, eine Mansardenwohnung mit großen Fenstern, weißen Wänden und Eichenholzboden. Von Zeit zu Zeit bedauerte er, dass er jetzt nicht in einem Altbau wohnte – einem mindestens hundertjährigen Gemäuer mit hohen Decken, ausgetretenen Treppen und Waschbecken auf jedem Stockwerk.

Noch nie hatte ich in einem Altbau gewohnt und allmählich packte mich die Atmosphäre. Ich überwand, zu meinem eigenen Erstaunen, ziemlich zügig den Weg vom Billigkauf bei IKEA hin zur Suche nach einem Kristalleuchter. Oft erinnerte ich mich an meine Mutter, die immer gesagt hatte, dass man die besten Möbel nicht kauft, sondern vererbt bekommt. Erbe, Kontinuität und langfristige Pläne – Gedanken darüber lösten in mir Angst und Trauer aus, die mich dazu veranlassten, tausende Anzeigen auf einer Seite durchzusehen, wo gebrauchte Sachen verkauft wurden.

Vielleicht versuchte ich auf diese Weise auch, meine inneren Reserven zu schonen. Ich hatte Angst, zu IKEA zu fahren. „Mama, guck mal, das ist wie bei uns zu Hause!“ schrie Hordij. Und dann kauften wir das, was es zu Hause gegeben hatte: Einen Kinderteppich, ein Handtuch, einen Teller und eine Tasse „für Mama in einer Farbe wie der Himmel“. Ich beruhigte mich damit, dass es für ihn in einer bekannten Einrichtung leichter sein würde. Für mein Kind, das in zwei Monaten in drei Ländern gelebt hatte, in vier Städten, das schon in den dritten Kindergarten ging mit der dritten Sprache – dieses Kind brauchte unbedingt genau diesen gleichen Teppich mit seinem Gewirr aus Autobahnen und Schienen, entschied ich.

Wir hatten nun schon so viel Zeit in Wien verbracht und erst jetzt lud Stefan uns zu sich ein. In seiner leeren Mansardenwohnung war alles so anders und doch so vertraut: die Bilder, der Plattenspieler, auf dem ein

Lied lief, das ich vor etwa zwanzig Jahren gehört habe, das graue Sofa. „Ich würde die Wohnung gern anders einrichten, nicht so wie alle, mit dem Grundstandard von IKEA“, sagte er. Ich saß an dem genau gleichen Holztisch mit einem Menschen, den ich schon fünfzehn Jahre kannte, und in einem Moment ertappte ich mich dabei, wie sich in mir Raum und Zeit vermischten, die Sprachen, das Kindergeschrei, die allgegenwärtigen Spaghetti und der Wein. Alles ist das Gleiche. Aber alles ist anders. Und ich habe jetzt ein Kind. Und außerdem haben wir graue Haare bekommen.

Anfangs versteckte ich mich auf der Toilette, schloss das genau gleiche Klo mit dem genau gleichen Deckel, setzte mich darauf und weinte. Später trocknete ich mich mit dem genau gleichen Handtuch ab und ging durch die gleichen weißen Türen hinaus. In mir waren weder Neid, noch Wut, nur eine Art Bitterkeit. Das Gefühl eines Phantomzuhause, das gleichsam überall sein kann. Überall, wo ich bin. Überall, wo IKEA ist. Da schien es mir, dass man es nach alldem – und mein Haus im Schewtschenkiwskyj Rajon in Kiew steht bis jetzt – wagen kann, etwas zu kaufen, etwas aufzubauen, etwas zu planen, auf etwas zu vertrauen. Dieses seltsame Haus, das ich in mir habe, und ich, die nicht bei sich zu Hause ist.

Das *Alleszimmer*, das heißt, das Zimmer, das als Wohnzimmer, als Schlafzimmer, als Esszimmer und als Büro dient, geht in unserer Wiener Wohnung zur Straße raus, die Küche geht nach hinten zum „Brunnen“, wie es typisch ist für europäische Städte. Der Eigentümer vom Haus gegenüber hat Balkone angebaut, die scheinbar an Seilen hängen. Nur in zwei Wohnungen auf den oberen Etagen haben sie Fenster zu Türen aufgebrochen, bei zwei anderen unten sind die Balkone wie Attrappen. Im ausgebauten Dachgeschoss wohnt ein junges Paar, deren Eltern manchmal zu Besuch kommen. Auf ihrem Balkon stehen Töpfe mit Tomaten und Blumen sowie ein rosa Tisch mit Stühlen.

(Hordij sagt: „Mama, lass uns auch in eine Wohnung mit Balkon ziehen! Dann kaufen wir so einen Tisch!“) Weiter unten ist eine junge Frau, die abends staubsaugt, während der Mann Abendessen kocht, manchmal frühstücken sie auf dem Balkon. Zu ihnen kommen auch manchmal die Eltern. Sie haben keine Pflanzen, dafür ein Geländer, auf dem zwei unechte Krähen sitzen, darüber hängt eine Girlande. (Hordij sagt: „Mama, das ist so eine Girlande wie bei uns in Kiew! Lass uns auch so eine kaufen!“) Daneben ist noch ein Ehepaar, auf ihrem Balkon essen sie, trinken Kaffee, arbeiten und ziehen ebenfalls Paprika und Salat in Töpfen.

Alle meine Nachbarn sehen am Abend nur mich, wenn ich im Korridor mit dem Computer am Tisch sitze. Sie beenden die Bauarbeiten, sie sind jung, sie haben all das – und alles fängt gerade erst an. Vielleicht haben sie für ein paar Jahrzehnte einen Kredit aufgenommen. In allen Altbauten gibt es Keller.

Ich denke oft an meinen Balkon in Kiew, auf den man vom Schlafzimmer aus trat: Es war einer von zwei unverglast an der ganzen Fassade auf der Nordseite. Dort gab es nur um fünf Uhr morgens Licht und ein

bisshen am Abend. Das hat mich immer deprimiert. Vor den Fenstern wuchsen Kastanien, eine Linde und eine Birke, in Töpfen zog ich ein paar Blumen und Erdbeeren. Im Sommer hing ich die Wäsche draußen auf. Es war so angenehm, den leichten Geruch von Waschmittel zu riechen, im Bett zu liegen und sich nach einem heißen Tag in der angenehmen Frische abzukühlen. Diese Seite des Nordens gefiel mir. Letztes Jahr im Herbst habe ich das trockene Laub nicht aus den Kästen geräumt und die Solarlämpchen nicht rausgezogen. Im März, als ich schon über die Grenze war, rief mein Nachbar an und schrie, dass der Balkon brennt. Dass sie nicht die Feuerwehr rufen und man von oben kein Wasser draufgießen kann. Das ist schon das zweite Mal – irgendein Idiot von oben hat wieder seine Kippe runtergeworfen. „Und räumen Sie endlich diese Lampen weg,“ schrie er. „Was soll das sein, eine Zielbeleuchtung? Die bomben alles nieder, verdamnte Scheiße!“

Gut, dass ich vor der Abfahrt zum Glück geschafft habe, die Pflanzenlampen auszuschalten, für die ich gerade erst einen Timer eingerichtet hatte, es ist schließlich Nordseite.

Anfang August fand ich eine Verkaufsanzeige für zwei alte dänische Stühle, durchgesehen, komplett aus Holz. Sie kosteten genauso viel wie ein Paar Plastikstühle von IKEA und waren wunderschön. Es stellte sich heraus, dass der Verkäufer in Graz war, sie aber bei Gelegenheit nach Wien bringen könnte. Er kam ungefähr nach anderthalb Monaten – ich dachte schon, es würde nie etwas werden. Die österreichische Art der Planung begann mich gewissermaßen langsam zu beruhigen, indem sie mir, wenn auch ein trügerisches, Gefühl von Sicherheit gab, auf das ich mich stützen konnte. Obwohl Stefan überzeugt gewesen war, dass es sich dieser Mann einfach anders überlegt hatte, ohne was zu sagen. So etwas kommt auch vor.

Stefan, der bei mir war, als der große schwarze Audi mit – mittlerweile – meinen Möbeln vor dem Eingang parkte, und zusammen mit dem Verkäufer, dessen Arme komplett tätowiert waren, half, alles in die Wohnung zu tragen, betrachtete mein *Alleszimmer* und sagte, jetzt sei es hier *really good* geworden. Wir setzten uns an ebenjenen Tisch auf ebendiese Stühle. Mir gefielen die Leute, denen diese Möbel vor mir gehört hatten und ich stellte mir vor, dass ich mich in eine gewisse Tradition einreihete – und dass dies mich davor bewahrt, alles von neuem beginnen zu müssen. Zugleich wusste ich, dass das ein Irrglaube war, eine weitere Art von vielen damit zurechtzukommen, was ich gerade erlebe, Teil eines größeren Mechanismus, der mich dazu veranlasst mich anzupassen, mich einzuordnen, um nicht aufzufallen – und auf diese Weise da zu überleben, wo mein Leben nicht mehr unmittelbar bedroht ist.

Letzten Endes ist diese Art sich zu schützen bestimmt nicht die schlechteste.

Im vorletzten Jahr habe ich mir ein Tattoo auf die Rückseite meiner linken Schulter machen lassen: Das ist jetzt ein Erdbeerstrauch mit Wurzeln. Ich male mir aus, dass das mein geheimer Garten ist, eine Ranke, die Früchte trägt.

Ich stelle mir vor, wie ich mich herunterbeuge, die Hand in den Boden versenke bis zu dieser Schulter, ich lege die Wange auf die Erde und die Erdbeeren auf meiner Haut erwachen allmählich zum Leben. Sie wachsen dort, wo ich lebe. Für immer auf meiner Haut – mein geheimer Garten, mein Haus, mein Trost.

[Aus dem Ukrainischen von Annegret Becker]

KSENIJA CHARCZENKO — українська письменниця, культурна менеджерка і перекладачка. Членкиня Українського ПЕН. Закінчила Київський національний університет імені Тараса Шевченка в 2007 році. Її перша повість *Історія* (2007) була відзначена як найкраща публікація року в журналі „Сучасність“. Авторка художніх та публіцистичних текстів, учасниця міжнародних літературних заходів.

KSENIA CHARCZENKO – ukraińska pisarka, animatorka kultury i tłumaczka. Członkini ukraińskiego PEN Clubu. Ukończyła Kijowski Narodowy Uniwersytet im. Tarasa Szewczenki w 2007 roku. Jej pierwsza powieść *Historia* (2007) została uznana za najlepszą publikację roku w ukraińskim czasopiśmie „Suczasnist”. Autorka tekstów artystycznych i publicystycznych, uczestniczka międzynarodowych wydarzeń literackich.

KSENIYA KHARCHENKO – eine ukrainische Schriftstellerin, Kulturmanagerin und Übersetzerin. Mitglied im ukrainischen PEN. Absolvierte 2007 die Nationale Kiewer Taras Schewtschenko Universität. Ihre erste Erzählung *Istorija* (dt. Geschichte) (2007) wurde in der Zeitschrift „Sutschasnist“ (dt. Gegenwart) als beste Publikation des Jahres ausgezeichnet. Sie ist Autorin literarischer und publizistischer Texte sowie Teilnehmerin an internationalen Literaturveranstaltungen.

DER GÄRTNER

OGRODNIK

САДІВНИК

► Nachdem die Russen abgezogen sind, beschneidet der Gärtner die Sträucher und Büsche, damit sie vielleicht ein zweites Mal treiben. Er gräbt die Erde auf der kleinen und der großen Wiese um und setzt dort im Abstand von 40 Zentimetern Kartoffeln. Die Kartoffelpflanzen brauchen viel Wasser. Der Gärtner bringt der Hausherrin aus der Werkstatt Ruder und Dollen und ist ihr dabei behilflich, die auf der Untiefe des Nackligen versenkten Kisten wieder heraufzuholen und ins Haus zurück zu bringen. Er schleudert den Honig. Am Abend setzt er sich auf die Schwelle des Bienenhauses und raucht Zigarre, bei Einbruch der Nacht legt er sich neben dem Schleuderkessel auf seiner Liege schlafen. Als die Kartoffelpflanzen zwischen 15 und 20 Zentimeter hoch sind, häufelt er an. Er streicht den Steg mit Teerfarbe nach und ersetzt morsch gewordene Bretter. Er beschneidet die Weide, die am Ufer wächst und deren Zweige über den Anfang des Steges schon so tief herunterhängen, daß sie stören, wenn man ihn betritt. Er legt neue Waben in die Stöcke der Bienen. Er jätet das Unkraut zwischen den Rosen und auf dem Beet vor dem Haus. Er gießt Büsche, Kartoffeln und Blumen zweimal am Tag, einmal in aller Frühe, und einmal bei Einbruch der Dämmerung. Als das Laub der Kartoffeln abzusterben beginnt, ist es Zeit für die Ernte, er lagert die Knollen im kühlen und dunklen Keller. Im Herbst harkt er das Laub zusammen, verbrennt es, bedeckt das Rosenbeet und das Blumenbeet vor dem Haus mit Zweigen von Fichte, um die Pflanzen vor Frost zu schützen, am Ende des Herbstes entleert er alle Wasserrohre im Haus und dreht den Haupthahn ab, er schließt sämtliche Fensterläden, auch die des Badehauses unten am Wasser. Er holt die elektrische Heizspirale aus dem Keller und stellt sie bei sich im Schleuderraum auf. Im Winter beschneidet er

Apfel und Birne. Er heizt das Haus vor, wenn der Architekt und seine Gattin zu Besuch kommen wollen, und stellt das Wasser für die Zeit ihres Aufenthalts wieder an.

Im Frühling ist er dem Hausherrn bei der Aufstellung eines Zauns vor dem Haus behilflich, der das Blumenbeet mit der Zypresse und die Einfahrt zur Garage, vor allem aber das große Tor umfassen und so vor unerwünschtem Besuch schützen soll. Der Gärtner schneidet die Büsche, sät auf den zwei Kartoffeläckern nun wieder Gras, hilft bei der Entleerung der Grube, er jätet Unkraut, gießt die kahle Erde auf der großen und der kleinen Wiese so lange, bis das Gras zu sprießen beginnt, er erntet Kirschen, erntet Äpfel und Birnen, lagert sie im Keller des Hauses ein, harkt Laub, verbrennt es, sägt trockene Äste ab, spaltet das Holz, holt die Heizspirale aus dem Keller und stellt sie bei sich im Schleuderraum auf, er stellt während des Winters auf dem Dachboden des Hauses Fallen auf für die Marder. Er heizt das Haus vor, wenn der Architekt und seine Gattin zu Besuch kommen wollen. Er beschneidet Apfel und Birne. Er deckt im Frühling die Beete ab, beschneidet die Büsche, jätet das Unkraut, wechselt die Waben, stellt im Sommer zweimal täglich den Rasensprenger an und beschneidet die Kirsche. Im Herbst hackt er Holz und räuchert die Maulwürfe aus, zu Beginn des Winters entleert er alle Wasserrohre im Haus.

Als einige Jahre später kurz vor Silvester die Blaufichte umstürzt, verfehlt sie nur knapp das Schilfdach des Hauses. Sie stürzt quer über den Weg, der zwischen der kleinen und der großen Wiese zum Wasser hinabführt, und zerknickt mit ihrem Gewicht auch einige Rosen auf dem Beet bei der Terrasse. Der Gärtner zersägt den Stamm, spaltet die Stücke und stapelt die Scheite unten

im Holzschuppen auf. Im Frühling stößt er, als er die eingegangenen Rosen durch neue ersetzen will, beim Graben im Beet auf eine Kiste mit Silberbesteck. Weil das Haus inzwischen versiegelt ist, nimmt er die Kiste an sich und stellt sie, so wie sie ist, im Schleuderraum in ein Regal neben die mit Honig gefüllten Gläser.

Die Gemeinde räumt dem Gärtner im drauffolgenden Jahr weiter das Wohnrecht für den Schleuderraum ein und vertraut ihm die Schlüssel für die Werkstatt und den Holzschuppen an. Einen Frühling, einen Sommer, einen Herbst und einen Winter lang hält der Gärtner es mit dem nun herrenlosen Garten so, wie er es auch bisher gehalten hat: Er düngt, gießt, beschneidet, wechselt die Waben, schleudert den Honig, umwickelt die Stämme der Obstbäume mit Stoff, damit die Rehe, die über den Zaun springen, die Rinde nicht anfressen, der Gärtner jätet, erntet, harkt, verbrennt, sägt, spaltet, räuchert aus und deckt mit Zweigen von Fichte ab. Was er zum Leben braucht, tauscht er bei den Bauern gegen Obst, Brennholz und Honig ein. Ein und ein viertel Jahr später kommen die neuen Hausherrn, die das Grundstück von der Gemeinde zur Pacht erhalten haben: Ein Schriftstellerehepaar aus Berlin. Der Gärtner zeigt ihnen den Garten, die Werkstatt, den Holzschuppen, den Steg und das Badehaus, sowie das Bienenhaus für zwölf Völker und den Schleuderraum und übergibt ihnen die Schlüssel.

Der neue Hausherr bespricht mit dem Gärtner einige Änderungen, den Garten betreffend. So soll in der Mitte der kleinen Wiese ein Essigbaum, in der Mitte der großen ein Ahorn gesetzt werden. Der Gärtner hebt die Pflanzlöcher aus. Er stößt nach einer dünnen Schicht aus Humus zunächst auf die Ortsteinschicht, die er mit dem Spaten durchschlägt, erst darunter verläuft die grundwasserführende Sandschicht, und unter der liegt, wie überall hier in der Gegend, der blaue Ton. Bis auf eine Tiefe von 80 Zentimeter hebt der Gärtner die Pflanzlöcher aus und füllt Komposterde ein, damit der Essigbaum und der Ahorn gedeihen.

Der Gärtner gießt in Absprache mit dem Hausherrn die Höhlung im Stamm des Walnußbaums mit Beton aus, um dem Baum größere Standfestigkeit zu verleihen. Er düngt die Blumen, die Sträucher und die neu angepflanzten Bäume, mäht das Gras auf den Wiesen, wechselt die Waben der Bienenstöcke, schleudert den Honig, er erntet Kirschen, zweimal täglich gießt er im Sommer das Rosenbeet, das Beet vor dem Haus und die Sträucher, währenddessen stellt er auf der kleinen und auf der großen Wiese, wie auch bei den Obstbäumen jeweils für eine halbe Stunde den Rasensprenger an, um alles gut zu bewässern, er beschneidet die Kirsche, er erntet Äpfel und Birnen. Vom Honig, sowie von der Ernte der Obstbäume gibt er auf Anweisung der Hausherrin jeweils zwei Drittel an die staatliche Handelsorganisation OGS, „Obst, Gemüse und Speisekartoffeln“, ab. Gemeinsam mit dem neuen Hausherrn legt er den Platz vor der Werkstatt mit Steinplatten aus, um eine bessere Arbeitsfläche für Malerarbeiten und Reparaturen zu haben. Im Winter sollen dort das Ruderboot, sowie die eisernen Böcke und die hölzernen Platten für den Steg gelagert werden. Die Bootsüberdachung neben dem Steg, deren Pfosten bereits stark angefault sind,

reißt der Gärtner auf Geheiß des Hausherrn ab. Der Gärtner nimmt an den Schilfdächern des großen Hauses, sowie des Badehauses dringend notwendige Ausbesserungsarbeiten vor. Im Herbst zersägt er die in den Stürmen von der großen Eiche und von einigen Kiefern herabgefallenen Äste, spaltet die Stücke und stapelt die Scheite im Holzschuppen auf, am Ende des Herbstes holt er die Heizspirale aus dem Keller des Hauses und bringt sie hinüber zu sich in den Schleuderraum, zu Beginn des Winters schließlich entleert er alle Wasserrohre im Haus und dreht den Haupthahn ab.

Im drauffolgenden Frühjahr erhalten auf Anweisung des Hausherrn alle Fenster des großen Hauses, des Badehauses und des Schleuderraums einen neuen Anstrich, der Gärtner stopft zwischen die Bohlen des Badehauses an den Stellen, wo die Wände undicht geworden sind, wieder Werg und erneuert mit Teerfarbe die Imprägnierung. Manchmal, wenn er auf den Stufen des Bienenhauses sitzt und Zigarre raucht, um sich vor den Schwärmen zu schützen, setzt sich der Sohn des Schriftstellerehepaares, der nur in den Ferien manchmal für ein paar Tage da ist und ansonsten im Kinderheim, zu ihm und stellt ihm Fragen über das Leben der Bienen.

Copyright © Jenny Erpenbeck „Heimsuchung“ (Eichborn Verlag, Frankfurt am Main 2008)



► Po odejściu Rosjan ogrodnik znowu przycina zarośla i krzewy, bo może drugi raz wypuszczają pąki. Przekopuje ziemię na małej i dużej łące i sadi tam w odstępach co 40 cm ziemniaki. Sadzonki ziemniaka potrzebują dużo wody. Ogrodnik przynosi pani domu wiosta i dulki z szopy i pomaga jej wydobyć na powierzchnię zatopione na mieliźnie Golas skrzynie i zanieść je do domu. Odwirowuje miód. Wieczorem siada na progu pawilonu pszczelego i pali cygaro, z zapadnięciem nocy kładzie się spać na swym postaniu obok centryfugi. Gdy flance ziemniaków wyrastają na 15 do 20 cm, zabiera się do ich okopywania. Pociąga pomost smołowym impregnatem i wymienia spróchniałe deski. Przycina wierzbę rosnącą na brzegu, której gałęzie zwisają już tak nisko nad pomostem, że trudno nań wejść. Umieszcza nowe plastry w pniach pszczelich. Wyrwa zielsko spomiędzy róż i na rabacie przed domem. Podlewa krzewy, ziemniaki i kwiaty dwa razy dziennie, raz wczesnym rankiem, a drugi raz, gdy się ściemnia. Kiedy łąty ziemniaczane zaczynają obumierać, nadchodzi czas wykopków, bulwy ogrodnik składa w chłodnej, ciemnej piwnicy. Jesienią grabi opadłe liście, pali je, okrywa rabatę różaną i kwiatową grządkę przed domem gałązkami świerkowymi, aby chronić rośliny przed mrozem, z końcem jesieni spuszcza wodę ze wszystkich rur w domu i zakręca główny zawór, zamyka wszystkie okiennice, także w domku kąpielowym nad wodą. Przynosi z piwnicy elektryczny piecyk i ustawia go u siebie w pomieszczeniu z centryfugą. W zimie przycina jabłonie i grusze. Nagrzewa dom, gdy architekt z małżonką zapowiadają przyjazd, i na czas ich pobytu włącza ponownie wodę.

Wiosną ogrodnik pomaga gospodarzowi przy stawianiu przed domem płotu, który ma otoczyć rabatę kwiatową z cyprysem i wjazd do garażu, przede wszystkim jednak bramę wjazdową, i w ten sposób chronić obejście przed niepożądanymi gośćmi. Przycina krzaki, na obu poletkach kartoflanych znowu sieje trawę, pomaga przy opróżnianiu szamba, wyrwa zielsko, polewa nagą ziemię małej i dużej łąki tak długo, aż trawa zaczyna kiełkować, zrywa wiśnie, zrywa jabłka i gruszki, składa je w piwnicy domu, grabi liście, pali je, obcina uschnięte gałęzie, rąbie drzewo, przynosi piecyk z piwnicy i ustawia go u siebie w pawilonie pszczelim, w zimie ustawia na strychu pułapki na kuny. Nagrzewa dom, gdy architekt zapowiada przyjazd z małżonką. Przycina jabłonie i grusze. Wiosną odkrywa rabaty, przycina krzewy, wyrwa zielsko, wymienia plastry w pawilonie pszczelim. Latem dwa razy dziennie włącza zraszacz i przycina wiśnie. Jesienią rąbie drzewo i wykurza krety, z początkiem zimy spuszcza wodę ze wszystkich rur w domu.

Gdy kilka lat później tuż przed sylwestrem łamie się srebrny świerk, o mały włos nie upada na trzciny dach domu. Wali się w poprzek dróżki prowadzącej w dół do jeziora między małą i dużą łąką i swym ciężarem przygniata też kilka róż na rabacie przed tarasem. Ogrodnik tnie pień na kawałki, te rąbie na szczapy i układa na dole w drewni. Wiosną, gdy chce wymienić wymarżłe róże na nowe, przekopując grządkę, natrafia na skrzynkę ze srebrną zastawą. Ponieważ dom jest w tym czasie zaplombowany, zabiera skrzynkę i stawia ją, nie

otwierając, na półce w pomieszczeniu z centryfugą, obok słoików wypełnionych miodem.

W następnym roku gmina przedłuża ogrodnikowi prawo mieszkania w pawilonie pszczelim, w pomieszczeniu z centryfugą, i powierza mu klucze do warsztatu i drewni. Przez kolejną wiosnę, lato, jesień i zimę ogrodnik zajmuje się bezpiecznym obecnie ogrodem, tak jak robił to do tej pory: nawozi, podlewa, przycina, wymienia plastry, odwirowuje miód, owija pnie drzew owocowych włókniną, żeby sarny, przeskakujące przez płot, nie obgryzały kory, ogrodnik pieł, grabi, pali, piłuje, rąbie, wykurza i okrywa gałązkami świerkowymi. Co mu potrzeba do życia, dostaje od chłopów w zamian za owoce, drewno na opał i miód. Rok i trzy miesiące później pojawiają się nowi użytkownicy, którzy otrzymali działkę od gminy w dzierżawę: małżeństwo pisarzy z Berlina. Ogrodnik pokazuje im ogród, warsztat, drewnię, pomost i domek kąpielowy, jak również pawilon pszczeli na dwanaście rojów, wraz z pomieszczeniem na centryfugę, i przekazuje im klucze.

Nowy gospodarz omawia z ogrodnikiem parę zmian dotyczących ogrodu. Tak więc na środku mniejszej łąki ma być posadzony octowiec, na środku większej klon. Ogrodnik kopie doły pod drzewa. Pod cienką warstwą gleby natrafia najpierw na warstwę orsztynu, którą przebija szpadlem, niżej przebiega piaszczysta warstwa wodonośna, a pod nią jest, jak wszędzie w tej okolicy, jasnoszara glina. Na głębokość 80 cm ogrodnik wybiera ziemię z dołów i napełnia je ziemią kompostową, żeby octowiec i klon ładnie rosły.

W porozumieniu z gospodarzem ogrodnik wypełnia betonem wyrwę w pniu orzecha włoskiego, aby zapewnić drzewu większą stabilność. Nawozi kwiaty, krzewy i nowo posadzone drzewka, kosi trawę na łąkach, wymienia ramki z plastrami w pawilonie pszczelim, odwirowuje miód, zbiera wiśnie, w lecie dwa razy dziennie podlewa rabatę różaną, klomb przed domem i krzewy, na pół godziny ustawia wtedy na mniejszej i większej łące oraz przy drzewach owocowych zraszacz, aby wszystko porządnie podlać, przycina wiśnie, zbiera jabłka i gruszki. Dwie trzecie miodu, jak również owoców oddaje na polecenie pani domu organizacji handlu społecznego OWZ, Owoce, Warzywa, Ziemniaki Konsumpcyjne.

Wspólnie z nowym gospodarzem ogrodnik wyklada płacyk przed warsztatem kamiennymi płytami, żeby uzyskać lepszą powierzchnię roboczą na prace malarskie i różne naprawy. W zimie ma tam być składowana łądka oraz stalowe podpory i drewniane płyty pomostu. Na polecenie gospodarza ogrodnik zrywa zadaszanie nad łądką obok pomostu, gdyż słupki mocno przegniły. Dokonuje pilnych napraw trzciny dachów głównego domu oraz domku kąpielowego. Jesienią tnie na kawałki konary spadłe podczas burz z wielkiego dębu i kilku sosen, rąbie je na szczapy, a te układa w drewni, z końcem jesieni przynosi z piwnicy piecyk elektryczny i znosi go do siebie, do pomieszczenia z centryfugą, z początkiem zimy wreszcie spuszcza wodę ze wszystkich rur w domu i zakręca główny zawór.

Następnej wiosny na polecenie gospodarza wszystkie okna dużego domu, domku kąpielowego oraz pomieszczenia z centryfugą zostają pomalowane na nowo, między belki domku kąpielowego w miejscach, gdzie są szczeliny, ogrodnik wpycha nowe pakuły i barwnikiem smołowym odświeża impregnację. Czasami, kiedy siedzi na schodkach pawilonu pszczelego i pali cygaro, żeby odstraszyć roje pszczoł, przysiadła się

► Після того, як росіяни пішли, садівник обрізає кущі і чагарники, в надії, що вони, можливо, вдруге випустять бруньки. Він перекопує землю на малій і великій галявині і насаджує там на віддалі 40 см одна від одної картоплю. Картоплі, коли вона росте, потрібно багато води. Садівник приносить власниці дому з майстерні весла і шарніри для весел і допомагає їй підняти занурені на міліні Голої гори скрині та віднести їх у дім. Садівник викачує мед. Увечері він сідає на порозі бджолярні і викурює сигару, коли залягає ніч, він вкладається на свою лежанку поруч із центрифугою до сну. Коли картопляні кущики підрастають заввишки 15-20 сантиметрів, він їх окучує. Він наново фарбує мостик свіжою смоляною фарбою і замінює трухляві дошки. Він обрізає вербу, що росте над берегом, її віти вже так низько нависли над мостиком, що крізь них важко пройти. Він ставить до вуликів нові рамки на стільники. Прополує бур'ян між трояндами і на клумбі перед будинком. Підливає кущі, картоплю і квіти двічі на день, перший раз – удосвіта, а другий – з настанням сутінків. Листя картоплі починає сохнути, а це означає, що настав час збирати врожай, він складає бульбини в прохолодній темній пивниці.

Восени він згрібає листя, спалює його, накриває трояндову грядку і квіткову клумбу перед домом ялиновими гілками, щоб вберегти рослини від морозів, наприкінці осені висушує усі водопроводи і закручує основний кран, зачинає усі віконниці, зокрема й віконниці купальні внизу біля води. Він приносить із підвалу електричний обігрівач і встановлює його в себе в кімнаті з центрифугою. Взимку він обрізає яблуні і груші. Перед приїздом архітектора та його дружини садівник пропалює дім і на час їхнього перебування в домі знову вмикає воду. Весною він допомагає власникові дому встановити паркан перед домом, паркан, а насамперед великі квіткову клумбу і кипарисник та під'їзд до гаража. Садівник обрізає кущі, знову насіює на обох картопляних полях траву, допомагає випорознити вигрібну яму, він виполує бур'яни і доти поливає голу землю на великій і малій галявині, поки не проростає трава, він збирає вишні, збирає яблука і грушки, складає їх у пивницю під домом, згрібає листя, спалює його, розпилує сухі гілки, коле дерево, виймає електричний обігрівач із підвалу і встановлює в себе у кімнаті з центрифугою, взимку він наставляє на горищі сільця на куніць. Перед приїздом архітек-

do niego syn pisarzy, który z rzadka tylko przyjeżdża tu na parę dni podczas wakacji, bo przez resztę roku przebywa w internacie, i zadaje mu pytania na temat życia pszczoł.

Copyright © Jenny Erpenbeck „Klucz do ogrodu” (W.A.B., Warszawa 2010, w przekładzie Elizy Borg)

тора та його дружини він пропалює дім. Він обрізає яблуні і груші. Весною він прикриває грядки, обрізає кущі, прополує бур'ян, замінює стільники, двічі на день встановлює на газоні поливалку і обрізає вишню. Восени він рубає дрова і викурює кротів, на початку зими він висушує водогони.

Коли через кілька років на сам Новий рік вивертається блакитна ялина, вона замалим не руйнує очеретяного даху на будинкові. Ялина падає попереk стежки, що веде донизу між малою і великою галявиною, вона розтрощує своєю вагою декілька трояндових кущів на клумбі перед терасою. Садівник розпилує стовбур, розколює кругляки і складає готові поліна внизу в дровитні. Весною він натрапляє, коли перекопує клумбу, щоб замінити знищені троянди новими, на скриньку зі столовим сріблом. Дім на той час уже опечатаний, тож він забирає скриньку до себе і ставить її, не чіпаючи вмісту, на полицю до наповнених медом сłoиків у кімнаті з центрифугою.

Наступного року громада дає садівникові дозвіл на проживання в кімнаті з центрифугою і довіряє йому ключі від майстерні та дровитні. Протягом весни, літа, осені та зими садівник підтримує сад, що втратив власника, так само, як робив це досі: він удобрює, поливає, обрізає, замінює стільники, качає мед, обгортає стовбури фруктових дерев тканиною, щоб козулі, які перестрибують через паркан, не обгризли кору, садівник виполує бур'ян, збирає врожай, згрібає, спалює, розпилує, рубає, викурює і прикриває ялиновими гілками. Все, що йому потрібно для життя, він вимінює в селян за фрукти, дрова і мед. Через рік і три місяці з'являються нові власники будинку, вони орендували цю земельну ділянку в громади: це подружжя письменницька пара з Берліна. Садівник показує їм сад, майстерню, дровитню, мостик в озеро і купальню, а також бджолярню для дванадцяти бджолиних сімей і приміщення з центрифугою та передає їм ключі.

Новий власник дому обговорює з садівником деякі зміни, що стосуються саду. Посередині малої галявини слід буде посадити декоративний сумах, а посередині великої – клен. Садівник викопує ями для дерев. Проїшовши тонкий родючий шар гумусу, він натрапляє, копаючи, спочатку на пласт місцевого каменю, пробиває його лопатою, під цим шаром залягає тонка верства піску, через яку просочуються

грунтові води, а ще нижче, як і всюди в цій місцевості, тут залягає блакитна глина. Садівник викопує ями глибиною 80 сантиметрів, наповнює їх компостом, щоб сумах і клен добре росли.

Після наради з власником будинку садівник заливає бетоном дупло в стовбурі горіха, щоб дерево було стійкішим. Він удобрює квіти, кущі та нові дерева, косить траву на галявинах, міняє стільники у вуликах, качає мед, збирає вишні, влітку двічі на день підливає трояндову клумбу перед будинком і кущі, а на малій і на великій галявині, а також біля фруктових дерев щоразу на півгодини ставить поливалку, щоб добре усе зросити, він обрізає вишню, збирає яблука і грушки. З розпорядження власника дому він здає дві третини меду і врожаю фруктів у державну організацію торгівлі ФОК, «Фрукти, овочі, картопля».

Спільно з новим власником дому він викладає майданчик перед майстернею кам'яними плитами, щоб отримати кращу робочу поверхню для малярських і лагодильних робіт. Узимку там стоятиме човен, а також металеві сваї і дерев'яний настил для мостика. Палі під тентом для човна біля мостика попідгнивали, тому садівник з розпорядження

власника будинку зносить тент. Садівник терміново здійснює необхідні лагодження очеретяного даху великого дому і даху купальні. Восени він розпилює гілки, що під час бурі впали з крилатого дуба і деяких сосен, розколює кругляки і складає поліна в дровітні, наприкінці осені виймає з підвалу електричний обігрівач і заносить його до себе в кімнату з центрифугою, і врешті на початку зими він висушує водогони в домі і закручує основний кран.

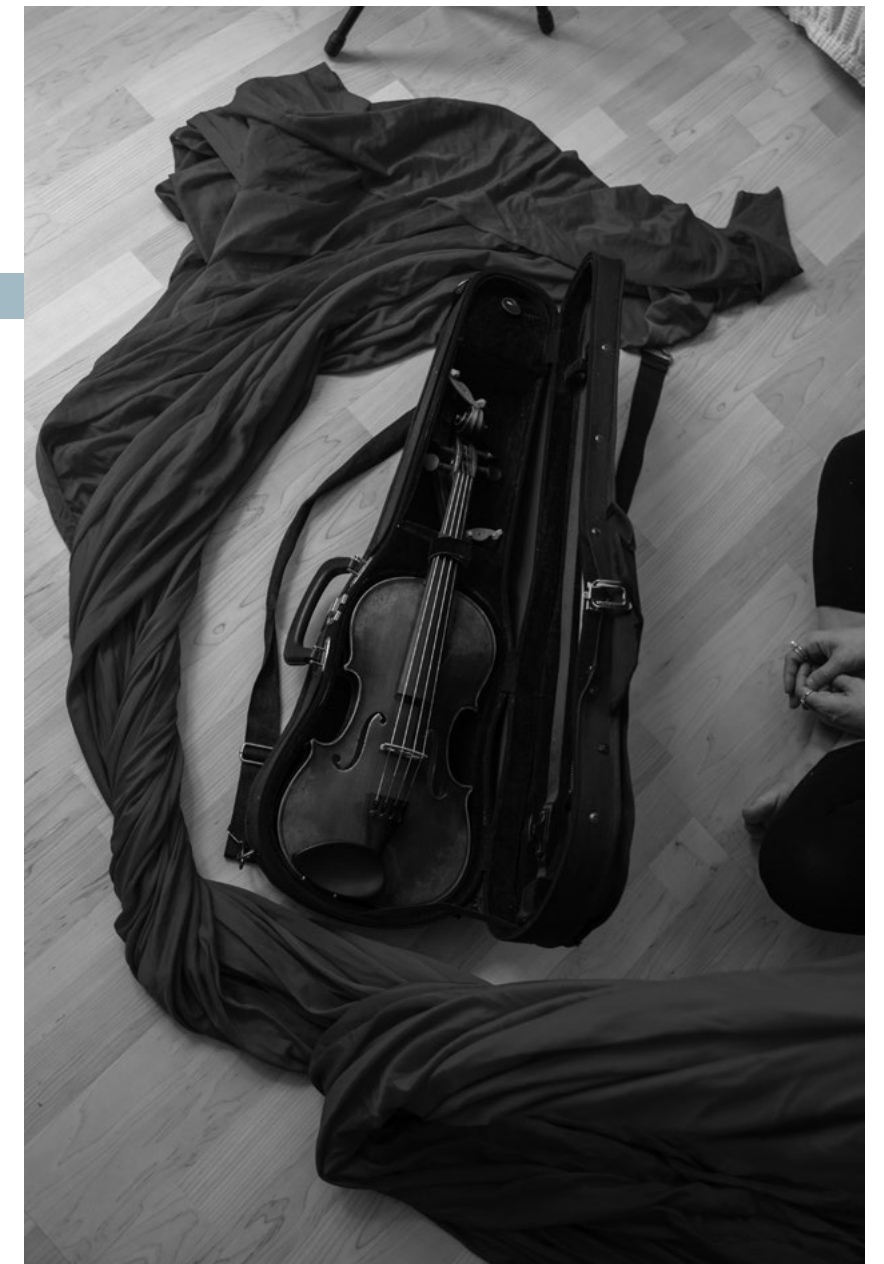
Наступної весни власник дому розпоряджається свіжо пофарбувати всі віконні рами в великому домі, в купальні й у бджолярні, садівник зашпаклює щілини в купальні і поновлює смоляну фарбу, якою просякнуте дерево. Часом, коли він сидить на східцях бджолярні й курить сигару, щоб захиститися від бджіл, до нього підсідає син письменницької пари, який тепер, у канікулярний час, приїжджає сюди часом на кілька днів і розпитує садівника про життя бджіл.

Copyright © Джenni Ерпенбек "Прокляття дому" (Чернівці Книги – XXI 2016, у перекладі Христини Назаркевич)

JENNY ERPENBECK – eine deutsche Schriftstellerin und Theaterregisseurin. Sie ist die Tochter des Physikers und Philosophen John Erpenbeck und der Arabistin Doris Kiliass. Sie studierte Buchbinderei und Theaterwissenschaften und führte später auch Regie. Ihr Debüt gab sie 1999 mit der Kurzgeschichte *Geschichte vom alten Kind*. Es folgten weitere literarische Veröffentlichungen, darunter Romane, Kurzgeschichten und Theaterstücke. Erpenbeck ist Mitglied der deutschen Schriftstellervereinigung PEN-Zentrum Deutschland.

ДЖЕННІ ЕРПЕНБЕК – німецька письменниця та театральна режисерка. Вона є донькою фізика і філософа Джона Ерпенбека та арабістки Доріс Кіліас. Вивчала палітурну справу та театрознавство, пізніше - режисуру. Дебютувала у 1999 році оповіданням *Історія старої дитини* (*Geschichte vom alten Kind*), за яким послідували подальші літературні публікації, серед яких романи, оповідання та п'єси. Ерпенбек є членом німецької асоціації письменників PEN-Zentrum Deutschland.

JENNY ERPENBECK – niemiecka pisarka i reżyserka teatralna. Jest córką fizyka i filozofa Johna Erpenbecka oraz arabistki Doris Kiliass. Studiowała introligatorstwo i teatrologię, potem również reżyserię. Debiutowała w 1999 roku opowiadaniem *Geschichte vom alten Kind* (*Opowieść o starym dziecku*), po którym nastąpiły kolejne publikacje literackie, wśród nich powieści, opowiadania i sztuki teatralne. Erpenbeck należy do niemieckiego związku pisarskiego PEN-Zentrum Deutschland.



© Ksenia Yanko



ОПИНІТИСЯ НА ПОРОЗІ ЗУПИНЕНОГО ЧАСУ U PROGU ZATRZYMANEGO CZASU AN DER SCHWELLE ZUR ANGEHALTENEN ZEIT



▶ Зупинити час можливо одним способом. Цей спосіб наче і не надто складний – достатньо просто закрутити цей відрізок часу у своєрідну спіраль, обидва кінці якої з'єднані між собою. І тоді час опиняється у чарівній клепсидрі, ковзаючи уздовж спіралі і постійно відтворюючи одні і ті ж події. Так це відбувається із героями роману Габрієля Гарсії Маркеса *Сто років самотності*. Час для них рухається по колу, і численні Ауреліо Буендіа, Амаранти Урсули та інші мешканці магічного міста Макондо закохуються, здобувають владу, воюють, розчаровуються у житті, і навіть піднімаються в небо на щойно випраних білих простирадлах.

Зупинити час можна і по-іншому – просто постійно повертатися подумки в один і той же день, відтворювати в уяві одну і ту ж ситуацію, відчувати, як поволі зникають із пам'яті деталі, подробиці, картини, спогади, сказане і зроблене, але незмінними залишаються відчуття, зазвичай травматичні і болісні, рідше – піднесені і радісні. Відчуття не втрачають своєї гостроти навіть тоді, коли деталі уже давно стерлися з пам'яті.

Сусідка героїні фільму *Амелі* опиняється у такому зупиненому часі, постійно повертаючись подумки до моменту, коли її чоловік був у неї закоханий і писав їй зворушливі листи з далекої поїздки. Потім усе змінилося, кохання пройшло, чоловік її зрадив, але жінка продовжувала щодня підстерігати на сходах Амелі і показувала їй фотографії, листи, розповідала свої спогади.

Війна завжди зупиняє час для тих, кого торкається. Навіть якщо торкається не безпосередньо, а через чужі страждання, смерть, втрату близьких чи дому.

У цьому зупиненому часі опинилися тепер і всі ми, кого війна торкнулася на світанку 24 лютого. У кожного з нас є свій спогад, до якого ми постійно

повертаємося, щоб знову і знову переживати до болю знайомий стан. Вирватися із цього зупиненого часу надзвичайно складно, можна лише відволіктися ненадовго, зайняти себе якимись справами, але щойно приходить момент спокою, і час вкотре застигає і занурює в один і той же епізод.

Хтось згадає останні дні перед війною, шкодує про відкладені поїздки, зустрічі з тими, кого втратив чи з ким не зможе побачитися ще довго, тішиться, що вдалося зробити спільне фото, перечитує останні повідомлення, пости у соцмережах, перебирає подарунки. Хтось не може позбутися нічних жахів, які повертають у пережите – звук сирени повітряної тривоги, темрява бомбосховища, окупація, втеча, втрата найближчих, дому. Ще хтось наче нічого конкретного і не згадає, просто усвідомлює, що сприймає дійсність, яка оточує нас тепер, не повністю, а лише частково – наче зсередини скляного ковпака, з якого все видно і чути, але зображення трохи тьмяне, а звук приглушений.

У дитинстві дідусь часто розповідав мені свою історію з часів війни. Вона була дуже драматична і навіть гостросюжетна. У шістнадцять його пішки прогнали з села під Львовом до табору Освенцім, потім таємно вивезли звідти під стосом брудної білизни, далі він потрапив до австрійського села, де працював у найма до самого кінця війни, звідти пішов із Червоною Армією і дійшов до самого Берліна, потім повернувся у рідне село, одружився, виховав трьох дітей, збудував хату, посадив дерево і навіть не одне. Але найчастіше в його спогадах фігурував лише один момент, явно не найяскравіший серед усього вищепереліченого. Найчастіше дід згадував крайню хату у селі, де прожив усю війну. Це не була хата його господарів, а якоїсь Моніки. Я так і не змогла допитатися у діда, ким була ця Моніка для нього. На усі мої запитання і спроби щось уточнити дід лише відмахувався, мовляв, це не важливо. І постійно повторював:

Я ЧАСТО ЗГАДУЮ МОМЕНТ, КОЛИ ВОСТАННЄ ПЕРЕД ВІЙНОЮ ВИЙШЛА ЗІ СВОГО ДОМУ. Я ОЗИРНУЛАСЯ, ПОБАЧИЛА ПЛЯМУ НА СТІНІ І ПОДУМАЛА, ЩО ТРЕБА БУДЕ ВИТЕРТИ ЇЇ, КОЛИ ПОВЕРНУСЯ. ТОДІ Я ЩЕ НЕ ЗНАЛА, ЩО ПОВЕРНЕННЯ МОЄ ЗАТЯГНЕТЬСЯ, А ПЛЯМА НА СТІНІ ПЕРЕСЛІДУВАТИМЕ ПОДУМКИ, ТО РОЗРОСТАЮЧИСЬ, ТО ЗМЕНШУЮЧИСЬ, ТАК НАЧЕ В ОСТАННІ ДНІ ПЕРЕД ВІЙНОЮ НЕ БУЛО НІЧОГО ВАЖЛИВІШОГО І ВАРТОГО ЗГАДКИ.

– Ти мусиш поїхати туди, знайти крайню хату, зайти до Моніки, вона точно мене пам’ятає.

Тоді мені було дивно, що саме це стало для діда найважливішим. Ім’я жінки, про яку він нічого більше так і не розповів. Він не розповів мені і того, як звали його господарів, чи тих, хто врятував його з концтабору, не розповів нічого про те, як ішов із Червоною Армією з Австрії до Берліна. Усе це здавалося йому “неважливим”. Важливим було лише те, щоб Моніка підтвердила, що справді пам’ятає його.

Тепер я розумію, що наші спогади зазвичай так і влаштовані. Ми повертаємося подумки до якихось дрібниць, об які назавжди зашпорталася наша пам’ять і тепер змушує знову і знову відтворювати пов’язані з ними емоції.

Я часто згадую момент, коли востаннє перед війною вийшла зі свого дому. Я озирнулася, побачила пляму на стіні і подумала, що треба буде витерти її, коли повернуся. Тоді я ще не знала, що повернення моє затягнеться, а пляма на стіні переслідуватиме подумки, то розростаючись, то зменшуючись, так наче в останні дні перед війною не було нічого важливішого і вартого згадки.

Війна завжди змінює оптику важливості і змушує зосередитися на найкоротшій дистанції. Важливим стає те, що відбувається тут і тепер, а не те, що було колись, і не те, що планувалося у майбутньому. Але навіть те, що відбувалося колись чи планувалося у майбутньому, також обмежується лаконічними і не надто вагомими моментами. Ми читаємо військові щоденники, які переповідають звичні моменти щоденного життя, але тепер ці моменти є надзвичайно важливими, адже кожен із них може стати останнім. Ясна річ, і без війни кожен наступний момент життя може стати останнім, але війна змушує нас постійно пам’ятати про це. Важливими у таких щоденниках є найдрібніші деталі: їжа, пиття, одяг,

переміщення у просторі, сон і безсоння, розмови з близькими, які обмежуються до обміну ритуальними фразами “як ти”, “все норм”, “тримайся”, “все буде добре”.

Війна завжди позбавляє ілюзій. Те, що видавалося таким потрібним і важкодосяжним, раптом стає цілковито непотрібним і навпаки – те, що здавалося буденним і набридлим, тепер видається найбажанішим. Мільйони українців, які роками правдами і неправдами намагалися потрапити за кордон і працевлаштуватися, тепер повертаються з-за кордону додому попри нечувані раніше можливості здійснити свою колишню мрію. Але мрія ця раптом втратила важливість.

Якщо раніше здавалося вкрай важливим будувати плани, дбати про майбутнє, відкладати гроші, то тепер усе це виглядає просто недоречним і навіть смішним. Тепер найважливіше – це теперішнє, виживання, тривання, а до майбутнього слід ще спершу дожити. Якщо раніше важливим було мати хорошу роботу, кар’єрну перспективу, інші зручності, то тепер цілком достатньо бути в безпеці, в теплі, мати їжу і одяг на зиму. Про все це раніше просто не замислювалися, не цінували, не уявляли, що колись всього цього може забракнути, адже це такі прості і загальнодоступні речі.

Однією з найбільших ілюзій війни є думка про те, що цей досвід може чогось навчити, що він цінний, цікавий тим, хто не пережив нічого подібного, його слід збирати і передавати далі, наступним поколінням, аби це жакіття не повторилося знову. Насправді поділитися таким досвідом неможливо. І не лише тому, що чужі травми нікого не цікавлять, і війна є лише однією з таких травм. Вас слухатимуть чи читатимуть із ввічливості, щоб не образити, але подумки рахуватимуть хвилини до моменту, коли можна буде попроситися і піти геть, подалі від усіх цих жакіть. Поділитися цим досвідом неможливо ще і тому, що його неможливо зрозуміти, не переживши. Саме тому колишні солдати і не люблять розповідати про пережите. Навіщо, якщо тебе ніхто не зрозуміє, крім кількох побратимів, які були з тобою поряд, але їм нічого не потрібно розповідати, вони і самі все знають.

Ще однією ілюзією є те, що досвід війни має сенс, чимось допомагає, до чогось веде. Насправді війна ніколи не має сенсу, нікому не допомагає, у ній не буває переможених чи переможців, а лише безглуздя вбивства. Війна – це чорна діра, у яку тебе втягує, і ти вже не можеш нічого змінити, як не старайся, все вирішується за тебе, без тебе і зовсім не на твою користь. Війну можна пережити, у ній можна вижити і навіть перемогти, але зробити все це без втрат неможливо.

У війні гинуть найкращі, залишаючи усіх решта жити далі з невиліковним почуттям провини. І ця провина як кругова порука – що не роби і де не опиняйся, однаково матимеш відчуття, що цього не достатньо і що потрібно більше. Ті, хто опинився за кордоном, відчують провину перед тими, хто залишився, ті,

хто опинився в тилу, відчують провину перед тими, хто щодня опиняється під бомбами, ті, хто сидить у бомбосховищах недалеко від зони бойових дій, відчують провину за те, що вони не на фронті, ті, хто на фронті, почуваються винними перед тими, хто зараз у самому пеклі. І навіть ті, хто зараз у самому пеклі, почуваються винними перед тими, хто вже загинув. Так ми знову і знову занурюємося у свої повторювані спогади, травматичні чи щасливі, або і позбавлені якоїсь важливості, але усі ці спогади занурюють нас у зупинений час, у якому нічого нового не відбувається – полковник Ауреліо Буендіа не закохується у чергову вродливу жінку і жодна вродлива жінка не возноситься у небо на сніжно-білих простирадлах,

Istnieje niezawodny sposób na zatrzymanie czasu, niezbyt skomplikowany. Wystarczy umieścić odcinek czasu w spirali o połączonych ze sobą krańcach. Czas trafia do zakłętej klepsydry, ślizga się w niej i odtwarza bez końca te same wydarzenia. Tak dzieje się z bohaterami powieści Gabriela Garcíi Márqueza *Sto lat samotności*. Ich czas kręci się w kółko, Aurelianie Buendíowie, Amaranty Urszule i inni obywatele magicznego miasta Macondo zakochują się, zdobywają władzę, walczą, gubią sens życia, by wreszcie umieść się w niebo na świeżo upranych białych prześcieradłach.

Час можна затримати теж іншою метою. Належить повертати думку до певного дня, призивати в воображенні одну ситуацію так довго, аж в пам’яті зачинає зацікавлювати деталі, образи, ремінісценції, wypowiedziane słowa і dokonane czyny. Jedynie uczucia pozostaną niezmiennie, poważnie traumatyczne i bolesne, rzadziej – wznieśli i radosne. Uczucia nie tracą ostrości nawet, kiedy szczegóły dawno się rozwiały.

Сусідка героїні фільму *Amelia* została uwięziona w pętli czasowej. Nieustannie powracała myślą do chwili, kiedy mąż był w niej zakochany i pisywał jej wzruszające listy z dalekiej podróży. Potem wszystko się zmieniło, miłość minęła, mąż zdradził, ale kobieta co dzień czatowała na schodach, żeby pokazywać Amelii zdjęcia i listy, snuć wspomnienia.

Wojna zawsze zatrzymuje czas tych, których dotknie. Nawet jeśli nie robi tego bezpośrednio, lecz poprzez cudze cierpienie, śmierć, utratę bliskich lub domu. W zatrzymanym czasie znaleźliśmy się my wszyscy – ludzie, których wojna dotknęła o świcie 24 lutego. Każdy z nas ma wspomnienie, do którego powraca, żeby wciąż na nowo przeżywać stan znajomy do bólu. Niezmiernie trudno wyjść z czasowego potrzasku. Możemy oderwać się na krótko, uporządkować jakiejś sprawy. Gdy tylko nastaje chwila spokoju – czas zastyga, zanurza nas w tym samym epizodzie.

Jedni rozpamiętują ostatnie dni przed wojną, żałują odłożonych wyjazdów, spotkań z tymi, których stracili, lub których długo nie zobaczą. Cieszą się, że zdążyli zrobić wspólne zdjęcie, czytają ostatnie wiadomości,

susídka Amelí ne показує нам світліни і листи свого чоловіка, якого вже майже не пам’ятає. Ми прокидаємося щодня, ховаючи від себе наївну надію на те, що ось зараз відкриємо новини і побачимо, що все це нарешті закінчилося, але відкриваємо новини і читаємо про нові втрати і здобутки, нові жертви, бомбардування, руйнування і смерті. Намагаючись видихнути після прочитаного, на мить завмираємо, і тут нас підстерігає зупинений час. Нав’язливий спогад підкрадається непомітно і з безжальною методичністю занурює нас у наше власне внутрішнє пекло – відчуття провини, яке ніколи не стерти, як не стерти пляму, що з’являється на стіні не у реальній, а в уявній кімнаті.

posty w mediach społecznościowych, przeglądają prezenty. Inni nie potrafią uwolnić się od nocnych koszmarów, spychających w objęcia najgorszych wspomnień – syren obrony przeciwlotniczej, ciemnego schronu, okupacji, ucieczki, utraty najbliższych i domu. Jeszcze inni nie wracają pamięcią do konkretnych wydarzeń, uzmysławiają sobie, że odbierają naszą rzeczywistość niezupełnie, a tylko częściowo – jakby z wnętrza szklanego klosza, widać i słyszeć wszystko, ale obraz jest przyćmiony, dźwięk stłumiony.

Kiedy byłam małą, dziadek często opowiadał mi swoją historię z czasów wojny. Dramatyczną, wręcz sensacyjną. Miał szesnaście lat, przepędzono go pieszo ze wsi pod Lwowem do obozu w Auschwitz, skąd jacyś ludzie wywieźli go później pod stertą brudnej bielizny, jeszcze później trafił na austriacką wieś, pracował tam przymusowo aż do końca wojny, a stamtąd wyruszył razem z Armią Czerwoną i dotarł do samego Berlina, potem wrócił do rodzinnej wsi, ożenił się, wychował trójkę dzieci, zbudował dom, posadził drzewo i to nie jedno. Ale najczęściej w jego wspomnieniach powracał pewien epizod, który na tle powyższej wyliczanki prezentował się blade. Otóż najchętniej dziadek wspominał ostatnią chatę we wsi, spędził tam niemal całą wojnę. Nie był to dom jego bauerów, lecz niejakiej Moniki. Nie udało mi się dopytać dziadka, kim była dla niego Monika. Na moje indagacje, próby uzyskania szczegółów dziadek machał ręką: nieważne. I powtarzał:

– Musisz tam pojechać, odnaleźć ostatni dom, odwiedzić Monikę, na pewno mnie pamięta.

Dziwiło mnie wówczas, że właśnie to było dla niego najważniejsze. Imię kobiety, o której nic więcej nie opowiedział. Nie opowiedział też ani jak nazywali się jego gospodarze, ani ludzie, którzy uratowali go z obozu, nie opowiedział ani słowa, jak szedł z Armią Czerwoną z Austrii do Berlina. To było „nieważne”. Ważne było, żeby Monika potwierdziła, że faktycznie go pamięta.

Dziś rozumiem: nasze wspomnienia zazwyczaj są tak zorganizowane. Wracamy w myślach do błahostek, na które nawinęła się nasza pamięć, musimy w nieskończoność odmotywać związane z nimi emocje.

Często wspominam moment ostatniego wyjścia z domu przed wojną. Obejrzałam się i zobaczyłam płamę na ścianie. „Muszę ją zetrzeć, kiedy wrócę”, przyszło mi do głowy. Nie wiedziałam, że powrót się przeciągnie, a plama na ścianie będzie mnie nękać – to się rozrastać, to zmniejszać, jakby w ostatnie przedwojenne dni nie zdarzyło się nic ważniejszego i bardziej godnego wspomnienia.

CZĘSTO WSPOMINAM MOMENT OSTATNIEGO WYJŚCIA Z DOMU PRZED WOJNĄ. OBEJRZAŁAM SIĘ I ZOBACZYŁAM PLAMĘ NA ŚCIANIE. „MUSZĘ JĄ ZETRZEĆ, KIEDY WRÓCĘ”, PRZYSZŁO MI DO GŁOWY. NIE WIEDZIAŁAM, ŻE POWRÓT SIĘ PRZECIĄGNIE, A PLAMA NA ŚCIANIE BĘDZIE MNIE NĘKAĆ – TO SIĘ ROZRASTAĆ, TO ZMNIEJSZAĆ, JAKBY W OSTATNIE PRZEDWOJENNE DNI NIE ZDARZYŁO SIĘ NIC WAŻNIEJSZEGO I BARDZIEJ GODNEGO WSPOMNIENIA.

Wojna zawsze zmienia optykę tego, co ważne, wymusza koncentrację na krótkich dystansach. Ważne staje się tu i teraz, a nie to, co było kiedyś, i nie to, co planowaliśmy na przyszłość. Ale nawet to, co już się zdarzyło lub zostało w sferze planów, ogranicza się do lakonicznych, mało istotnych chwil. Czytamy dzienniki wojenne, mowa w nich o codziennych błahostkach, zwyczajnych chwilach, które przecież teraz są niezwykle ważne – każda z nich może być ostatnia. Nawet bez wojny każdy kolejny moment życia może być ostatnim, a wojna nie pozwala nam o tym zapomnieć. W tych dziennikach ważny jest najmniejszy detal: jedzenie, picie, odzież, ruch w przestrzeni, sen i bezsenność, rozmowy z najbliższymi skondensowane do wymiany rytualnych formułek: „jak się masz?”, „wszystko okej”, „trzymaj się”, „będzie dobrze”.

Wojna pozbawia iluzji. Co zdawało się konieczne i trudno osiągalne, nagle okazuje się zbyteczne. I na odwrót: co zdawało się powszednie i nużące, teraz budzi największe pożądane. Miliony Ukraińców, którzy przez lata usiłowali za wszelką cenę wydostać się za granicę i dostać tam pracę, wracają dziś zza granicy do domu wbrew niebywałym szansom na realizację dawnych marzeń. Tamte marzenia niespodziewanie straciły na ważności.

Wcześniej zdawało się, że niezbędne jest snucie planów, dbanie o przyszłość, oszczędzanie pieniędzy, a dziś wygląda to niedorzecznie, wręcz niepoważnie. Co liczy się dziś? Bieżąca chwila, przeżycie, trwanie – przyszłości należy dożyć. Wcześniej ważna była porządna praca, ścieżka kariery, rozmaite udogodnienia, dziś wystarczy być w bezpiecznym i ciepłym schronieniu, mieć jedzenie

i zimowe ubranie. Nie myśleliśmy o tym wcześniej, nie docenialiśmy tego, nie wyobrażaliśmy sobie, że kiedyś może tego zabraknąć, przecież to rzeczy banalne i ogólnodostępne. Do największych wojennych iluzji należy pogląd, że to doświadczenie może czegoś nauczyć, jest cenne i wartościowe dla tych, którzy nie przeżyli nic podobnego, że należy je udokumentować i przekazać dalej, przyszłym pokoleniom, żeby w przyszłości zatrzymać powrót koszmaru. W rzeczywistości nie sposób podzielić się takimi doświadczeniami. Nie tylko dlatego, że nikogo nie obchodzi cudze traumy, a wojna jest zaledwie jedną z nich. Tak, z uprzejmości posłuchają was i poczytają, ale w myślach będą odliczać minuty do chwili, kiedy można będzie się pożegnać i sobie pójść – jak najdalej od waszych koszmarów. Podzielenie się doświadczeniem jest niemożliwe również dlatego, że nie sposób zrozumieć tego, czego się nie przeżyło. Dlatego dawni żołnierze nie lubią opowiadać o tym, co przeszli. Po co, skoro nikt nie zrozumie, z wyjątkiem kilku towarzyszy broni, którzy byli obok? Tym jednak nie trzeba nic opowiadać, sami wiedzą.

Kolejna iluzja to przekonanie, że doświadczenie wojny ma sens, w czymś pomaga i do czegoś prowadzi. Wojna nigdy nie ma sensu, nikomu nie pomaga, nie ma w niej ani zwyciężonych, ani zwycięzców, jest tylko bezsens zabijania. Wojna to czarna dziura, wciąga i już, nic nie poradzisz, decydują za ciebie, bez ciebie, bynajmniej nie po twojej myśli. Wojnę można przeżyć, nawet dosłownie: nie stracić życia, mało tego – można w niej zwyciężyć, ale nie da się tego osiągnąć bez strat. Na wojnie giną najlepsi, zostawiają resztę, by żyła dalej z nieuleczalnym poczuciem winy. *Wojna ustawiła nas w zakłętym kręgu zbiorowej winy.* Czego byś nie zrobił, dokąd nie trafił, nie opuści cię poczucie, że to za mało, że musisz dać więcej. Ci, którzy trafili za granicę, czują winę wobec tych, którzy zostali, ludzie na tyłach mają poczucie winy wobec tych, na których co dzień lecą pociski, siedzący w schronach w pobliżu działań wojennych czują się winni, że nie są na froncie, ludzie na froncie czują się winni wobec tych, którzy są w środku piekła. I nawet ci w środku piekła czują się winni wobec tych, którzy już zginęli.

W nieskończoność zanurzamy się w powtarzalnych wspomnieniach, traumatycznych albo szczęśliwych, czasem nieistotnych, wszystkie zakleszczają nas w zatrzymanym czasie, w którym nie dzieje się nic – pułkownik Aurelio Buendia nie zakochuje się w kolejnej piękności i żadna piękność nie unosi się w niebo na śnieżnobiałych prześcieradłach, sąsiadka Amelii nie pokazuje nam zdjęć i listów męża, już prawie go nie pamięta. Budzimy się codziennie ze skrytą i naiwną nadzieją, że otworzymy wiadomości i dowiemy się, że to już koniec, ale otwieramy wiadomości i czytamy o nowych stratach i zdobyczach, kolejnych ofiarach, bombardowaniach, ruinach i zgonach. Usiłujemy odetchnąć od przeczytanego, na moment zastygamy – i już jesteśmy w mocy wstrzymanego czasu. Natrętne wspomnienie podkrada się chyłkiem, z żelazną konsekwencją zatapia cię w twoim wewnętrznym piekle. Poczucia winy nie da się zetrzeć, tak samo jak plamy na ścianie pokoju – nie prawdziwego, lecz wyobrażonego.

[Z języka ukraińskiego przełożył Marcin Gaczkowski]

Es gibt nur eine Methode, um die Zeit anzuhalten. Und sie ist eigentlich sehr einfach. Es genügt, den Zeitabschnitt zu einer Art Spirale zu verdrehen, deren Ende miteinander verbunden sind. Dann befindet sich die Zeit in einer Art Zauber-Klepsydra, klettert die Spirale pausenlos auf und ab dieselben Erfahrungen wiedergebend. Dasselbe geschieht mit den Protagonisten des Romans *Hundert Jahre Einsamkeit* von Gabriel García Márquez. Die Zeit dreht sich für sie im Kreis, und die zahlreichen Aureliano Buendías und Amaranta Úrsulas und andere Bewohner der magischen Stadt Macondo verlieben sich, kommen an die Macht, kämpfen, sind vom Leben enttäuscht und fahren sogar auf frisch gewaschenen weißen Laken in den Himmel auf.

Man kann die Zeit auch auf andere Weise anhalten, und zwar indem man in Gedanken immer wieder zu ein und demselben Tag zurückkehrt, in der Vorstellung ein und dieselbe Situation durchspielt und dabei spürt, dass die Details langsam aus dem Gedächtnis verschwinden, Einzelheiten, Bilder, Erinnerungen, Worte und Handlungen, aber die Gefühle bleiben – normalerweise traumatische und schmerzhaft, seltener erhebende und fröhliche. Die Gefühle verlieren nicht an Intensität, selbst wenn die Details schon längst aus dem Gedächtnis verschwunden sind.

Die Nachbarin der Heldin im Film *Amélie* befindet sich in so einer Zeitspirale, sie kehrt in Gedanken ständig in die Zeit zurück, als ihr Mann sie geliebt und ihr rührende Briefe von fernen Reisen geschrieben hatte. Später war die Liebe vergangen und ihr Mann hatte sie betrogen, trotzdem passte die Frau Amélie jeden Tag im Treppenhaus ab und zeigte ihr Fotos, Briefe und erzählte ihre Erinnerungen.

Der Krieg lässt die Zeit für diejenigen, die er betrifft, immer stillstehen. Selbst wenn er sie nicht unmittelbar betrifft, sondern nur über fremdes Leid, Tod, Verlust von Familie und Freunden und dem Zuhause.

In dieser angehaltenen Zeit befinden sich nun wir alle, die der Krieg am Morgen des 24. Februars plötzlich getroffen hat. Jeder von uns hat seine eigene Erinnerung, zu der er oder sie ständig zurückkehrt, um immer und immer wieder diesen schmerzhaften bekannten Zustand zu erleben. Sich aus der angehaltenen Zeit zu lösen, ist überaus schwierig, man kann sich nur ablenken, kann sich Beschäftigungen suchen, aber kaum kommt ein Moment der Ruhe, erstarrt die Zeit wieder und führt uns in die immer gleiche Episode zurück.

Manche erinnern sich an die letzten Tage vor dem Krieg, trauern aufgeschobenen Reisen nach, Treffen mit Menschen, die sie verloren haben oder die sie lange nicht werden treffen können, freuen sich, dass sie noch ein gemeinsames Foto gemacht haben, lesen ihre letzten Textnachrichten, ihre letzten Beiträge in sozialen Medien, schauen Geschenke von ihnen durch. Manche werden ihre Alpträume nicht los, die sie in das von ihnen Erlebte zurückholen: das Heulen der Sirenen beim Luftalarm, die Dunkelheit des Luftschuttkellers, Besetzung, Flucht, Verlust der Liebsten, Verlust des Zuhauses. Wieder andere haben zwar keine konkrete Erinnerung, sind

sich aber bewusst, dass sie die Wirklichkeit, die sie jetzt umgibt, nur teilweise wahrnehmen – als würden sie sich unter einem Glassturz befinden, in dem man zwar alles sehen und hören kann, aber das Bild unscharf ist und die Geräusche gedämpft sind.

Als ich ein Kind war, erzählte mir mein Großvater oft vom Krieg. Seine Geschichte war sehr dramatisch und auch spannend. Mit sechzehn wurde er zu Fuß von

ICH ERINNERE MICH OFT AN DEN MOMENT, ALS ICH VOR DEM KRIEG ZUM LETZTEN MAL UNSER HAUS VERLASSEN HATTE. ALS ICH ZURÜCKSCHAUTE, BEMERKTE ICH EINEN FLECK AN DER WAND UND DACHTE, DASS ICH IHN NACH MEINER RÜCKKEHR ENTFERNEN MÜSSTE. DAMALS WUSSTE ICH NOCH NICHT, DASS SICH MEINE RÜCKKEHR VERZÖGERN UND MICH DER FLECK AN DER WAND IN GEDANKEN VERFOLGEN WÜRDE, INDEM ER MAL GRÖßER UND MAL KLEINER WURDE, ALS HÄTTE ES IN DEN LETZTEN TAGEN VOR DEM KRIEG NICHTS WICHTIGERES, NICHTS ANDERES ERINNERNSWERTE GEGEBEN.

seinem Dorf bei Lwiw ins Konzentrationslager Auschwitz getrieben, von wo er später unter einem Haufen Schmutzwäsche heimlich gerettet wurde, daraufhin verschlug es ihn nach Österreich in ein Dorf, wo er bis Kriegsende als Knecht diente, von dort gelangte er mit der Roten Armee bis nach Berlin und kehrte später in sein Heimatdorf zurück, heiratete, zog drei Kinder groß, baute ein Haus, setzte einen Baum und nicht nur einen. Ein bestimmtes Detail, das offenkundig nicht das spektakulärste aus all den aufgezählten Stationen war, tauchte in seinen Erinnerungen immer wieder auf. Oft erwähnte der Großvater das letzte Haus im Dorf, in dem er den ganzen Krieg verbracht hatte. Es war nicht das Haus seiner Dienstherrn, sondern von einer gewissen Monika. Ich konnte nicht herausfinden, wer diese Monika für ihn war. Auf alle meine Fragen und Versuche hin, Genaueres zu erfahren, winkte der Großvater ab und meinte, das sei nicht so wichtig. Er wiederholte immer:

„Du musst dorthin fahren und das letzte Haus finden. Du musst Monika finden, sie erinnert sich bestimmt an mich.”

Damals wunderte ich mich, dass genau dieses Detail für meinen Großvater so wichtig war. Der Name einer Frau, über die er sonst nichts erzählte. Er erzählte mir nicht, wie seine Dienstherrn hießen, wer ihn aus dem Konzentrationslager gerettet hatte, erzählte nicht, wie er

mit der Roten Armee nach Berlin gelangt war. All das erschien ihm „unwichtig“. Wichtig war ihm einzig Monikas Bestätigung, dass sie sich an ihn erinnerte.

Jetzt verstehe ich, dass dies eine Eigenart unseres Erinnerns ist. Wir kehren in Gedanken zu irgendeinem Detail zurück, an dem unser Gedächtnis hängen geblieben ist. Und nun zwingt es uns, die damit verbundenen Gefühle immer wieder zu erleben.

Ich erinnere mich oft an den Moment, als ich vor dem Krieg zum letzten Mal unser Haus verlassen hatte. Als ich zurückschaute, bemerkte ich einen Fleck an der Wand und dachte, dass ich ihn nach meiner Rückkehr entfernen müsste. Damals wusste ich noch nicht, dass sich meine Rückkehr verzögern und mich der Fleck an der Wand in Gedanken verfolgen würde, indem er mal größer und mal kleiner wurde, als hätte es in den letzten Tagen vor dem Krieg nichts Wichtigeres, nichts anderes Erinnerungswertes gegeben.

Krieg verändert stets die Optik dessen, was wichtig ist, und zwingt die Menschen, sich auf das zu konzentrieren, was am nächsten liegt. Wichtigkeit erlangt das, was hier und jetzt passiert, und nicht das, was sich irgendwann einmal ereignet hat, und auch nicht das, was für die Zukunft geplant wurde. Wir lesen Kriegstagebücher, die von den banalsten Augenblicken des Alltags erzählen, aber jetzt sind diese Augenblicke außerordentlich wichtig, da jeder von ihnen der letzte sein könnte. Natürlich kann auch ohne Krieg jeder Augenblick des Lebens der letzte sein, aber der Krieg zwingt uns, ständig daran zu denken. Das Wichtigste in diesen Tagebüchern sind die aller kleinsten Details: Essen, Trinken, Kleidung, Ortsveränderungen, Schlaf und Schlaflosigkeit, Gespräche mit Freunden oder Verwandten, die sich auf den Austausch von Routinephrasen reduziert haben: „Wie geht's dir?“, „Alles gut.“, „Halt die Ohren steif.“, „Alles wird gut.“

Der Krieg raubt den Menschen ihre Illusionen. Alles, was ihnen bedeutend und schwer zu erreichen erschien, ist plötzlich völlig nichtig – und umgekehrt, die Dinge, die ihnen alltäglich und lästig erschienen, wünschen sie sich jetzt sehnlichst herbei. Millionen von Ukrainern, die jahrelang mit allen Mitteln versucht haben, ins Ausland zu gelangen, um dort zu arbeiten, kehren von dort zurück, auch wenn nun die nie dagewesene Möglichkeit besteht, ihren damaligen Traum zu verwirklichen. Doch der Traum hat plötzlich an Bedeutung verloren.

Während es früher unglaublich wichtig erschien, Pläne zu schmieden, sich um die eigene Zukunft zu kümmern und Geld beiseite zu legen, wirkt all das jetzt unpassend und sogar lächerlich. Nun ist das Hier und Jetzt am wichtigsten geworden, das Überleben, die Existenz – die Zukunft müssen wir erst noch erleben. Während es früher wichtig war, einen guten Job, Karriereoptionen und verschiedene Bequemlichkeiten zu haben, so reicht es nun vollkommen, in Sicherheit zu sein, es warm, sowie Essen und Kleidung für den Winter zu haben. Über diese Dinge dachte man früher einfach nicht nach, schätzte sie nicht, man konnte sich nicht vorstellen, dass uns all dies irgendwann fehlen könnte, denn es sind so grundlegende und selbstverständliche Dinge.

Eine der größten Illusionen des Kriegs ist der Gedanke, dass wir aus dieser Erfahrung lernen können, dass diese Erfahrung wertvoll ist, und interessant für jene, die Ähnliches noch nicht erlebt haben, dass wir sie festhalten und an die nachfolgende Generation weitergeben müssen, damit sich dieser Horror niemals wiederholt. In Wahrheit ist es jedoch unmöglich, diese Erfahrung weiterzugeben. Nicht nur, weil fremde Traumata niemanden interessieren – und der Krieg ist nur eines dieser Traumata. Man wird euch aus Höflichkeit zuhören und eure Texte lesen, um euch nicht zu verletzen, aber im Stillen wird man die Minuten bis zum Moment des Verabschiedens zählen, wenn man endlich weggehen kann, weit weg von diesem Grauen. Man kann diese Erfahrung unmöglich weitergeben, weil andere sie nicht verstehen können, ohne sie selbst gemacht zu haben. Aus eben diesem Grund erzählen Soldaten nicht gerne von ihren Erlebnissen. Wieso auch, es wird sie ohnehin niemand verstehen, außer ihren Kameraden, die an ihrer Seite gewesen sind, aber ihnen muss man nichts erzählen, sie wissen auch so alles.

Eine weitere Illusion ist, dass die Erfahrung des Krieges Sinn macht, irgendwie hilft, zu etwas führt. In Wahrheit aber macht Krieg nie Sinn, er hilft niemanden, im Krieg gibt es weder Besiegte noch Sieger, sondern nur sinnlose Tode. Der Krieg ist ein schwarzes Loch, das dich einsaugt, und du kannst nichts daran ändern, so sehr du dich auch bemühest, alles wird für dich entschieden, ohne dich und keineswegs zu deinem Vorteil. Den Krieg kann man erleben, man kann ihn überleben und sogar gewinnen, aber nie ohne Verluste zu erleiden.

Im Krieg sterben die Besten und lassen alle anderen mit einem nicht heilbaren Gefühl von Schuld zurück. Diese Schuld ist wie eine wechselseitige Bürgschaft: Was du auch tust und wo du auch bist, du hast immer das Gefühl, dass es nicht genug ist und du mehr tun musst. Wer ins Ausland gegangen ist, fühlt sich denen gegenüber schuldig, die in der Ukraine geblieben sind; wer sich im Hinterhalt aufhält, empfindet denen gegenüber Schuld, die jeden Tag unter Beschuss stehen; wer nicht weit von der Gefechtszone im Luftschutzbunker sitzt, fühlt sich schuldig, dass er nicht an der Front ist; wer an der Front ist, fühlt sich denen gegenüber schuldig, die sich im Zentrum der Hölle befinden. Und selbst jene, die gerade mitten in der Hölle sind, fühlen sich schuldig: denen gegenüber, die schon umgekommen sind.

So tauchen wir immer und immer wieder in unsere wiederkehrenden Erinnerungen ein, ob traumatisch oder glücklich, oder völlig unwichtig, aber all diese Erinnerungen drängen uns in die stehengebliebene Zeit, in der nichts Neues passiert: Der Oberst Aureliano Buendía verliebt sich nicht in die nächste hübsche Frau, und keine hübsche Frau fährt auf einem schneeweißen Laken in den Himmel auf, Amélie Nachbarin zeigt uns nicht mehr die Fotos und Briefe ihres Mannes, an den sie sich kaum mehr erinnert. Wir erwachen jeden Morgen und unterdrücken die naive Hoffnung, dass wir beim Öffnen der Nachrichten gleich sehen werden, dass endlich alles vorbei ist, aber wir lesen die Nachrichten und erfahren von neuen Landverlusten oder -eroberungen, von neuen Opfern, Raketenangriffen,

von Zerstörung und Tod. Beim Versuch nach dem Lesen tief durchzuatmen, erstarren wir für einen Moment und sofort holt uns die stillstehende Zeit ein. Die aufdringliche Erinnerung schleicht sich unbemerkt an und zieht uns mit gnadenlosem Kalkül in unsere eigene innere Hölle, in unsere Schuldgefühle, die nicht zu tilgen sind, ebenso wie der Fleck, der sich nun an der Wand keines echten, sondern eines imaginären Zimmers befindet.

[Aus dem Ukrainischen von Maria Weissenböck]

NATALKA SNIADANKO – письменниця, перекладачка, публіцистка. Навчалася в університетах Львова, Фрайбурга (Німеччина) і Варшави. Авторка 11 прозових книг. Її тексти виходили друком багатьма мовами. Перекладає з німецької і з польської. Входила до редколегії польсько-німецько-українського літературного часопису „Радар“ (2010-2014). Отримала численні нагороди і стипендії, зокрема премію ім. Джозефа Конрада Польського Інституту в Києві та перекладацьку нагороду Міністерства культури Австрії, стипендії IHAG у місті Грац у 2015, Стипендія імені Пауля Целана у Інституті гуманітарних наук (IWM) у Відні 2017, Artist-in-Residence у Museums Quartier 2021 у Відні, програма „Gaude Polonia“ Міністерства культури і національної спадщини у Польщі 2003, 2012. Тепер (2022-23) Artist-in-Residence у Німецькому літературному архіві у Марбаху.

NATALKA ŚNIADANKO – prozaiczka, tłumaczka, publicystka. Studiowała we Lwowie, Freiburgu (Niemcy) i Warszawie. Opublikowała 11 książek. Jej utwory były tłumaczone na wielu języków i publikowane w wielu krajach. Tłumaczy z niemieckiego i polskiego. Publikuje w prasie międzynarodowej. Była w składzie redakcji polsko-niemiecko-ukraińskiego pisma literackiego „Radar” (2010-2014). Laureatka licznych nagród, m.in. nagrody Josepha Conrada Instytutu Polskiego w Kijowie i nagrody dla tłumaczy Ministerstwa Kultury Austrii. Stypendystka IHAG w Grazu w 2015, stypendium Paula Celana w Instytucie Nauk o Człowieku (IWM) w Wiedniu 2017, Artist-in-Residence Stypendium w MuseumsQuartier w 2021, Program „Gaude Polonia” Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w Polsce. Obecnie (2022-2023) przebywa na Artist-in-Residence Stypendium w Deutsches Literaturarchiv Marbach.

NATALKA SNIADANKO – Freie Autorin, Übersetzerin, Publizistin. Studierte in Lwiw, Freiburg im Breisgau und Warschau. Autorin 11 Prosabücher. Ihre Texte wurden in mehrere Sprachen übersetzt und veröffentlicht. Sie übersetzt aus dem Deutschen und Polnischen. Publiziert in der ukrainischen und internationalen Presse. War in der Redaktion der polnisch-deutsch-ukrainischen Literaturzeitschrift Radar (2010-2014). Bekam unterschiedliche Preise und Stipendien, unter anderem – Joseph Conrad Preis des Polnischen Institutes in Kiew und Übersetzerpreis vom Bundesministerium für Unterricht Kunst und Kultur in Wien, Stipendium des IHAG in Graz in 2015, Paul-Celan Stipendium in IWM in Wien 2017, Artist-in-Residence Stipendium im MuseumsQuartier 2021, Programm „Gaude Polonia” vom Ministerium für Kultur und Nationales Erbe in Polen 2003, 2012. Zurzeit (2022-2023) Artist-in-Residence Stipendium im Deutschen Literaturarchiv Marbach.

JETZT VERSTEHE ICH...
DZIŚ ROZUMIEM...
ТЕПЕР Я РОЗУМІЮ...

© Ania Jaworska-Kruk



Instytut Kultury Willa Decjusza

Instytut Kultury Willa Decjusza to instytucja kultury Miasta Krakowa, która rozpoczęła swoją działalność w 2019 roku i stanowi miejsce spotkań mieszkańców Krakowa, przedstawicieli środowisk literackich, artystycznych, naukowych i biznesu.

Celem Instytutu jest udostępnianie zespołu pałacowo-parkowego szerokiej publiczności, reinterpretacja dziedzictwa w zabytkowej, nowoczesnie zarządzanej przestrzeni poprzez wydarzenia gdzie, kultura wysoka – osadzona w tradycji i o najwyższym kunszcie artystycznym – splata się z nowoczesnym i otwartym spojrzeniem na sztukę, naukę i edukację. Więcej informacji na www.willadecjusza.pl

Stowarzyszenie Willa Decjusza

Organizacja pozarządowa, skupiająca przedstawicieli świata kultury i nauki, od 26 lat prowadzi działalność na rzecz promocji i rozwoju kultury, nauki i sztuki na forum lokalnym, regionalnym i międzynarodowym.

Wielokrotnie nagradzana działalność programowa Stowarzyszenia ma charakter interdyscyplinarny, a tematyka realizowanych projektów dotyczy współpracy europejskiej. Wspiera rozwój międzynarodowej współpracy kulturalnej, ochronę dziedzictwa kulturowego, kształtowanie postaw tolerancji oraz promocji praw człowieka.

Adresatami programów Stowarzyszenia są nie tylko przedstawiciele środowisk nauki, sztuki i polityki, ale również kadry kultury i przedsiębiorcy pracujący na styku różnych dziedzin.

Naczelną ideą Stowarzyszenia jest inicjowanie i moderowanie dialogu opartego na uniwersalnych wartościach, tworzenie przestrzeni wymiany myśli oraz nowej jakości na scenie społeczno-kulturalnej.

Więcej informacji na www.villa.org.pl



© Pierre Vallet



© Pierre Vallet



© Pierre Vallet

Інститут культури Вілла Деціуша

Інститут культури Вілла Деціуша – це культурна установа міста Кракова, яка розпочала свою діяльність у 2019 році та є місцем зустрічі мешканців Кракова, представників літературної, мистецької, наукової та бізнес-спільноти.

Мета Інституту – зробити палацово-парковий комплекс доступним для широкого загалу, переосмислити спадщину в історичному, сучасно керованому просторі за допомогою заходів, де висока культура – укорінена в традиції та з найвищою художньою майстерністю – переплітається з сучасним та відкритим поглядом на мистецтво, науку та освіту.
Більше інформації на www.willadecjusza.pl

Асоціація Вілла Деціуша

Громадська організація, що об'єднує представників світу культури та науки, і протягом 26 років здійснює свою діяльність з популяризації та розвитку культури, науки та мистецтва на місцевому, регіональному та міжнародному рівнях.

Багаторазово нагороджена програмна діяльність Асоціації є міждисциплінарною, а тематика реалізованих проєктів стосується європейського співробітництва, підтримки розвитку міжнародного культурного співробітництва, захисту культурної спадщини, формування толерантного ставлення та просування прав людини.

Адресатами програм Асоціації є не лише представники науки, мистецтва та політики, а й працівники культури та підприємці, що працюють на стику різних сфер.

Головною ідеєю Асоціації Вілла Деціуша є ініціювання та модерація діалогу, заснованого на універсальних цінностях, створення простору для обміну ідеями та нової якості на соціокультурній сцені.
Більше інформації на www.villa.org.pl



© Pierre Vallet

Institut für Kultur Willa Decjusza (Villa Decius)

Das Kulturinstitut Willa Decjusza (Villa Decius) ist eine Kultureinrichtung der Stadt Krakau, die 2019 ihre Tätigkeit aufgenommen hat und einen Treffpunkt für die Einwohner Krakaus, Vertreter der Literatur, der Kunst, der Wissenschaft und der Wirtschaft darstellt.

Ziel des Instituts ist es, die Schloss- und Parkanlage einem breiten Publikum zugänglich zu machen, das Erbe in einem historischen, modern geführten Raum durch Veranstaltungen neu zu interpretieren, in denen sich Hochkultur - verwurzelt in der Tradition und von höchster künstlerischer Kunstfertigkeit - mit einer modernen und offenen Sicht auf Kunst, Wissenschaft und Bildung verbindet.

Weitere Informationen unter www.willadecjusza.pl

Verein Villa Decius

Als Nichtregierungsorganisation, die Vertreter aus der Welt der Kultur und der Wissenschaft zusammenbringt, ist der Verein seit 26 Jahren in der Förderung und Entwicklung von Kultur, Wissenschaft und Kunst auf lokalen, regionalen und internationalen Foren aktiv.

Die preisgekrönten Programmaktivitäten des Vereins sind interdisziplinär ausgerichtet. Die Themen der Projekte betreffen die europäische Zusammenarbeit, die Unterstützung der Entwicklung der internationalen kulturellen Zusammenarbeit, den Schutz des kulturellen Erbes, die Vermittlung von Toleranz und die Förderung der Menschenrechte.

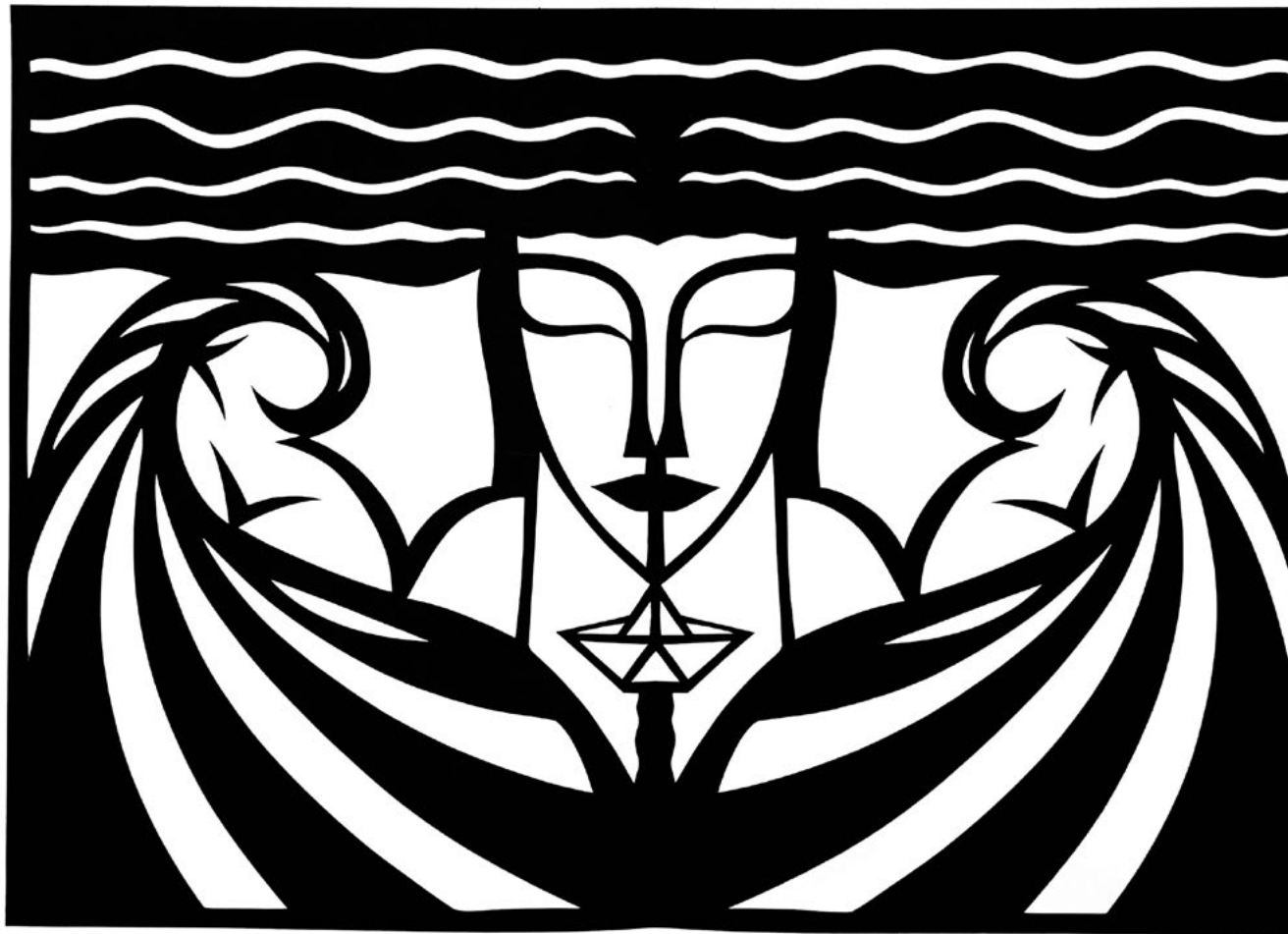
Die Adressaten der Programme des Vereins sind nicht nur Vertreter der Wissenschaft, der Kunst und der Politik, sondern auch Kulturschaffende und Unternehmer, die an der Schnittstelle verschiedener Bereiche arbeiten.

Die Hauptidee des Vereins Villa Decius ist es, einen auf universellen Werten basierenden Dialog zu initiieren und zu moderieren, einen Raum für den Austausch von Ideen und eine neue Qualität in der soziokulturellen Szene zu schaffen.

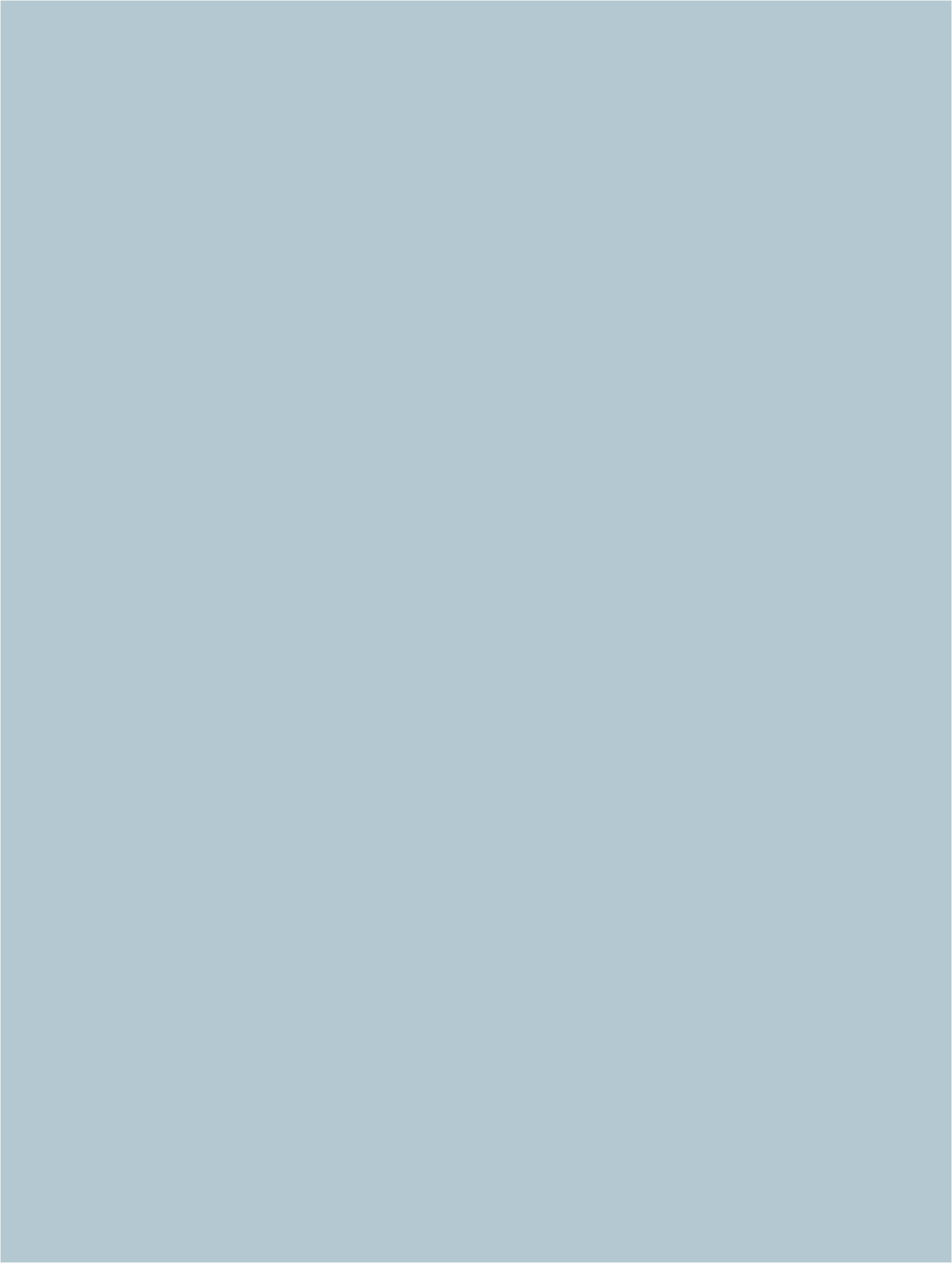
Weitere Informationen unter www.villa.org.pl



© Pierre Vallet



© Daria Aloszkina



WYDAWCY/HERAUSGEBER/ВИДАВЦІ



Instytut Kultury
Willa Decjusza



VILLA
DECIUS



Seria Wydawnicza
Instytutu Kultury Willa Decjusza



Auswärtiges Amt



GOETHE
INSTITUT



Kraków

FINANSOWANIE/FINANZIERUNG/ФІНАНСУВАННЯ

Finansowane przez Fundusz Stabilizacyjny dla Kultury i Edukacji 2022 Federalnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Niemiec i Goethe Institut

Gefördert aus dem Stabilisierungsfonds für Kultur Institut und Bildung 2022 des Auswärtigen Amtes und des Goethe-Institut

За фінансової підтримки Стабілізаційного фонду для культури та освіти 2022 Федерального міністерства закордонних справ Німеччини та Гете-Інститут